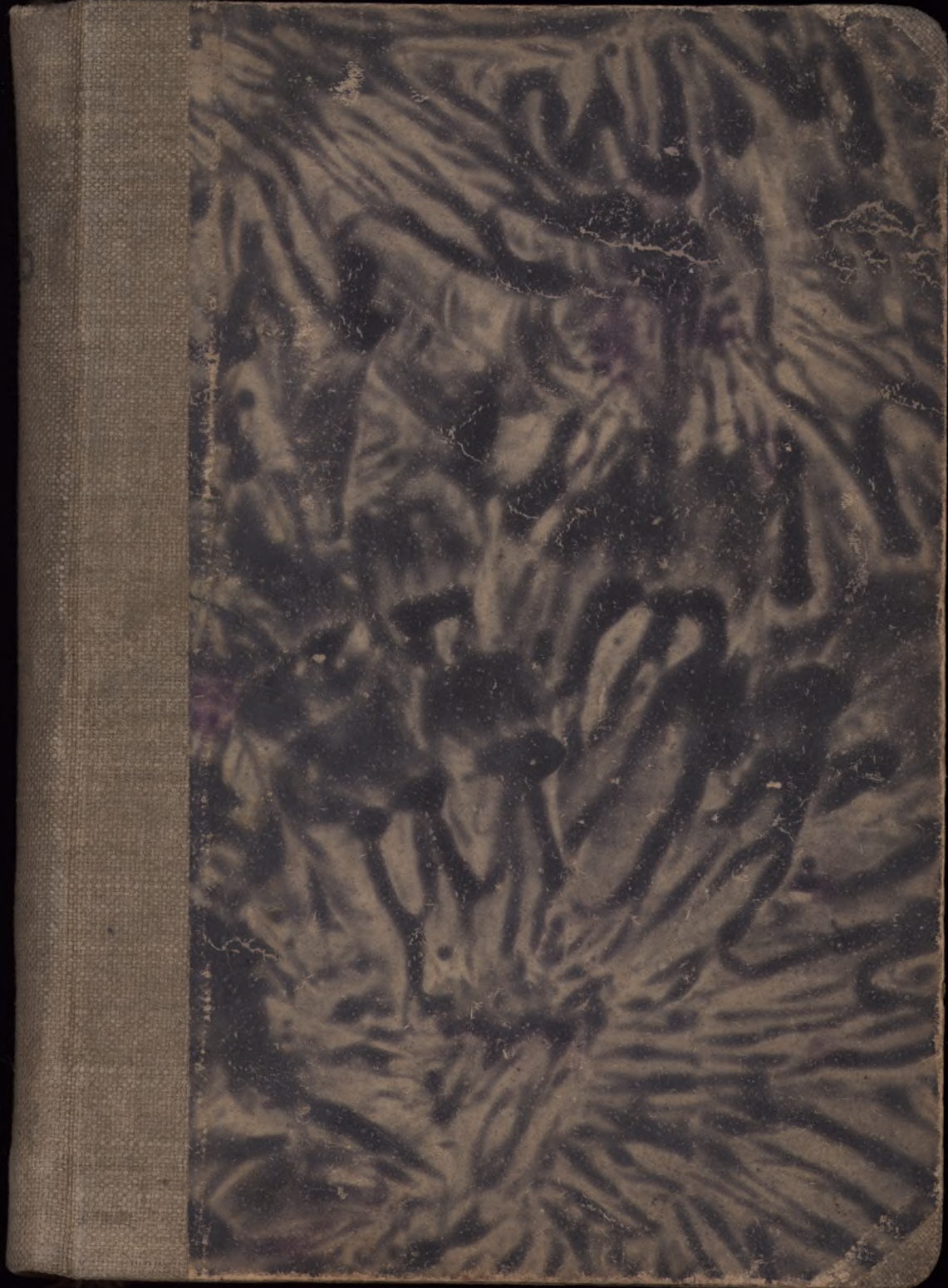




PRZEZ DWA FRONTY

T A D E U S Z H O Ł O W K O

PRZEZ
DWA FRONTY

Z wspomnień emisariusza politycznego

z 1918 roku

Z WARSZAWY DO KIJOWA



WARSZAWA — 1931

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ S. A.



CM 313622

Drukarnia
Współczesna
Warszawa
Szpitalna 10

Wpisano do Księgi Akc.

Akc. D1 nr 124 /2011/ CM

*Towarzysze życia mego — żonie mojej Janinie
tę książkę, której poświęciła tyle pracy i zachęty,
w hołdzie miłości i wdzięczności za wszystko co
dla mnie uczyniła — ofiarowuję.*

PRZEDMOWA

„A WY LEGUNY, TO SIĘ STRZEŻCIE, BO I WAS FAŁSZUJĄ. DLATEGO OSTRZEGAM, BO KIEDYŚ WAS MOGĄ ZOHYDZIĆ I TO W NIEDALEKIEJ MOŻE PRZYSZŁOŚCI. STRZEŻCIE SIĘ LEGUNY I PISZCIE SVOJE DOKUMENTY“ — tak mówił Marszałek Piłsudski na VI Zjeździe Legionistów. Te słowa Komendanta utkwiły w mej pamięci jako nakaz moralny, którego wykonaniem jest niniejsza książka. Poświęcona jest memu pobytowi na Ukrainie na początku 1918 roku w charakterze emisarjusza politycznego z ramienia P. O. W. i P. P. S.

Uważam za swój publiczny obowiązek dać sprawozdanie z tej podróży, odbytej w tak charakterystycznym i przełomowym momencie wielkiej wojny europejskiej.

Książka niniejsza nie jest pracą o działalności P. O. W. na Ukrainie, jak również nie jest historją wysiłków naszej emigracji w Rosji stworzenia tam polskiej siły zbrojnej. Jest to zwykły pamiętnik, w którym na tle ówczesnych stosunków na Ukrainie i w Rosji opowiadam w sposób możliwie jaknajbardziej obiektywny o wypadkach, których byłem świadkiem lub uczestnikiem, jednocześnie z całą szczerością i rzetelnością

pragnę odtworzyć moje ówczesne przeżycia, zamierzenia i wysiłki, jak również ówczesną moją ocenę tych ludzi, z którymi wtedy tam się spotkałem lub współdziałałem.

Jedynie we wstępie daję ogólną charakterystykę sytuacji w Polsce u schyłku 1917 roku, gdyż jest to koniecznem dla zrozumienia pobudek, które pchnęły nas wówczas do Rosji i tam kazały szukać punktu oparcia dla naszej niepodległościowej pracy. Książka ta ma jedynie na celu dać przyszłemu historykowi dokumenty chwili pisane przez człowieka, który starał się możliwie jaknajbardziej dokładnie i wiernie odtworzyć ówczesną sytuację.

Sądzę bowiem, że nie spotka mnie zarzut fałszu, porachunków osobistych, lub oceny ludzi i wypadków pod kątem widzenia dnia dzisiejszego.

A wówczas będę miał świadomość, że należycie spełniłem nakaz Komendanta.

15 Sierpień 1930 r.

Ponuro i smutno zapowiadał się dla Polski rok 1918. Na wszystkich przejawach życia publicznego ciążyła twarda pięść okupantów, pewnych, że zbliża się godzina ich ostatecznego tryumfu. Upadł bowiem carat i w niwecz obróciła się jego potęga, natomiast Rosja rewolucyjna nie zdołała wydobyć u narodów dawnego imperjum rosyjskiego nowych sił, klęską pod Tarnopolem przypieczętowując całkowitą swoją militarną niemoc. Nowi władcy Rosji — bolszewicy, po łatwym wyrwaniu władzy ze słabych i niezaradnych rąk Kiereńskiego i jego towarzyszy, rozpoczęli swe rządy od zawieszenia broni na froncie.

Już u schyłku 1917 roku zaczęły się rokowania pokojowe w Brześciu Litewskim. Państwa centralne, widząc zupełny rozkład armji rosyjskiej, pośpiesznie przerzucały swe wojska z frontu rosyjskiego na zachodni, przeświadczone, że na wiosnę zadadzą tam ostateczny i decydujący cios armjom Koalicji. Oczywista, że w tych warunkach i w takiej sytuacji Polska przestawała być atutem do wyzyskania, z którym warto się liczyć. Przeciwnie, stawała się groźbą mącenia i utrudniania rokowań pokojowych z Rosją. To też brutalna przemoc okupantów nigdy nie święciła takich tryumfów, ni-

gdy tak nie deptała godności i praw narodu polskiego, jak właśnie u schyłku roku 1917.

W tym samym czasie odbywał się ciężki proces zmiany frontu poszczególnych kierunków polskiej myśli politycznej. Jednocześnie był to okres ostatnich „sukcesów” nieśmiertelnej polskiej ugody. Obóz ugodowy i moskalofilski, biernie dotychczas oczekujący na wynik zmagających wojennych, pod wpływem wypadków rewolucyjnych w Rosji porzucił tę bierność, zdecydowanie stając po stronie państw centralnych, które, zdawało się, były w przededniu druzgocącego zwycięstwa nad koalicją. W tej zmianie frontu nie było właściwie nic dziwnego, gdyż obóz moskalofilski dotychczas swego rzekomo wrogię do Niemców stosunku niczem naprawdę nie ujawnił. Teraz zaś, tracił wiarę w zwycięstwo koalicji i z coraz większem przerażeniem wsłuchiwał się w wieści idące z Rosji objętej pożarem rewolucji, gdzie oszalałe chłopstwo w niwecz obracało odwieczne magnackie fortuny i tysiące szlacheckich dworów. Zaczynał powoli, nieśmiało narażać, ale coraz głośniej mówić, iż żołnierz niemiecki — pomimo, że jest wrogiem politycznym — jest jednak równocześnie obrońcą i stróżem europejskiej cywilizacji i starego ładu społecznego, zuchwale burzonego tuż za frontem utrzymywanym w nadludzkim wysiłku przez tegoż niemieckiego żołnierza.

Powstanie Rady Regencyjnej, zespół jej członków, nazwiska osób powoływanych przez nią do rządów — wszystko to były etapy, które świadczyły o głębokich przeobrażeniach w obozie orientacji rosyjskiej. Proces ten, z punktu

widzenia społecznego tak rozumiały, odbywał się, niestety, w warunkach, które musiały w każdym polaku wywołać uczucie głębokiego przygnębienia. Rządy bowiem niemiecki i austro - węgierski wobec ich sukcesów wojennych i rozkładu Rosji, oraz w miarę potęgowania się wiary, że zwycięstwo należeć będzie do państw centralnych, coraz brutalniej traktowały tych polaków i te kierunki, które szukały z nimi porozumienia i współpracy.

Upokorzenie, które spotkało Radę Regencyjną u progu jej działalności, gdy władze okupacyjne odmówiły swej zgody na mianowanie premierem Adama hr. Tarnowskiego, bezskuteczne zabiegi prof. J. Kucharzewskiego, aby być chociażby niemyym świadkiem rokowań w Brześciu, gdzie szykowano czwarty rozbiór Polski, — fakty te były aż nadto wymownym świadectwem zamiarów, które żywiły wobec Polski państwa centralne, ufne w swe zwycięstwo.

Jak wiadomo, nie wszyscy w Polsce byli zwolennikami polityki Rady Regencyjnej. Należałem do obozu niepodległościowego, który w tym samym właśnie czasie odbywał zmianę frontu we wręcz odmiennym kierunku, aniżeli obóz orientacji rosyjskiej.

Obóz niepodległościowy powstał z idei walki czynnej z Rosją i w tej walce wyrósł na wielką siłę polityczną i moralną w Polsce. Upadek caratu w Rosji i ogłoszenie przez Tymczasowy Rząd Rosyjski manifestu, uznającego Niepodległość Polski Zjednoczonej, stanowiły moment zwrotny w dziejach obozu niepodległościowego. Sądziliśmy, że walkę z Rosją należy jeśli nie zaprzestać, to przynajmniej za-

wiesić i całą uwagę, wszystkie nasze siły skierować przeciwko państwow centralnym, w których posiadaniu znalazła się de facto całość ziem polskich. Ciężką i beznadziejną wydawała się taka walka, a jednak podjęliśmy ją. Znane są etapy tej walki: odmowa przysięgi przez Legjony, Benjaminów i Szczypiorna, aresztowanie i uwięzienie w Magdeburgu duchowego wodza Polski walczącej — Komendanta, coraz to liczniejsze represje, spadające na legalne lub półlegalne placówki ruchu niepodległościowego — wszystko to były widome znaki wypowiedzianej przez nasz obóz wojny państwow centralnym. Nierówna była to walka: znikoma siła militarna Polski — Legjony — przestała istnieć, jej Wódz był w niewoli, zaś ciężka dłoń okupantów brutalnie dławila wszelaki odruch protestu.

Znaleźliśmy się znowu w podziemiach. P. O. W. została przekształcona na spiskowo-bojową organizację, mającą wcześniej czy później porwać za sobą naród do zbrojnej rozprawy z Niemcami; P. P. S. wierna dawnym swym pięknym tradycjom, wyłoniła ze swoich szeregów Pogotowie Bojowe, które pod moralną opieką „Stanisława“ — Tomasza Arciszewskiego i Mieczysława Mańkowskiego, a pod faktycznem kierownictwem niezapomnianego „Piotra“ — Józefa Korczaka, szybko stało się godnym spadkobiercą wielkiej sławy i tradycji Bojowej Organizacji P. P. S.

Tak oto stały sprawy, gdy kończył się rok 1917.

Siły były nierówne. Z jednej strony sprawna okupacyjna władza potężnych państw, stojących u szczytu swego powodzenia, wzmacniana bezwładem zbiedzonych, ciemnych

mas ludności polskiej i rozdarcie polskiej myśli politycznej, z drugiej — nasz obóz zdziśiatkowany i zdezorganizowany aresztowaniami, pozbawiony swego Wodza.

Byliśmy więc bezsilni, zgnębieni, prześladowani przez władze okupacyjne, szczuci ironją i drwinami wiernej sobie, tyle już lat ciężącej na naszym życiu politycznem polskiej ugody, conajmniej obojętnie patrzącej na to, jak jej „sojusznicy“ kneblowali nam usta i tamowali każdy nasz ruch.

Nic dziwnego, że w tych warunkach, skierowywaliśmy nasze spojrzenia ku Rosji, czujnie chwytając każdą wieść stamtąd idącą i bacznie przysłuchując się temu, co się działo po tamtej stronie frontu — tej głuchej i nieprzeniknionej żywej ścianie ludzkiej. Im gorzej bowiem i ciężej nam było, im nieznosięjsze stawało się życie w Polsce, z tem większą nadzieją i oczekiwaniem zwracaliśmy oczy ku tajemniczej Rosji, objętej pożarem wielkiej rewolucji.

I czyż można było nam się dziwić?

Wówczas, gdy w kraju panowała głucha, cmentarna cisza, tam — tuż obok — szalała burza, narody rwały pęta niewoli, rzucając, jak wyzwanie starej Europie, piękne hasła o prawie każdego narodu do stanowienia o swym losie. Upadł rząd Kiereńskiego, który napróżno usiłował nadal walczyć orężem z imperjalistycznymi Niemcami. Władzę ujęli w swe ręce bolszewicy, którzy rozpoczęli rządy wezwaniem wszystkich walczących narodów do zawarcia powszechnego, sprawiedliwego pokoju. Pozbawieni, wobec surowej cenzury, wszelkich istotnych wiadomości, stanęliśmy w obliczu zagadki. Nikt bowiem w Polsce naprawdę nie wiedział,

jakie istotnie pobudki podyktowały bolszewikom ten śmiały krok inicjatywy pokojowej. Czy był próbą ratowania Rosji, której armja tak szybko rozkładała się, że stawała się niezdolną nawet choćby do biernej obrony swego państwa i zdobyczy rewolucji, gdy tymczasem armje Wilhelma II i cesarza Austrii były jeszcze tak karne, że poszłyby nawet zdobywać Petersburg, aby ujarzmić „rozkielzane żywioły wywrotowe“ i przywrócić monarchję, splacając w ten sposób dług, zaciągnięty ongi wobec Mikołaja I za jego pomoc w roku 1848? Czy może przeciwnie, płynęła ta propozycja pokojowa ze świadomości potęgi rosyjskiej rewolucji i przeświadczenia, iż zmęczone straszliwą rzezią narody rzucą broń i z wiarą i tęsknotą wyciągną swe ręce skrwawione ku płonącemu niby pochodnia ognisku rosyjskiej rewolucji i ulegając urokowi wielkich jej hasel, zechcą jąć się przebudowy świata na nowych, lepszych zasadach?

Sprzeczne bowiem wieści szły ku nam z Rosji. Z jednej strony opowiadano, iż za butelkę rumu sprzedawali rosyjscy żołnierze armaty, konie, z drugiej — telegraf iskrowy niósł z Moskwy wieść wszystkim, że pokój, który proponują nowi władcy Kremlu, „ma być pokojem narodów, honorowym pokojem porozumienia, bez aneksyj i kontrybucyj, pokojem, który zawierać mają wszystkie narody i narodowości, wciągnięte do wojny, lub zmuszone do ponoszenia jej skutków wbrew swej woli“.

Oto podjęte zostały rokowania w Brześciu Litewskim. Delegacja rosyjska formułuje słynne sześć tez, w których głosi między innemi, że pokój musi być bez aneksyj i kon-

trybucyj, że musi być przywrócona niepodległość państwom podbitym podczas obecnej wojny, że wśród narodów, które przed wojną niepodległości nie posiadały, musi być zagwarantowane przeprowadzenie referendum przy jednoczesnem opuszczeniu przez zwycięzców okupowanych terenów. W tych samych tezach czytaliśmy twierdzenie, że Polska dała już wyraz swemu dążeniu do niepodległości.

Przychodziły pozatem głuche wieści, że rząd sowiecki ogłosił jednocześnie manifest przyznający wszystkim narodom wchodzącym w skład imperjum rosyjskiego prawo do samookreślenia się, a nawet prawo do oderwania się od państwa rosyjskiego.

Nic też dziwnego, że wówczas, gdy rządy państw centralnych nie liczyły się z Radą Regencyjną i z rządem prof. J. Kucharzewskiego, wszystkie te żądania rosyjskie, tak wyraźnie biorące w obronę obezwładnioną Polskę, musiały zelektryzować polskie społeczeństwo, musiały obudzić w niem nadzieję. Byli nawet tacy — jak to się zawsze u nas dzieje, którzy napewno wiedzieli, jakoby wojska okupacyjne otrzymały już rozkaz opuszczenia granic Polski, jakoby lada dzień odbyć się miały wybory do Sejmu i t. p.

To też, gdy rokowania w Brześciu zostały chwilowo zawieszone z powodu różnic w poglądach na sprawę opuszczenia okupowanych terenów, każdy uświadamiał sobie, że zmaganie się między rewolucją rosyjską a państwami centralnemi z dziedziny walki orężnej przeniosło się w dziedzinę walki ideowej. Nowi władcy Rosji wierzyli, iż rządy państw centralnych ulęką się groźby, że pożar rewolucyjny prze-

rzuci się do Niemiec i Austro-Węgier. Wyrazem tej wiary było wysunięte przez rząd sowiecki żądanie przeniesienia rokowań na teren państwa neutralnego. Ideologiczna walka dosięgła największego napięcia.

Państwa centralne odrzuciły wszystkie propozycje rosyjskie. Sowiety ukorzyły się i wróciły do Brześcia Litewskiego. Zgoda Trockiego na odrębne rokowania z Ukrainą, uderzenie gen. Hoffmana pięścią w stół, wszystkie te fakty świadczyły o tem, że państwa centralne są pewne siebie, że nie żywią zbyt wielu obaw wobec rewolucyjnych frazesów Trockiego, w istocie rzeczy nie mającego do swej dyspozycji żadnej realnej siły zbrojnej. Jasne stało się dla nas, że pokoju naprawdę sprawiedliwego nie będzie, że Rosja Lenina i Trockiego, ratując siebie, będzie zmuszona zawrzeć pokój upokarzający, którego ofiarą padnie przede wszystkim Polska. Trzeba było tedy szykować się do walki zbrojnej z Niemcami.

Jeszcze nie wszystko było stracone. Jeszcze walczyła koalicja. Potężna Ameryka przez usta Wilsona, w jego historycznych 14 punktach, wyraźnie postawiła sprawę polską. Należało przeto dać dowód, że Polska istotnie walczy o swą niepodległość, że chce stanąć z bronią w ręku obok koalicji.

Należało więc nanowo podjąć się pracy nad zorganizowaniem własnej siły zbrojnej. Nie można było jednak tworzyć jej w kraju. Idąc tedy utartymi drogami polskiej powstańczej tradycji, trzeba było szukać możliwości do stworzenia jej poza krajem. Gdzie? I tu myśli nas wszystkich biegły ku Rosji.

Było dla nas oczywiste, że Rosja sowiecka, nawet przyjmując upokarzający pokój z Niemcami, faktycznie nie pogodzi się z narzuconemi jej warunkami, zwłaszcza, że reakcyjne, imperjalistyczne Niemcy i strupieszała monarchja Habsburgów, siłą rzeczy były głównemi twierdzami starego ustroju społecznego. Wszyscy więc, którzy gotowi byli walczyć z Niemcami, będą zatem niewątpliwie traktowani przez Rosję jako sojusznicy. Rozkładająca się armja rosyjska, posiadająca nadmiar wojennych środków technicznych, wielka ilość żołnierzy i uchodźców polskich, bezgraniczne przestrzenie Rosji — wszystko to przemawiało do nas za możliwością stworzenia w Rosji silnej armji polskiej, która w odpowiedniej chwili wkroczyłaby do kraju, aby dokonać dzieła jego wyzwolenia.

Jednocześnie zaś dochodziły do nas z Rosji wieści, że tworzy się tam armja polska: były to jednak wieści, które nie tylko, że nas nie cieszyły, lecz coraz bardziej niepokoiły. Ze zdumieniem dowiadaliśmy się o tem, że na czele tej armji postawiono byłego generała carskiego. Nie mogliśmy pojąć w jaki sposób reprezentantami politycznymi kierunku, który dążył do stworzenia polskiej siły zbrojnej w objętej rewolucją Rosji, stać się mogli ludzie, którzy jeszcze wczoraj byli mężami zaufania carskich ministrów i dygnitarzy. Z wiadomości, które tak skąpo nas dochodziły, wynikało, że polski obóz demokratyczny, na czele którego stał Aleksander Lednicki, prowadził politykę odpowiadającą polityce obozu Rady Regencyjnej i utrudniał jednocześnie sprawę formowania tam armji polskiej.

O działalności P. P. S. w Rosji nie mieliśmy żadnych wiadomości i obawialiśmy się, że wszystkie nadzieje pokłada ona na rychły wybuch rewolucji w Niemczech, która dałaby automatycznie wolność Polsce. My zaś tu na miejscu w rewolucję w Niemczech nie wierzyliśmy.

Tak, czy inaczej, ale fakt pozostał faktem: armja polska, o sile której krążyły fantastyczne wieści, była formowana przez reakcyjne żywioły polskie, które mogły z tej armji polskiej uczynić sojuszników rosyjskiej reakcji, a w razie wkroczenia do Polski, posługiwać się nią do walki z polską demokracją. My zaś, będąc również zwolennikami idei tworzenia armji polskiej w Rosji, pragnęliśmy, aby była ona formowana przez polskie żywioły demokratyczne, pod znakiem sojuszu z ludem rosyjskim i koalicją, i aby wkraczając do Polski reprezentowała te same polityczne i społeczne ideały, którym hołdowały Legjony Komendanta Piłsudskiego.

Czuliśmy, że zachodzi tragiczne, groźne w swych nieobliczalnych skutkach nieporozumienie między nami, a polskim obozem niepodległościowym i demokratycznym w Rosji, który stracił duchowy kontakt z nami i poszedł złą drogą. Trzeba było za wszelką cenę wyjaśnić to nieporozumienie, poinformować naszych przyjaciół w Rosji o istotnej sytuacji w kraju i zawrócić ich z fałszywej drogi. Ale przedzielał nas mur wojennego frontu — zdawało się nie do przebycia.

Nie mieliśmy jednak prawa załamywać ręce i biadać. Należało nawiązać łączność i uzgodnić program działania

z emigracją w Rosji, posiadającą nieograniczoną swobodę działania i wszystkie dane do stworzenia tam polskiej rewolucyjnej siły zbrojnej.

Tak obóz niepodległościowy w Polsce oceniał sytuację międzynarodową na początku 1918 roku — tego roku, który stał się ostatnim rokiem wielkiej wojny światowej.

I

Był jeden ze styczniowych wieczorów 1918 roku, tak samo smutny i ponury w swej beznadziejności, jak każdy poprzedni i następny wieczór.

Zebraliśmy się przypadkowo w mieszkaniu Janusza Jędrzejewicza na pogawędkę. Oprócz gospodarza obecni byli Bronisław Ziemięcki, Marjan Klott i ja. Jak zwykle rozmowa obracała się około wypadków w Rosji i mylnej polityki naszych przyjaciół politycznych, przebywających na emigracji. Wszyscy zgadzaliśmy się na jedno: trzeba, aby ktoś z kraju przedarł się przez front do Rosji. Przyjaciele moi zgodnie twierdzili, że ja byłbym najodpowiedniejszym kandydatem na takiego emisariusza, gdyż wyrosłem w Rosji, świetnie władałem językiem rosyjskim, byłem na uniwersytecie w Petersburgu, przytem w pierwszym roku wojny z ramienia Komendy Głównej P. O. W. kilkakrotnie jeździłem do Petersburga, Moskwy, Kijowa, gdzie miałem stosunki i znajomości nie tylko wśród polskiej emigracji, lecz i wśród rosyjskich rewolucyjnych kół.

Nie tailem, że z rozkoszą dałbym nurka w tajemnicze rozhukane morze rosyjskiej rewolucji, gdzie nie było ani nienawistnych okupantów, ani szarpiącej nerwy podziemnej, konspiracyjnej pracy.

Ale jak to zrobić?

Centralny Komitet P. P. S. nie miał pieniędzy, nie miała ich także Komenda Główna P. O. W., tembardziej zaś nikt z nas osobiście. Pozatem byłem związany moralnie pracą w Biurze Pracy Społecznej, pracą naukową, gdzie miesiące upływały na zbieraniu materiałów, nim przystąpiło się do ich opracowania. Właśnie byłem w tej sytuacji, że dopiero przystępowałem do pisania książki. Miałem tedy skrupuły rzucać Biuro w takim stadjum mych prac. Dlatego też tylko smutno uśmiechnąłem się w odpowiedzi na propozycję mych przyjaciół.

A jednak los chciał inaczej. W kilka dni później spotyka mnie Ziemięcki komunikując, że Liga Kobiet — kierowana instynktem dobrych polek i wyczuwająca zawsze z jaką pomocą należy przyjść obozowi niepodległościowemu — zwróciła się do Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. z oświadczeniem, że uważa za konieczne, aby obóz niepodległościowy wysłał swego emisariusza do Rosji. Liga Kobiet odniosła się z tem do P. P. S., uważając, że najlepiej, aby tym emisariuszem był pepesowiec, ze względu na ówczesną sytuację rosyjską. Pieniądzy na drogę dla tego emisariusza Liga Kobiet podejmowała się dostarczyć ze swych funduszków. Wybór kandydata na emisariusza pozostawiała Liga Kobiet do uznania Centralnemu Komitetowi Robotniczemu P. P. S.

C. K. R. propozycję Ligi Kobiet przyjął z uznaniem, jednocześnie zaś zdecydował, że do wypełnienia tej misji najbardziej odpowiednim kandydatem byłbym ja.

Trudno wypowiedzieć, jak byłem zaskoczony tą propozycją tak ponętną i zaszczytną, a jednocześnie tak odpowiedzialną. Cieszyła mnie myśl, że mógłbym uciec na kilka miesięcy z tej strasznej atmosfery przygnębienia i bezwładu, w której dusiła się Warszawa. Głaskało mą ambicję, że na mnie

padł wybór, jako na zdolnego do przedarcia się przez front tam i z powrotem.

Nie mogłem jednak natychmiast ustosunkować się do uczynionej propozycji, mając moralne zobowiązania wobec swej rodziny i wobec Biura Pracy Społecznej, gdzie pensja była w gruncie rzeczy stypendjum naukowem. Dlatego też prosiłem o kilka dni zwłoki, zanim będę mógł dać ostateczną odpowiedź.

W domu, gdy zakomunikowałem o uczynionej mi propozycji, znalazłem całkowite zrozumienie i aprobatę. Uświadamialiśmy sobie możliwe niebezpieczeństwa takiej wyprawy, ale należeliśmy do tego samego obozu ideowego. Ileż żon lub narzeczonych moich kolegów i przyjaciół miały swych najbliższych w Legjonach, wówczas gdy mnie rozkaz mej władzy ideowej nakazywał pracować na tyłach w P. O. W.

Sądziłem, że trudniej mi będzie uzyskać zgodę na wyjazd w Biurze Pracy Społecznej. Ale i tu nie spotkałem się z żadnemi zastrzeżeniami. Przeciwnie. Nietylko p. Włodzimierz Wakar, ówczesny Dyrektor Biura Pracy Społecznej, lecz i p. Zygmunt Chrzanowski — Prezes Zarządu, działacz z wręcz przeciwnego obozu politycznego, lecz człowiek o wielkiej kulturze i tolerancji politycznej, uznali, że podróż moja do Rosji ma doniosłe znaczenie dla wszystkich kierunków politycznych w Polsce, i chętnie zgodzili się na udzielenie mi trzymiesięcznego urlopu.

Wobec tego propozycję C. K. R. P. P. S. przyjąłem i zacząłem przygotowywać się do drogi.

Chodziło teraz przede wszystkim o dostanie się do Lwowa, do którego trudno było otrzymać przepustkę z Warszawy.

Od Adama Skwarczyńskiego, z którym wspólnie redagowaliśmy „Rząd i Wojsko“ i z którym już wówczas łączyły

mnie węzły serdecznej przyjaźni, dowiedziałem się, że jedzie do Lwowa Adam Lisiewicz zdawać ostateczne egzamina na uniwersytecie. Adam Lisiewicz, syn znanego działacza lwowskiego, był wówczas podprokuratorem we Włocławku, lecz formalnie należał jeszcze do Legionów i chodził nawet w mundurze porucznika legionowego. Powstał więc projekt, abym pojechał jako jego ordynans, na co Lisiewicz chętnie się zgodził.

Wyjazd mój, aby uniknąć w przyszłości szykan i utrudnień ze strony władz okupacyjnych po powrocie do kraju, utrzymywałem w najściślejszej tajemnicy nawet wobec bliskich moich przyjaciół. Wśród tych nielicznych, którzy wiedzieli o mym wyjeździe, w pierwszym rzędzie naturalnie był mój najserdeczniejszy przyjaciel i najbliższy mi duchowo Tadeusz Szturm de Sztrem, który wziął czynny udział w organizowaniu mej wyprawy. Ściągnął on z różnych stron mundur, płaszcz legionowy, plecak i t. p.

Zbliżał się termin wyjazdu, który został wyznaczony na dzień 20 stycznia. Przed wyjazdem Centralny Komitet Robotniczy P. P. S. odbył ze mną naradę, na której otrzymałem polecenie z jednej strony poinformować całą emigrację lewicową o naszym froncie antyniemieckim i wezwać ją do formowania demokratycznej armji polskiej w Rosji, z drugiej zaś strony — zwrócić uwagę P. P. S. w Rosji na ustosunkowanie sił w kraju, przestrzec ją przed zlaniem się z ruchem bolszewickim, natomiast polecić wykorzystanie stosunków w Rosji w kierunku zorganizowania czynnej polskiej rewolucyjnej siły, mogącej w odpowiednim momencie przyjść krajowi z wydatną pomocą w walce z okupantami. Poza tem otrzymałem pisany na cienkiej bibułce mandat, stwierdzający, że jestem delegatem Centralnego Komitetu Robotniczego Polskiej Partji Socjalistycznej. Odbyłem również konferencję z Zarządem Ligi Kobiet. Zarząd Ligi Kobiet podob-

nie jak i Centralny Komitet P. P. S. podniósł konieczność zwrócenia uwagi emigracji na sprawę tworzenia armji do walki z Niemcami, pozatem zaś zacne panie serdecznie mnie prosiły dowiedzieć się o losie legionistów, będących w niewoli rosyjskiej.

Przyszedł dzień wyjazdu. Aby nie zwrócić uwagi stróża tego domu gdzie mieszkałem, postanowiłem przebrać się w mundur legionowy u p. Ostrowskiej, gorliwej zwolenniczki ruchu niepodległościowego, w mieszkaniu której ulokowane było wówczas konspiracyjne biuro Pogotowia Bojowego P. P. S. Kochany Tadeusz Szturm de Sztrem zawiązał tam uprzednio bieliznę i wszystkie nieliczne przedmioty, które mogły zmieścić się w plecaku. Wkrótce po nim i ja udałem się do tego mieszkania, skąd po godzinie wyszedł już legun, z plecakiem i z walizką, w której spakowane było moje cywilne ubranie. Razem ze mną wyszedł Tadeusz Szturm de Sztrem. Wzięliśmy dorożkę. Podróż moja zaczęła się.

Pojechaliśmy do hotelu „Savoy“, gdzie zatrzymał się porucznik Lisiewicz. Stamtąd, kilka kwadransów później wyszedł porucznik legionowy, a za nim dryblas-legun obładowany walizkami i pakunkami. Na dworcu wiedeńskim, wobec tego, że do odejścia było jeszcze sporo czasu, pan porucznik poszedł do bufetu, a ordynans został przy rzeczach. Wałęsający się po dworcu „kanarek“ z żandarmerji Wehrmachtu mało miał wówczas do roboty z bracią legionową, w ogromnej swej większości przebywającą za drutami lub na froncie włoskim: zajrzawszy do poczekalni i zobaczywszy mnie rzucił się jak jastrząb, żądając dokumentów. Ale właśnie w tym momencie wrócił do sali Lisiewicz i groźny jastrząb zaskakał i zaśpiewał jak prawdziwy kanarek, gdyż znał porucznika Lisiewicza z dawnych jeszcze czasów. Gotów był nawet pomóc mi dźwigać pakunki, ale — jak przysta-

ło na „solidnego ordynansa“ — wyniośle podziękowałem za pomoc tego tak nienawistnego dla każdego leguna ptaszka.

Ulokowałem więc mego pana porucznika razem z jego walizkami — a na wszelki wypadek i z moją — w wagonie drugiej klasy, sam zaś udałem się do wagonu wojskowego trzeciej klasy. Pełno było wracających z urlopu żołnierzy niemieckich. Wszyscy mieli smutne, szare twarze. Widać było, że myślami byli jeszcze przy ognisku domowem. Wyszedłem na korytarz i stanąłem przy oknie.

I ja myślami byłem jeszcze w domu. Jeszcze widziałem oczyma miłości i żalu, moją małą dwuletnią córeczkę, drepącą na stole i wesoło śmiejącą się, a jednocześnie ze zdziwieniem patrzącą, dlaczego na jej małe, drobne rączki tak żarliwie całowane, spadają gorące, głupie lzy jej „Tatka“.

A przyszłość? Co niesła mi ona?

Zamajaczył przed memi oczyma wysoki, tajemniczy mur, najeżony bagnetami, opasany drutem kolczastym, zwany „frontem“, który musiałem za każdą cenę przebyć. Gdzie i w jaki sposób to uczynię, nie wiedziałem jeszcze.

W tej niepewności i niemożności przewidzenia czegokolwiek naprzód, było wiele uroku, lecz i niepokoju, zaś z głębi duszy przedzierał się zdradziecki szept złego ducha słabości, mówiący: „cofnij się, jeszcze czas!“

Z tej bolesnej rozterki moich myśli i uczuć, wyrwał mię głos zwracający się do mnie po polsku:

— Gdzie to Pan Legjonista jedzie?

Pytanie to padło z ust stojącego tuż przy mnie, niemieckiego żołnierza, jak się potem okazało z rozmowy, poznańczyka. Nie ukrywał on swej do mnie niechęci, jako do tego, który z dobrej woli poszedł bić się obok „szwabów“.

Nie chciałem zaczynać z nim na ten temat dysputy. Zacząłem więc ze swej strony rozpytywać go o różne rzeczy. Z rozmowy tej utkwiał w mej pamięci ciekawy szczegół. Otóż

okazało się, że poznańczyk był tłumaczem w komendzie wojskowej w jednym z miasteczek na Białorusi. Ze śmiechem opowiadał mi o zdziwieniu, które wywołał w całej kompanji swoim wystąpieniem przed front, kiedy poszukiwano kogoś, znającego język polski. Przez dwa lata pobytu w tej samej kompanji tak dalece nie zdradzał się ze swoją polskością, iż wszyscy byli przekonani, że był rodowitym Niemcem.

— Dlaczego kryliście się z tem, że jesteście Polakiem? — spytałem.

— A pocóż miałem przyznawać się? — aby mi dokuczano i gnębiono? Przyznałem się, gdy już mogłem pójść z frontu!

Ze zdziwieniem spojrzałem na niego. Reprezentowaliśmy dwa typy Polaków, których psychika przez sto lat kształtowała się w zupełnie odmiennych warunkach.

Tymczasem pociąg już dawno był w biegu. Szybko mijał mi czas. Pochłonięty myślami, nie zauważyłem, jak przyszedł wieczór i stanęliśmy w Brześciu Litewskim. Musieliśmy wysiadać i poczekać parę godzin na pociąg idący przez Kowel do Lwowa. Godziny oczekiwania na przyście pociągu, spędziłem w kantynie żołnierskiej.

Wyczuwało się już bliskość frontu. Przedewszystkiem uderzało ogólne zmęczenie. Na twarzach wszystkich żołnierzy malowała się straszliwa apatja. Widać było, że ci ludzie przestali już wierzyć w koniec wojny, mimo że w tym samym Brześciu odbywały się rokowania pokojowe. Przypadkowo byłem świadkiem wyjazdu do Wiednia hr. Czernina, żegnanego na dworcu przez oficerów niemieckich, austriackich i bułgarskich. Mundury rosyjskiego typu tych ostatnich właśnie zwróciły mą uwagę na ten wyjazd.

W międzyczasie odnalazł mnie Lisiewicz i zaproponował pójście na spacer. Była noc księżycowa. Upiornie wy-

glądało miasto, leżące w gruzach i opuszczone przez mieszkańców. Gdzieniegdzie tylko świeciły okna w ocalałych domach, przeważnie zajętych przez okupantów.

Wreszcie przyszedł czas odjazdu. Odnaleźliśmy nasz pociąg. Zabawna była scena, gdy jakiś pijany żołnierz niemiecki przeraźliwie gwizdał i darł się na cały głos: Abfahr! Próbował mitygować go jakiś oficer niemiecki, lecz czynił to tak grzecznie i nieśmiało, że nie wywierało to najmniejszego wrażenia na pijaku. Widocznie swój zwykły ton wobec żołnierzy zgubił w tem mieście rokowań pokojowych, gdzie członkami bolszewickiej delegacji byli prości żołnierze, którym niemieccy generałowie musieli serdecznie ścisnąć dłonie. Nie brakło zresztą i innych przykładów wpływu wydarzeń rosyjskich na rozluźnienie dyscypliny w armji niemieckiej. Oto w wagonie młody żołnierz niemiecki, ku widocznemu zgorszeniu starego niemieckiego feldfebla, z zapalem dowodził, że wkrótce i w Niemczech wybuchnie rewolucja, a wówczas naprawdę przyjdzie pokój.

Z wielką uwagą przypatrywałem się temu wszystkiemu. Tak wiele zależało od tego czy wojska niemieckie pójdą również za przykładem wojsk rosyjskich. Lecz obserwując każde takie zajście, każdą taką scenę, wsłuchując się w każdą rozmowę, coraz bardziej przychodziłem do wniosku, że są to tylko iskry fajerwerku, które zapalają się jeno na chwilę przelotną, by potem szybko zgasnąć w morzu bezgranicznego zmęczenia i biernego pogodzenia się z losem.

II

Następnego dnia przed południem byliśmy we Lwowie. Odrazu udałem się do Kazimierza Świtalskiego, od którego miałem dowiedzieć się, czy J. Moraczewski jest we Lwowie, a pozatem, czy lwowska organizacja P. O. W. zgodnie z otrzymanem poleceniem nawiązała łączność z Rosją. Dowiedziałem się, że Moraczewski kilka dni przedtem wyjechał do Wiednia, skąd miał wrócić do Krakowa. Co się zaś tyczy nawiązania łączności z Rosją, to pod tym względem nic jeszcze nie było zrobione. Z Moraczewskim, który był wtedy zarówno w P. P. S., jak i w P. O. W. przywódcą kierunku dążącego do zdecydowanej i otwartej walki z państwami centralnemi, musiałem widzieć się, by otrzymać od niego informacje o ogólnej sytuacji politycznej i jednocześnie przy jego udziale uzgodnić moją działalność z P. O. W., która szykowała się do rozciągnięcia swej pracy i na Rosję. Wobec tego zdecydowałem się jechać do Krakowa. Miałem ze sobą paszport niemiecki, ale bez wizy na pobyt w Galicji. Zdobyć odpowiedni dokument pomogła mi obecna żona Adama Skwarczyńskiego, a ówczesna jego narzeczoną, która wydobłała od jednego ze swych kolegów austriacką legitymację z tak dobrą fotografią, że śmiało mogłem podawać się za jej właściciela. Z tą legitymacją pojechałem do Krakowa. Moraczewski jeszcze nie wrócił. W oczekiwaniu na nie-

go, za poradą p. Heleny Radlińskiej, zalegalizowałem swój paszport niemiecki w Dyrekcji Policji Krakowskiej. Zaczęło się od grózb, że będę wysłany pod strażą do Warszawy. Zawdzięczając jednak małym, lecz widocznie ważkim bilecikom p. H. Radlińskiej do różnych komisarzy, skończyło się na tem, że zaproponowano mi zapłacenie 20 koron kary za przekroczenie granicy bez pozwolenia. Z miny komisarza widziałem, że powiedział tę sumę będąc przygotowany na krakowski targ. Skwapliwie jednak tę sumę zapłaciłem i otrzymałem wizę, która dawała mi możność swobodnego poruszania się po Galicji.

Tymczasem Moraczewski wciąż nie wracał. Niecierpliwiło mnie to bardzo, lecz jednocześnie pozwalało mi lepiej rozejrzeć się i zorjentować w nastrojach Galicji. Im bliżej przyglądałem się, tem bardziej wzrastało moje zdziwienie.

Tu był zgoła inny nastrój, niż w Królestwie. Tam bezgraniczne przygnębienie, bierne pogodzenie się z nieuniknionem zwycięstwem Niemiec, — tu przeciwnie, wyraźnie narastająca energja rewolucyjna, pogarda i nienawiść do Austrii. Ze zdumieniem widziałem, że ta sama Narodowa Demokracja, która siedziała jak mysz pod miotłą w Warszawie i nie chciała zgodzić się na żaden śmielszy krok wobec Niemców, — tu, w Krakowie, nie kryła się ze swemi anty-austrjackimi nastrojami.

Byłem, na przykład, na zwołanem przez Narodową Demokrację zebraniu za zaproszeniami, zdaje się w sali starego ratusza. Sala była wypełniona po brzegi. Występowało kilku mówców, między innymi St. Stroński. Wszystkie mowy miały rewolucyjny charakter i ostrzem swem skierowane były nie tyle przeciwko Niemcom, ile przeciw Austrii. Entuzjazm, z jakim każde słowo obelżywe o Austrii było przyjmowane przez zebranych, świadczył, iż wszyscy mieli już dość tej starej, spróchniałej Austrii. Z największą pasją

mówił Stroński. Swoją wymową porwał nawet prof. I. Chrzanowskiego, który przyjacielsko pociągnął go za jego kozią bródkę, gdy zszedł z trybuny, dając w ten sposób wymowny wyraz swemu zadowoleniu. Całe szczęście Strońskiego, że nie wszyscy mogli w tak poufaly sposób wyrażać mu swe zadowolenie, bo rzeczywiście doskonale mówił.

Ale jeszcze bardziej wrogi nastrój, jak się w kilka dni później przekonałem, panował w szeregach proletariatu. Przez P. P. S.-D. została zwołana do Krakowa konferencja mężów zaufania z całej Galicji. Tak wzburzonej konferencji — jak ta — nie pamiętam. Wszyscy delegaci od swych organizacyj mieli nakaz żądać proklamowania strajku generalnego, jako hasła do rozpoczęcia walki z Austrią i odcięcia jej od frontu wschodniego. Wszyscy mówcy z całą energją parli w tym kierunku. Nie pomogła gorąca przemowa Daszyńskiego, wykrzyknikami i hałasem przerywano Diamandowi.

Nie zapomnę nigdy jednej drobnej scenki z tej konferencji. Jak zawsze spokojnie, drapiąc się za uchem i pykając z fajeczki, przemawiał Diamand, wykazując przedwczesność strajku generalnego. Przemówienie jego było wciąż przerywane okrzykami, na które Diamand nie zwracał żadnej uwagi. Nagle pada okrzyk:

— Dość tego! Hamulcem jesteście!

— Tak jest! — z całym spokojem odpowiada Diamand, — ale każdy człowiek ma hamulec, a tym hamulcem jest rozum.

Nagła cisza zapanowała na wzburzonej sali. Widać było, że każdy w duchu pomyślał: czego, jak czego, ale tego hamulca nie brak Diamandowi.

To powiedzenie przełamało nastrój sali. Argumentów Diamanda zaczęto słuchać uważniej — i wreszcie przywódcom z wielkim wysiłkiem udało się opanować sytuację i nie dopuścić do proklamowania generalnego strajku.

Nietylko jednak w Krakowie panował taki nastrój. To samo działo się i we Lwowie. Dnia 2 lutego odbyła się tam wielka demonstracja zakończona strzelaniną wojska i policji do tłumu, wśród której padł trupem jeden student i został ciężko ranny uczeń gimnazjalny. Pogrzeb zabitego zamienił się w wielką narodową i antyaustriacką manifestację Lwowa.

Słowem czuło się, jak Galicja szybko duchowo wyzwala się z kajdan niewoli, jak coraz płomienniej zaczyna tęsknić do wolności. Na tle tego nastroju Galicji, stała się dla mnie zrozumiałą historyczna rezolucja Koła Sejmowego na zebaniu w Krakowie 28 Maja 1917 roku.

Nic też dziwnego, że czułem się dobrze w Krakowie, tak bliskim mi i drogim jeszcze z czasów mego pobytu w Szkole Strzeleckiej w 1910 r., a następnie z roku spędzonego na Wszechnicy Jagiellońskiej.

Niecierpliwiłem się jednak, oczekując Moraczewskiego. Byłem już zdecydowany jechać do Wiednia, gdy dowiedziałem się o jego przyjeździe do Krakowa. Spotkałem się z nim w Redakcji „Kultury“, skąd Moraczewski zabrał mię do swego domu. Mieszkał daleko za miastem u stóp Kopca Kościuszkowskiego. Konferencja nasza trwała dość długo. Moraczewski scharakteryzował mi ogólną sytuację w państwach centralnych, słusznie przewidując, że dni monarchji Habsburgów są policzone, i że w tych warunkach stworzenie w Rosji armji polskiej ma wielkie znaczenie.

Moraczewski zakomunikował mi pozatem, że zdecydowali z Rydzem-Śmigłym wśród za mną wysłać na teren Rosji kilku wybitnych oficerów-legjonistów, aby nawiązali tam łączność z powstałą armją polską, starając się ująć w swe ręce jej organizowanie, jednocześnie zaś tworząc P. O. W.

Barthel de Weydenthal miał być tym, któremu zostaną

podporządkowani wszyscy inni oficerowie udający się do Rosji.

— Uprzedzam Was, — powiedział do mnie Moraczewski, że będziecie mieć wiele kłopotu z Bartą (taki był pseudonim Barthla de Weydenthala). Jest to człowiek niezwykłych zdolności, lecz jednocześnie bardzo zarozumiały i ciężki w spółzyciu. Niech jedzie: tam może ujawnić i w pełni rozwinąć swe zdolności. Kto wie, może to istotnie nowy Napoleon — a może tylko zarozumialec o wybujałej chorobliwej ambicji.

Wobec takiej charakterystyki Barty, oświadczyłem, że to bardzo dobrze, iż on jedzie; — ale jeśli moja misja ma mieć powodzenie, to zakres mej pracy politycznej musi być wyraźnie odgraniczony od jego wojskowej, w dziedzinie politycznej musi być mi podporządkowany i nie wolno mu przedsięwziąć żadnych decydujących kroków bez mej zgody.

Moraczewski całkowicie mój pogląd podzielił i obiecał omówić tę sprawę z Rydzem-Śmigłym.

Następnie przeszliśmy do sprawy ewentualnej mojej marszruty. Zaproponowałem, aby punktem zbornym dla wszystkich, którzy zostaną wysyłani na tamtą stronę, był Płoski-rów, ze względu na to, że mieszkała tam matka byłej mej żony Heleny z domu Derewojed. Znając jej gościnność i patryjotyzm byłem pewny, że każdy znajdzie w jej domu pomoc i schronienie oraz wskazówki, gdzie należy mnie szukać.

Chodziło teraz o to, jaką drogą tam się dostać. Moraczewski zaproponował mi, abym przedostał się przez Tarnopol ze względu na to, że tuż za Tarnopolem był front. Mieszkał tam również szwagier Moraczewskiego, Prezes Sądu Okręgowego Włodzimierz Kozicki. Coprawda bawił on wtedy w Zakopanem, gdzie spędzał urlop, otrzymany po uwolnieniu Tarnopola przez wojska austriackie, gdyż podczas okupacji rosyjskiej przetrwał on na swem stanowisku, z godno-

ścią broniąc interesów ludności przed bezprawiem i gwałtami rosyjskich władz wojskowych. Ciesząc się w Tarnopolu ogólnym szacunkiem, mógł dać mi listy polecające do ludzi, którzy dopomogliby mi w przedostaniu się przez front. Moraczewski radził mi jechać z jego listem polecającym do Zakopanego. Chętnie zgodziłem się na to, tembardziej, że nie znałem zupełnie Zakopanego. Tegoż wieczoru wyjechałem.

W pociągu spotkałem znanego mi z Warszawy Tytusa Czaki. Rozpytywałem się go o Zakopane i o góry. Czaki bowiem, będąc chory na płuca, wiele lat przebył w Zakopanem i rozkochany był w Tatrach. Ja, który całe dzieciństwo spędziłem u stóp potężnych gór Tiań-Szaniu w Turkeistanie i namiętnie kocham góry, cieszyłem się, że wkrótce oddychać będę górskim powietrzem i napawać swój wzrok cudnymi widokami.

Przyjechaliśmy do Zakopanego. Wychodząc z pociągu rozglądałem się wokół, szukając potężnego łańcucha Tatr.

— Gdzież Tatry? — pytam wreszcie Czakiego.

— Jakto gdzie? — odpowiada Czaki, patrząc na mnie ze zdziwieniem, i wskazuje mi Giewont.

— Co? te pagórki? To Tatry? — wykrzykuję rozczarowany.

— Jakie pagórki? — woła oburzony Czaki, — widocznie nigdy nie widzieliście prawdziwych gór.

Uśmiechnąłem się tylko. Stał mi przed oczyma potężny, majestatyczny łańcuch gór. Ileż to razy me oczy chłopięce spoglądały na wieczne, niepokalane w swej śnieżnej białości, stopą ludzką nietknięte lodowce, jak zwały djamentów błyszczące w oślepiającym blasku rozżarzonego dnia lipcowego. Ileż to razy pchany dziwną siłą uroku tych gór niebotycznych, szedłem, aby w niemym zachwycie patrzeć na śpiące olbrzymy, w błękitnej, drgającej mgłę księżycowej

nocy, wydające się murami i wieżami tajemniczego, zaklętego zamku.

Góry mej młodości, dokąd, gdy przychodziła wiosna taka pachnąca i bujna, uciekałem na wiele godzin z dusznych sal gimnazjalnych!

Pożegnałem się ze zdziwionym i oburzonym towarzyszem podróży, gdyż chciałem zostać sam ze swemi wspomnieniami. Był jeszcze wczesny ranek, a więc nie czas na wizytę. Skorzystałem z tego i poszedłem na spacer.

Przezroczyście, czyste górskie powietrze upajało mnie. Ciepły, tak dobrze mi znany wiatr halny niósł zapach sosnowej żywicy i górskich łąk. Ogarnęło mnie nagle pragnienie znalezienia się wśród tych lasów i dolin. Po chwili już szedłem szybkimi krokami w kierunku Kuźnic. Gdy dotarłem tam, zacząłem gorączkowo wspinać się na jakieś wzgórze. Rozkoszowałem się cudnym, ciepłym, słonecznym dniem, całą piersią chłonąc powietrze, nasycone zapachem sosnowych lasów i wilgotnej, parującej ziemi. Przedemną były Tatry — te polskie góry, o których tyle słyszałem i za którymi tak tęskniłem. Zapraszały, kusiły... Niestety, musiałem już wracać. Ociągając się, powoli zawróciłem do Zakopanego.

Państwo Koziccy przyjęli mnie bardzo serdecznie, jako człowieka poleconego przez Moraczewskiego, którego widocznie kochali i szanowali. Pan Kozicki, gdy dowiedział się o celu mej podróży do Rosji, przejął się bardzo moją sprawą i z największą gotowością zgodził się mi pomóc. Dał mi dwa listy polecające do Tarnopola. Jeden do nauczyciela miejscowej szkoły powszechnej p. Czabanowskiego, drugi do jednego ze swych kolegów — sędziego, którego nazwiska dziś już nie pamiętam. Zapewnił mnie, że ci jego znajomi nie odmówią mi swej pomocy.

Resztę dnia spędziłem w miłym towarzystwie pp. Kozic-

kich, słuchając ich opowiadań o okupacji rosyjskiej w Tarnopolu i nawzajem opowiadając im o sytuacji i nastrojach Warszawy.

Następnego dnia byłem zpowrotem w Krakowie. Moraczewski już się porozumiał z Rydzem-Śmigłym i polecił mi udać się niezwłocznie do niego.

Jakkolwiek przed tem spotkaniem Rydza-Śmigłego prawie nie znałem, szybko jednak wytworzyła się między nami atmosfera całkowitego wzajemnego zaufania. Rydz-Śmigły stał w tym czasie na czele P. O. W. Zakomunikował mi o swym zamiarze wysłania kilku oficerów do Rosji, celem nawiązania kontaktu z oddziałami polskimi i założenia organizacji P. O. W.

Rydz-Śmigły całkowicie podzielił pogląd Moraczewskiego, że politycznym przedstawicielem będę ja, zaś do Barty należeć będzie wyłącznie strona wojskowa, t. j. Barcie podporządkowane będą sprawy organizacji polskiej siły zbrojnej, względnie P. O. W., zaś wszelkie umowy polityczne — czy to z polskimi partjami politycznymi w Rosji, czy władzami sowieckimi — należeć będą do mnie.

Aby nie narażać mojej rodziny, pozostałej w Warszawie, postanowiliśmy, że udam się do Rosji pod pseudonimem Tadeusza Horodyńskiego. Jednocześnie jednak zdecydowaliśmy, że mandat na piśmie mam otrzymać na własne nazwisko.

Moraczewskiemu przyszedł szczęśliwy pomysł napisania mego pełnomocnictwa na odwrotnej stronie fotograficznej odbitki mandatu reprezentowania obozu Komendanta Piłsudskiego do chwili jego powrotu z niewoli, mandatu udzielonego Moraczewskiemu i Rydzowi-Śmigłemu przez grono wybitnych działaczy niepodległościowych. Mandat ten był podpisany przez Artura Śliwińskiego, Leona Wasilewskiego,

Hipolita Śliwińskiego, Helenę Radlińską i szereg innych osób, nazwisk których nie pamiętam.

Na odwrotnej stronie tej odbitki Moraczewski napisał własnoręcznie mandat, który brzmiał w sposób mniej więcej następujący: Ob. Tadeusz Hołówko pod pseudonimem Tadeusza Horodyńskiego udaje się do Rosji, jako przedstawiciel obozu niepodległościowego Komendanta Piłsudskiego, i jemu jedynie Moraczewski i Rydz-Śmigły dają wyłącznie prawo przemawiania w imieniu tego obozu na terenie Rosji; każdy inny należący do tego obozu, a znajdujący się już w Rosji, lub przybywający później, ma prawo przemawiać w imieniu obozu Komendanta Piłsudskiego jedynie w tym wypadku, jeśli otrzyma na to upoważnienie na piśmie od ob. Hołówki.

Zaświadczenie to zostało podpisane przez Moraczewskiego i Rydza-Śmigłego.

Otrzymałem tedy wyłączny mandat na polityczne reprezentowanie w Rosji obozu niepodległościowego Komendanta Piłsudskiego. Było to konieczne ze względu na to, że na terenie Rosji przebywało wielu działaczy niepodległościowych, którzy nie odbyli tej ewolucji, jaką my w kraju, i jak dochodziły nas wieści, w dalszym ciągu liczyli na państwa centralne i widzieli w Radzie Regencyjnej istotny i prawowity rząd polski. Szczególnie przyczynił się do pogłębienia tych rozdzźwięków pobyt w 1917 r., w Sztokholmie ś. p. Włodzimierza Kunowskiego, który odbył tam konferencję z przedstawicielami obozu niepodległościowego z Rosji.

Chodziło o to, aby nie zdezwuowano mnie przyjeżdżającego z hasłem walki z państwami centralnymi i nieuznawania autorytetu Rady Regencyjnej. Również chodziło o to, aby Barta jak i następni emisariusze nie prowadzili na własną rękę polityki, która byłaby sprzeczną z moimi poglądami, gdyż mogłoby to spowodować kłótnie i swary między

nami przy jednoczesnej niemożliwości otrzymania szybkiej decyzji z kraju.

Barta nie otrzymał żadnego mandatu na piśmie, gdyż miał stanąć na czele P. O. W. w Rosji i całej wogóle naszej tam roboty wojskowej, prowadzonej przy pomocy młodszych oficerów legjonowych, którzy wyjeżdżając z kraju już wiedzieli, że ich przełożonym będzie Barta, i że jego rozkazom mają całkowicie podlegać. Mojem zaś zadaniem było przeprowadzenie rozmów politycznych i uzyskanie u władz sowieckich dla Barty i jego towarzyszków odpowiednich warunków do szerokiej pracy wojskowej w Rosji.

Spotkanie moje z Bartą nastąpiło w kawiarni Michalika, gdzie całymi dniami przesiadywało bractwo legjonowe — wczorajsi pułkownicy, majorowie i kapitanowie, dziś austriackie „fendryki“, wszystkimi sposobami dekujący się w Krakowie. Barta zrobił na mnie wrażenie człowieka zimnego i pewnego siebie. Potraktował mnie zgóry. Nie bardzo jednak tem się przejąłem, mając swój mandat w kieszeni. Barta miał jakieś sprawy do załatwienia, które zatrzymywały go na parę dni w Krakowie. Zdecydowaliśmy więc, że każdy z nas uda się w drogę na własną rękę, zaś spotkamy się w Płoskirowie, względnie zostawimy tam o sobie wiadomości.

Więcej nie miałem nic do załatwienia w Krakowie, gdzie pobyt mój i tak znacznie się przedłużył. Moraczewski przy pożegnaniu dał mi list polecający do jednego z najstarszych kolejarzy we Lwowie p. Siennickiego, w którym prosił go, aby w razie potrzeby dopomógł mi dostać się do Tarnopola. Zaopatrzony w listy polecające od p. Kozickiego i Moraczewskiego, a co ważniejsza w mandaty od P. P. S. oraz od Moraczewskiego i Rydza-Śmigłego, pełen dobrej myśli wyjechałem zpowrotem do Lwowa.

III

Wróciłem do Lwowa — jeśli się nie mylę — na drugi dzień po demonstracji, podczas której zabici byli student i uczeń gimnazjalny. W każdym razie pamiętam, że brałem udział w ich pogrzebie, który stał się wielką demonstracją całego polskiego Lwowa. Atmosfera była przeziąknięta taką nienawiścią do Austrii, że lada chwila można było spodziewać się wybuchu.

Zamieszkałem znowu u Kazimierza Świtalskiego.

Wieści dochodzące z Rosji nagliły do wyjazdu. Prasę polską obiegła pogłoska, że Mohylew zajęty został przez wojska polskie, które jakoby wzięły przytem do niewoli głównodowodzącego armją bolszewicką Krylenkę. Wieści te trudne do sprawdzenia, wskazywały na to, że wojska polskie w Rosji są na złej drodze. Musiałem więc się śpieszyć.

Pierwszem mojem zadaniem było dostać się jaknajprędzej do Tarnopola. Posiadałem niemiecki paszport okupacyjny, wydany w Warszawie, a w Krakowie — jak już wspominałem — zawizowany na pobyt w Austrii. Zdawało się rzeczą niemożliwą dla obywatela rosyjskiego, jakim byłem w owym czasie, uzyskać pozwolenie udania się za tym paszportem do Tarnopola, leżącego kilkanaście kilometrów od frontu. W dawnej Austrii jednak wszystko było możliwe, zacząłem więc próbować. Zdecydowałem się udać do Ligi Kobiet we

Lwowie. Kazimierz Świtalski poznał mnie z p. Waniczkówną, nauczycielką gimnazjalną, biorącą czynny udział w pracach Ligi Kobiet. P. Waniczkówna, której szczerze wyznałem istotny cel mej podróży do Rosji, z niebywałą energją i zapalem zaczęła robić starania o uzyskanie niezbędnego pozwolenia. Udała się o pomoc do swej koleżanki, żony jednego z komisarzy lwowskiej policji. Energji obu pań zawdzięczam, że w kilka dni na moim paszporcie była przepustka władz cywilnych upoważniająca mnie na wyjazd do Tarnopola. Serdecznie i gorąco dziękowałem p. Waniczkównie za jej pomoc i życzliwość, którą na zawsze zachowam we wdzięcznej pamięci, gdyż tyle w tej pomocy było naturalnej prostoty i uroku.

Niestety przepustka władz cywilnych nie rozwiązywała całkowicie zagadnienia. Należało uzyskać pozatem pozwolenie i od władz wojskowych. Nie pamiętam już, jaką drogą dotarłem do Adama Próchnika — dzisiejszego pośła P.P.S., który wówczas jako oficer austriacki urzędował w jakimś biurze wojskowem we Lwowie. P. Próchnik z całą gotowością podjął się dopomóc mi i zabrał mój paszport. Następnego jednak dnia zakomunikował mi, że znajomy jego oficer austriacki, bardzo wpływowy, oświadczył mu, że nie da się nic zrobić, bo w Tarnopolu znajdują się wojska niemieckie, zaś sztab niemiecki nie uznaje żadnych protekcji i obywatela rosyjskiego do przyfrontowego miasta nie wpuści.

— Co innego gdyby tam stały wojska austriackie, ale niemieckie... I tu podobno dygnitarz austriacki rozłożył ręce na znak, że z uporem niemieckim trudno walczyć.

Wiedziałem, jak trudno jest walczyć z „uporem“ niemieckim, który wzbudzał szacunek nawet w ich wrogu. Odrazu więc zrezygnowałem z planu dostania się do Tarnopola legalnie i postanowiłem jechać tam bez pozwolenia władz. Zdecydowałem, jak mi to radził Moraczewski, udać

się o pomoc do kolejarzy. Poszedłem więc z jego listem do Siennickiego. Zastałem go w łóżku chorego, jak się później okazało śmiertelnie. Siennicki zapoznawszy się z treścią listu Moraczewskiego, przyjął mnie tak serdecznie, jak to tylko uczynić może patrijotyczny i ideowy lwowski robotnik.

— Niema takiej rzeczy, której nie zrobilibyśmy dla naszego towarzysza Moraczewskiego — oświadczył mi Siennicki, gdy wyłożyłem mu cel mej wizyty.

Nie rozpytywał się nawet bardzo, w jakim celu udaję się do Tarnopola: wystarczyło mu, że o pomoc dla mnie prosił ukochany przez kolejarzy galicyjskich Moraczewski, wierny ich opiekun i przyjaciel.

— Kiedy chcecie jechać towarzyszu? — zapytał mnie Siennicki.

— Chociażby jutro — odpowiedziałem.

— Zrobione. Przyjdźcie do mnie jutro przed wieczorem. Spotkacie się tu z kolejarzami z tej brygady, która prowadzi wieczorowy pociąg do Tarnopola. Zabiorą was ze sobą. Ich to już sprawa, by bez żadnych przeszkód tam was zawieźć.

Serdecznie podziękowałem zacnemu kolejarzowi i uszczęśliwiony wracałem do domu.

Była to sobota 9 lutego, gdyż pamiętam, że prasa wieczorna przepelniona była wiadomościami o zawarciu pokoju z Ukrainą. Nie było jednak żadnych szczegółów, pozatem nikt nie przypuszczał, że monarchja Habsburska jeszcze raz zdradzi polaków, oddając iluzorycznej wówczas Ukrainie całą Chełmszczyznę i część Podlasia. Niedzielną prasa poranna również nie podawała szczegółów traktatu, lub być może zajęty swoją podróżą nie miałem czasu przeczytać gazet. Pamiętam tylko, że gdy pod wieczór z pustą prawie walizką, do której oprócz kilku zmian bielizny zapakowałem na wszelki wypadek płaszcz i mundur legjonowy, zmierzałem do Siennickiego, zatrzymałem się przed oknem wystawowem mijanej księ-

garni, gdzie na wielkiej mapie, były wytknięte chorągiewkami granice nowej Ukrainy. Stałem oszołomiony, nie wierząc własnym oczom. Gazety popołudniowe ze względu na niedzielę nie wyszły, nie mogłem więc sprawdzić ile w tem było prawdy. Lwów — sądząc z nastroju ulicy — nie orjentował się jeszcze w dokonanej w Brześciu zbrodni.

Nie miałem jednak czasu na rozmyślania: czas naglił.

U Siennickiego zastałem kilku kolejarzy, z których jeden należał do brygady jadącej do Tarnopola. I znowu ta sama serdeczność wobec człowieka poleconego przez towarzysza Jędrzeja Moraczewskiego. Siennicki dał mi swą czapkę kolejową, która świetnie pasowała do mej głowy. Serdecznie pożegnałem miłego gospodarza i już z „bączkiem“ austriackim na głowie w towarzystwie kilku kolejarzy udałem się na dworzec. Razem z nimi służbowcem wejściem dostałem się do pociągu odchodzącego do Tarnopola. Ulokowano mnie w przedziale brygady konduktorskiej.

Zdziwiony byłem karnością i solidarnością kolejarzy. Kilka słów szepniętych przez mego towarzysza, pod którego opiekę oddał mnie Siennicki, że wiezie mnie z polecenia Moraczewskiego, było dostateczne, aby o nic mnie nie rozpytywali, a jednocześnie, aby otoczyli mnie czujną i serdeczną opieką.

Do Złoczowa podróż nie przedstawiała żadnych trudności. Dopiero na tej stacji żandarmerja sprawdzała dokumenty i przepustki. To też przed Złoczowem zaprowadzono mnie do wagonu bagażowego, gdzie ukryto wśród różnych pakunków. Mocno biło mi serce, gdy ukradkiem obserwowałem włóczących się po peronie żandarmów austriackich. Pociąg w Złoczowie stał bardzo długo. Być może jednak, że tylko tak mi się wydawało. Nareszcie pociąg ruszył. Po pewnym czasie na jednej stacji zjawił się mój opiekun.

— Teraz możecie już przejść do wagonu II klasy, towarzyszu, bo do Tarnopola nie będzie żadnych rewizyj.

W wagonie II klasy oddano mnie pod opiekę kolejarza-grubasa, który — jak się później dowiedziałem — nazywał się Jan Mrozowski. Nazwisko tego człowieka nieco później stało się bardzo popularne w świecie leguńsko-peowiackim i do dziś jest otoczone głębokim szacunkiem i wdzięcznością za wielką i ofiarną pomoc, którą nam okazał.

Rozgadaliśmy się i już wkrótce wiedziałem, że jest to z zawodu werkmistrz, z charakteru jowialny, dobroduszny i uczynny „panie dobrodzieju“, zapalony myśliwy i dobry kompan przy kuflu piwa. Zasadniczo powinien był on jechać do Podwołoczysk, gdzie przed wojną miał swój stały przydział kolejowy. Narazie jednak zanim stacja w Podwołoczyskach zostanie całkowicie naprawiona był przydzielony do Tarnopola.

Mrozowski dobrze znał Tarnopol, wobec czego zacząłem go rozpytywać o miasto. Dowiedziałem się, że ulica Tatarska, gdzie mieszkał polecony mi przez p. Kozickiego nauczyciel Czabanowski, znajdowała się w pobliżu dworca. Postanowiłem więc udać się do niego i prosić o nocleg, gdyż rozumiałem dobrze, że o zatrzymaniu się w hotelu nie było mowy.

Wreszcie dojechaliśmy do Tarnopola. Przyszedł mój kolejarz, któremu serdecznie podziękowałem za opiekę, zwróciłem czapkę kolejową Siennickiego, prosząc jednocześnie, aby w moim imieniu najserdeczniej podziękował mu za wszystko, co dla mnie uczynił.

Mrozowski podjął się wyprowadzić mnie z dworca i pokazać ulicę Tatarską.

Był późny wieczór. Panowała straszliwa ciemność potęgowana przenikliwym deszczem. Po kilku minutach byliśmy

przy ulicy Tatarskiej. Mrozowski pożegnał się ze mną i poszedł dalej.

Zostałem sam. Ostatnia nić, łącząca mnie z dotychczasowem mem życiem, urwała się. Byłem na progu nieznanego, nowego świata. Chwilę stałem namyślając się, co robić. Numeru domu nie znałem, a zresztą nie było nawet latarni. Należało zatem pytać, gdzie mieszka pan Czabanowski. W głębi ulicy po obu jej stronach świeciły okna w dwu domach. Chwilę wahałem się, do którego domu zapukać.

Jakiś instynkt tajemny pchnął mnie w stronę oświetlonego okna domu po lewej stronie ulicy. Na pukanie otworzono okno i wysunęła się głowa kobiety. Na moje zapytanie, gdzie mieszka nauczyciel Czabanowski, odpowiedziała, że w sąsiednim domu. Za chwilę wchodziłem już w podwórze tegoż domu i pukałem do drzwi. Widocznie wszyscy już spali, bo ciemno i cicho było w tym domu. Po dłuższej chwili oczekiwania drzwi się otworzyły. Na progu, ze świecą w ręku stała starsza kobieta. Na zapytanie, czy tutaj mieszka nauczyciel Czabanowski i czy jest w domu, odpowiedziała, że mieszka tutaj, lecz jest nieobecny, gdyż spędza wieczór u znajomych. Poprosiłem jednak o pozwolenie wejścia i zacementowania, motywując tem, że jestem przyjezdny i że mam bardzo ważną sprawę. Ze zrozumiałą nieufnością wpuściła mnie do mieszkania. Z rozmowy dowiedziałem się, że jest siostrą p. Czabanowskiego, który korzystając z niedzieli poszedł na winta do znajomych, skąd zapewne wkrótce wróci.

Mijały jednak godziny próżnego oczekiwania. Gospodyni domu i nieproszony gość coraz bardziej byli senni. Podczas rozmowy, która wywiała się między nami, napomknąłem, że chciałem prosić p. Czabanowskiego o nocleg. Pani domu nabrała widocznie zaufania do przybysza, gdyż sama zaproponowała, że przygotowuje mi pościel. Serdecznie podziękowałem za tę propozycję, błogosławiąc w duchu pol-

ską gościnność, silniejszą od obawy przed rygorami wojennymi w mieście przyfrontowym i od zrozumiałej nieufności do tajemniczego, nieznanego przybysza.

Nazajutrz obudziłem się wcześniej. Gospodarz domu spał jeszcze. Cicho ubrałem się i wyszedłem na podwórze. Jakież było moje zdziwienie i przerażenie po niewczasie, gdy zobaczyłem, że podwórko domu po przeciwnej stronie, którego oświetlone okna poprzedniego wieczoru nęciły mnie by zapukać, było pełne myjących się przy studni żołnierzy niemieckich. A więc stał tam oddział niemiecki. Dreszcz mnie przeszedł na myśl, jak inaczej rozpocząłby się dla mnie ten poranek, gdybym zapukał wówczas do domu nie po lewej, lecz po prawej stronie ulicy. Zabrzęczał mi w uszach szwargot zdumionych żołnierzy otaczających kołem cywila z walizką w ręku, nie mogącego ani porozumieć się z nimi, ani wytłumaczyć im celu swego pobytu na tej ulicy, ani też wylegitymować się żadnym dokumentem uprawniającym do przebywania w mieście przyfrontowym. Brr.... Niedobrze zrobiło mi się na samą myśl o dalszym ciągu tej wyimaginowanej, a tak możliwej scenki. Szybko dałem nurka z powrotem do mieszkania, aby zaszyć się w niem niby w barłogu niedźwiedzim na kilka dni. Za blisko bowiem było legowisko wilków i za wiele ich było na jednego samotnego niedźwiedzia litewskiego.

Gdy wyluszczyłem zdziwionemu gospodarzowi domu cel mojej podróży, wręczając mu jednocześnie listy polecające od p. Kozickiego do niego i sędziego, nie mógł ukryć swego zakłopotania i mieszanych uczuć.

Z jednej strony był widocznie zadowolony, że p. Kozicki, ciesząc się w mieście powszechnym szacunkiem, nie tylko jako wysoki urzędnik, ale i jako człowiek, dał jemu, skromnemu nauczycielowi, dowód swego zaufania. Z drugiej strony był zakłopotany, w jaki sposób zdoła dopomóc

mi — zwłaszcza wobec trudności, które spowodowała obecność w mieście bezwzględnych i karnych wojsk niemieckich.

P. Czabanowski śpieszył do szkoły, więc dalszą rozmowę odłożył do swego powrotu, jednocześnie upoważniając mnie do pozostania w jego mieszkaniu przez te parę dni, które potrzebne były do zorganizowania przeprawy przez front.

— Jeśli tylko to będzie wogóle możliwe — dodał na zakończenie strapiiony. Prosił mnie pozatem, bym zbytnio nie kręcił się po podwórzu, bo naprzeciwko rozlokowany jest oddział niemiecki. Odpowiedziałem, że już zdążyłem to zauważyć, lecz aby nie powiększać niepokoju mego gospodarza, wolałem przemilczeć o tem, jak o mały włos poprzedniego wieczoru nie wpakowałem się tam.

Wychodząc p. Czabanowski zabrał ze sobą list polecający do sędziego, aby porozumieć się z nim po wyjściu ze szkoły.

Wrócił do domu z niewesołymi nowinami. Sędzia również narazie nie widział żadnego sposobu dopomożenia mi. Coprawda miejscowi żydzi przedostawali się przez front — ale zarówno sędziemu jak i memu gospodarzowi trudno było zacząć rozmowy z żydami na tak drażliwy temat, jak transportowanie do Rosji tajemniczego gościa.

Co gorzej, gospodarz mój w swoim jak i w sędziego imieniu prosił mnie, abym bezwzględnie nie wychodził na miasto, oczekując w jego mieszkaniu zanim coś wspólnie nie uradzą. Nie mogłem nie przyznać im racji, że ukazanie się moje na ulicach małego miasta, gdzie wszyscy się znają i do którego wjazd był tak utrudniony, musiałoby zwrócić powszechną uwagę. Przyrzekłem więc zastosować się do tej prośby.

Zaczęły się dla mnie dni dobrowolnego aresztu, tembardziej szarpiącego nerwy, że zewnętrzna jednostajność upły-

wających godzin była w rażącej sprzeczności z moim nastrojeniem psychicznym i niecierpliwością w czekaniu na możliwość jaknajszybszego przedostania się na tamtą stronę frontu. Ranki spędzałem przy książce, gdyż gospodarz mój posiadał wcale niezłą bibliotekę, świadczącą o poważnych jego zainteresowaniach. Wieczory miały na pogawędce z p. Czabanowskim. Mile go wspominam. Był to stary kawaler, którym opiekowała się siostra wdowa, mieszkająca u niego razem ze swym synem. Ujmował swoją dobrocią, prawością i melancholijną rezygnacją człowieka nie posiadającego osobistego życia. Wykształcony, o żywym umyśle, interesował się wszystkim — więc rozmowy z nim były ciekawe i miłe.

Przynosił mi gazety lwowskie i wieści przychodzące pantoflową pocztą. Widać było ze wszystkiego, jaka burza protestów i wzburzenia rozpętała się w Polsce, gdy stały się wiadome podstawy zawartego w Brześciu traktatu pokojowego z Ukrainą. Zwłaszcza szalała Galicja, nie mogąca przebaczyć znienawidzonej monarchji zdradzenia polaków, którzy poza Niemcami i Węgrami byli jedyną niemal ostoją tronu Habsburgów.

Opowiadał mi p. Czabanowski, jak dygnitarze polscy zwracali Wiedniowi swoje ordery, jak oficerowie przywiązywali medale wojskowe do psich ogonów lub upiększali nimi latarnie. Twierdził pozatem, że łada dzień ma wybuchnąć powszechny strajk protestacyjny.

Powtarzał mi te wszystkie wieści z pewnem niedowierzaniem, ponieważ Tarnopol po piekle okupacji rosyjskiej — rzecby można — odpoczywał na łonie starej Austrii. Poza tem miasto odcięte od reszty Galicji, jako znajdujące się w pasie przyfrontowym, nie brało udziału w tej szybkiej ewolucji, która odbywała się w psychice społeczeństwa galicyjskiego. Ja zaś, który tak niedawno na własne oczy widziałem, co działo się we Lwowie i Krakowie, jak powszechne by-

ło tam wzburzenie i niezadowolenie, byłem pewny, że wieści te odpowiadają rzeczywistości.

Tymczasem minął dzień, drugi i trzeci, a w mojej sytuacji nie było żadnej zmiany. Zaczynałem coraz bardziej niecierpliwić się. Za pośrednictwem p. Czabanowskiego, ściągnąłem do siebie kolejarza Mrozowskiego, licząc, że może lada dzień uda się on do Podwołoczysk i że zabierze mnie ze sobą; przedostanie się stamtąd nie przedstawiałoby już wielkiej trudności. Niestety, Mrozowski zakomunikował mi, że zarówno tor jak i stacja w Podwołoczyskach są tak zniszczone, iż o wyjeździe tam niema narazie mowy.

Przyszedł czwarty dzień. Zaczny mój gospodarz, który z rozmowy ze mną dowiedział się, iż jestem żonaty i że mam małą córeczkę, zaczął przekonywać mnie, abym wracał, gdyż z czystym sumieniem będę mógł powiedzieć, że przedostanie się przez front jest niemożliwe, zaś nadal narażać się nie powinienem, chociażby przez wzgląd na swoją rodzinę.

Z całą stanowczością odpowiedziałem, że jego argumenty na nic się nie zdadzą, gdyż nie wrócę. Jestem żołnierzem Komendanta, wydany rozkaz muszę więc spełnić, bo powrót byłby zwykłym tchórzostwem. Niema zaś dla mnie większego upokorzenia, niż zasłużyć na miano tchórza. Jednakże rozumiem, że dalszy mój pobyt w jego gościnnym domu jest bezcelowy i dlatego dziś jeszcze wieczorem, gdy już będzie ciemno niepostrzeżenie dom jego opuszczę.

Rozmowa ta miała miejsce przed wyjściem p. Czabanowskiego do szkoły. Mówiłem szczerze. Wracać nie mogłem. Nie lubię cofać się, nie leży to bowiem w mojej naturze. Przeciwnie, im więcej wyrasta przeszkód, tem bardziej podnieca to mój upór i pragnienie osiągnięcia celu. Poza tem jestem chorobliwie ambitny, i myśl, że po powrocie do Krakowa i Warszawy czytałbym w oczach mych przyjaciół— „a co, stchórzyl“ — smagała mię jak bicz. Zdecydowałem

tedy wyjść wieczorem na miasto, odszukać kolejarzy, aby przy ich pomocy nawiązać kontakt z żydami, którzy uprawiali kontrabandę. Ostatecznie nawet byłem zdecydowany udać się na przelaj, wierząc, że w polu spotkam jeńców rosyjskich lub przemytników, również pragnących dostać się na tamtą stronę.

Gdy snulem takie rozpaczliwe plany, do pokoju wszedł p. Czabanowski — tym razem dziwnie jakoś uśmiechnięty. Domyśliłem się odrazu, że przynosi mi dobre wiadomości.

— Wie Pan! — zawołał wesoło — zdaje się, że uda mi się urządzić Pana. Spotkałem dziś na mieście p. Kaczkowski, dawnego mego ucznia, obecnie urzędnika w naszym Magistracie. Powiedział mi, że dziś kompanja austriackiej piechoty na mocy traktatu pokojowego z Ukrainą zajmie Zbaraż, i że jutro jedzie on tam ciężarowem autem wojskowem, aby z ramienia Magistratu zawieźć dla tej kompanji prowianty. Spytałem go, czy nie mógłby zabrać ze sobą mego znajomego, który na Podolu ma majątek i chce przedostać się tam do swej rodziny. Wyobraż Pan sobie — powiedział, że da się to zrobić, tylko musi się jeszcze porozumieć z kapralem szoferem tego auta, czechem z pochodzenia. Ma jednak nadzieję, że ten się zgodzi. Za kilka godzin ma tu przyjść z ostateczną odpowiedzią.

Sądzę, że zbyteczna opowiadać jak ucieszyła mnie ta wiadomość. Wkrótce przyszedł p. Kaczkowski, aby zakomunikować, że szofer zgadza się zabrać mnie ze sobą. W rozmowie z nim udawałem, że jestem synem właściciela majątku ziemskiego na Podolu, i że chcę jaknajprędzej skomunikować się ze swymi rodzicami, o których los jestem niespokojny, wobec zatrważających wiadomości o paleniu dworów przez chłopów.

Wyjazd nasz miał nastąpić następnego dnia o świcie. Umówiliśmy się, że o 5-ej rano przyjdzie po mnie. Widać by-

ło, że całą tę sprawę traktuje jako zwykły obowiązek oddania przysługi swemu dawnemu nauczycielowi, bardzo kochanemu i szanowanemu.

A więc los sprzyjał mi. Cieszyłem się, że znowu zrobię jeden krok naprzód. Rad byłem również, że przestanę nadużywać dobroci i gościnności mego miłego gospodarza, który narażał się z powodu człowieka zupełnie mu obcego. Również i on był zadowolony, lecz przedewszystkiem z tego, że nie zawiódł zaufania p. Kozickiego i że, jak mówił, „mógł przyłożyć rękę do dobrej sprawy“.

Wobec tego, że miałem oficjalnie jechać, jako urzędnik Magistratu, zostawiłem swoje ubranie wojskowe i walizkę, zabierając tylko bieliznę i drobiazgi spakowane do wojskowego plecaka. Nie spałem prawie, denerwując się, czy aby p. Kaczkowski nie rozmyślił się. Obawy moje były jednak płonne. O umówionej godzinie przyszedł po mnie. Gorąco i serdecznie dziękowałem zarówno p. Czabanowskiemu jak i jego siostrze za ich gościnność i dobroć dla mnie, przepraszając jednocześnie za tyle kłopotów.

Po czterech dniach izolacji, znalazłem się znowu na ulicy. Ciemno było jeszcze, nikt więc nie zauważył mego wyjścia z domu p. Czabanowskiego. Szybko minęliśmy kilka ulic i weszliśmy do wielkiego podwórza, gdzie stała austriacka wojskowa kolumna samochodowa. Kapral-szofer, czech mówiący nieźle po polsku, bardzo życzliwie mnie przyjął. Od p. Kaczkowskiego wiedział już, że jestem synem obywatela ziemskiego z Podola, który pragnie jaknajszybciej dostać się do rodziców. A że był to okres, gdy przez całą Rosję szła groźna fala barbarzyńskiego niszczenia, palenia i rabowania dworów, często połączonego z morderstwami i znęcaniem się nad ich właścicielami, więc moje pragnienie szybkiego dostania się tam było zrozumiałe i nie wywoływało żadnych podejrzeń.

Samochód nie był jeszcze gotów, musieliśmy więc trochę poczekać. Skorzystałem z tej zwłoki i wydobyłem z plecaka butelkę koniaku, którą zabrałem ze sobą z Warszawy. Bardzo szybko ją wypróżniliśmy. Poprawiło to nam wszystkie humory i wytworzyło w stosunku do mnie atmosferę życzliwości. Nareszcie samochód było gotów. Zaczęliśmy szykować się do drogi. Obok szofera usiadł jego pomocnik, w aucie zaś, krytem brezentem, usadowił się p. Kaczkowski, ja i trzech robotników magistrackich. Prowiant, który mieliśmy zawieźć dla żołnierzy do Zbaraża składał się z kilku pak i worków. Wreszcie ruszyliśmy. Ulokowałem się w głębi auta tak, aby moja osoba nie mogła być zauważona przez nikogo podczas przejazdu przez miasto. Ostrożność ta jednak była zbyteczna: miasto jeszcze spało. Po chwili auto dudniło już po szosie.

Zaszyty wśród pak i worków milczałem, nie chcąc zdradzać wewnętrznego zdenerwowania. Tak upłynęło kilkanaście minut.

— Jesteśmy już na linii okopów — wyrwał mnie nagle z zamyślenia głos p. Kaczkowskiego.

Przyłożyłem oko do szpary w brezentcie. Istotnie, mijaliśmy linie okopów, połączonych ze sobą poprzecznymi korytarzami, obwarowanych siecią z drutów kolczastych. Patrzyłem i uświadamiałem sobie, jakim absurdem była myśl rozpaczliwa przedzierania się w nocy na przelaj przez front.

Nagle auto stanęło. Byliśmy przed ostatnią linią okopów. Szofer zeskoczył z siedzenia i udał się do komendanta posterunku, aby wylegitymować się swymi dokumentami podróży. Moi towarzysze podróży stanęli jeden przy drugim przy samym brzegu auta, wychylając się zaś na zewnątrz, zasłaniając mnie ukrytego w głębi. Stojąc tak rzędem, bawili rozmową niemieckiego wartownika. Ja zaś skurczyłem się cały w sobie, bojąc się niemal oddychać.

Chwila ta decydowała o losie całej mojej podróży. Nic więc dziwnego, że wydawało mi się, iż szofer załatwia swe formalności nieskończenie długo. Wreszcie zjawił się i usadowił zpowrotem na swem siedzeniu. Zawarczał motor. Wartownik otworzył zrobioną z kolczastego drutu bramę. Ruszyliśmy. Jeszcze chwila i okopy były poza nami. Wartownik spokojnie zamykał bramę zpowrotem.

„A łarczyk tak prosto odkrywał się“ *) — z tryumfem wykrzykiwał nasz grubas belfer podczas lekcji fizyki, gdy doświadczenie mu się udawało — co zresztą rzadko mu się zdarzało, gdyż wszystkie niemal przyrządy miał popsute.

„A łarczyk tak prosto odkrywał się“ — zawołałem i ja w duchu, patrząc na niknące we mgle porannej okopy niemieckie.

Tak więc wygląda — myślałem — ten front tajemniczy i groźny, o którym z takim szacunkiem mówiliśmy w Warszawie, a którego przebrnięcie zdawało się nam tak trudnem, że szukając sposobów do jego przejścia tak bardzo opóźniliśmy realizację naszej wyprawy do Rosji. Rzeczywistość zaś. Podchodzi wartownik niemiecki i sam uprzejmie otwiera bramę... Zupełnie jak za normalnych pokojowych czasów gdzieś na małym posterunku granicznym w Szwajcarji, gdy nie wychodząc z auta właściciel załatwia wszystkie formalności z żandarmerją.

Wyznam szczerze, że gdzieś tam w głębi duszy pomimo radości, że cel swój osiągnąłem, odzywało się uczucie doznanego zawodu. Tyle myślałem o tym froncie, tyle namęczyłem, aby się doń zbliżyć. Wyobrażałem sobie, że przejście przez front będzie odbywać się ciemną nocą przy pomocy

*) A szkatuła tak łatwo się otwierała.

przemytników, lub w towarzystwie uciekających z niewoli jeńców rosyjskich. A tu, masz djable kaftan!

Przy najbardziej nawet wybujałej imaginacji trudno było doszukać się choć cienia bohaterstwa w mej przeprawie przez front, który na kilka lat podzielił Europę na dwa odrębne światy. Najwyżej mogłem powiedzieć o sobie: spryciarz i szczęściarz. Bo faktycznie trafiłem na moment, gdy front wschodni przestał w istocie być frontem wojennym. Jeszcze nie był to coprawda koniec, bo w Zbarażu już byli austriacy. Ale czułem, że główna przeszkoda jest już poza mną.

Auto akompaniując mym myślom, wesoło postękiwało i szybko sunęło naprzód. W niespełna godzinę dobroduszny czech zataczał kawalerskie koło przed gmachem Magistratu Zbaraża.

IV

Pan Czabanowski prosił p. Kaczkowskiego, by zaprowadził mnie do inspektora szkolnego w Zbarażu i przedstawił mnie jako jego znajomego, który udaje się do swych rodziców na Podolu, i któremu prosi udzielić pomocy.

Żegnając się z kapralem-szoferem i dziękując za okazaną mi przysługę, pozwoliłem sobie na ofiarowanie mu pewnej kwoty koron, którą przyjął z dużym zadowoleniem. Niezwłocznie potem udałem się z p. Kaczkowskim do inspektora szkolnego. W mieszkaniu tegoż powiedziano nam, że inspektor jest na jakimś zebraniu w klasztorze Bernardynów. Poszliśmy tam. Pan Kaczkowski wszedł do refektarza i po chwili powrócił w towarzystwie inspektora. Przedstawiłem się mu jako Horodyński i w kilku słowach wytłumaczyłem, o co chodzi, t. j. że udaję się do mej rodziny na Podole, przyjeżdżam zaś z Warszawy via Kraków i Lwów. Wiadomość ta zrobiła duże wrażenie na panu inspektorze.

— Ach, Szanowny Pan z Warszawy i Krakowa. Może Szanowny Pan zechce łaskawie nam opowiedzieć co się tam dzieje. Właśnie w tej chwili odbywa się w refektarzu u ojca gwardjana małe zebranie. Pan pozwoli — mówił uprzejmie inspektor prowadząc mnie.

W dużej sali ujrzałem towarzystwo złożone z kilkunastu osób. Na moje spotkanie zrobił parę kroków mnich-ber-

nardyn, starzec wysokiego wzrostu o pogodnej i rozumnej twarzy. Był to gwardjan klasztoru.

— Ojcie-gwardjanie — zawołał inspektor — p. Horodyński przyjechał z Warszawy przez Kraków i Lwów. Pozwoliłem więc sobie zaprosić go tu do nas, by zechciał łaskawie opowiedzieć nam, co się dzieje w kraju.

W jednej chwili zostałem otoczony kołem zaciekawionych. Zacząłem z zapalem opowiadać o oburzeniu, jakie zapanało w Galicji na wiadomość o pokoju brzeskim, o psach udekorowanych orderami austriackimi, o strajku powszechnym, o wrzeniu rewolucyjnym, które znamionuje szybki upadek monarchji austriacko-węgierskiej. W miarę mego opowiadania na twarzach moich słuchaczy malowało się coraz większe zakłopotanie. Wkrótce rzecz się wyjaśniła. Właśnie z inicjatywy inspektora szkolnego odbywało się zebranie notabli Zbaraża, celem ułożenia programu uroczystego przyjęcia przez ludność miejscową oficjalnie za kilka dni wkraczających do Zbaraża austriackich władz wojskowych i cywilnych. Dotychczas bowiem miasto było zajęte przez jedną kompanję piechoty.

Inspektor szkolny zajął wobec mych relacji, a pośrednio i wobec mej osoby stanowisko wręcz wrogie, dając wyraźnie do zrozumienia, że ja, jako warszawianin, nie mogę należycie się orjentować w nastrojach społeczeństwa galicyjskiego, i że wydaje mu się rzeczą niewiarogodną, aby Galicja, która zawsze była lojalną wobec monarchji, tak nagle i radykalnie zmieniła swój do niej stosunek.

Wśród zebranych powiał zimny wiatr nieufności. Istotnie, kim był ten nieznany nikomu pan, który z taką pewnością siebie wygłaszał słowa tchnące nienawiścią i pogardą do monarchji Habsburskiej?

Nieoczekiwanie przyszła mi pomoc ze strony najmniej

przeze mnie socjalistę i antyklerykała spodziewanej, gdyż właśnie gwardjan klasztoru gorąco mnie poparł.

— Proszę Panów — oświadczył z wielką powagą — informacje p. Horodyńskiego są bardzo cenne. Fakt pozostaje faktem, że pokój brzeski jest nowym rozbiorem Polski i trzeba raczej cieszyć się, że naród polski z taką godnością i siłą protestuje przeciwko nowej krzywdzie.

Dziwna fala wzruszenia i wdzięczności ogarnęła mnie, gdy słuchałem księdza, który zaufał szczerości słów nieznanego wędrowca i wyczuł swem prawem sercem, że wibrowała w nich cząsteczka zbiorowej duszy polskiej, przepojonej w tym momencie bólem, oburzeniem i pogardą. Widocznie gwardjan cieszył się wielkiem poważaniem, gdyż nikt mu nie oponował — nawet inspektor, który zerknął tylko na mnie wrogo z podębła. Widocznie czuł, że z mej racji w łeb bierze ta wymarzona przezeń chwila, gdy jako prezes komitetu przyjęcia, wygłaszać będzie przy rogatkach miasta wielką mowę powitalną na cześć Najjaśniejszego Pana i jego walczącej armji, godnej spadkobierczyni tradycji Wiśniowieckich i t. d., i t. d.

Tymczasem gwardjan zaczął gawędzić ze mną. Jemu również opowiedziałem zmyśloną historję, że jadę na Podole w sprawach rodzinnych — niech mi Bóg wybaczy moje kłamstwo wobec tego zacnego i prawego księdza.

— Ależ to dobrze się składa — zawołał ojciec-gwardjan — mamy tu właśnie obywatela ziemskiego z pod Wiśniowca, który nie zdążył opuścić Zbaraża przed przyjściem oddziału austriackiego i dopiero teraz, za godzinę wyjeżdża. Poproszę go, aby zabrał Pana ze sobą.

— Panie Wiśniewski (nazwijmy tak tego ziemianina, gdyż nazwiska jego nie pamiętam), proszę tu na chwilę.

Zbliżył się do nas wesóły, rumiany jegomość — typowy szlagon podolski. Gwardjan w kilku słowach opowiedział

mu o co chodzi. Szlagon bardzo chętnie się zgodził zabrać mnie ze sobą, zaznaczając tylko, że muszę otrzymać od dowódcy kompanji austriackiej przepustkę na wyjazd z miasta. Podziękowałem mu za uprzejmość, prosząc jednocześnie, aby zechciał pójść ze mną do dowództwa poświadczyć, że jestem również z tamtej strony granicy. Aby zaś wzbudzić większe zaufanie do mej osoby zacząłem rozpytywać go o sytuację ziemianstwa na Podolu, prosząc o udzielenie informacji o całym szeregu znanych mi rodzin ziemiańskich.

Nowy mój znajomy pochodził z innych stron i z ziemianstwem z okolic Płoskirowa nie miał żadnych stosunków, ale nazwiska były mu znane. Większość ziemian opuściła swe dwory i schroniła się do okolicznych miast i miasteczek. Dobre moje orjentowanie się w stosunkach ziemiańskich z okolic Płoskirowa wyraźnie przekonały go do mnie i wzbudziły całkowite zaufanie do mej osoby. Pod koniec rozmowy nie tylko chętnie się zgodził dopomóc mi w uzyskaniu przepustki, ale nawet zaproponował zająć do swego majątku, skąd podejmował się odesłać mnie dalej swojemi końmi. Umówiliśmy się, iż w dowództwie kompanji powiem, że również przyjechałem z tamtej strony w sprawie otrzymania należności za zabrane mi przez wojsko rosyjskie konie i że nie zdążyłem opuścić Zbaraża przed przyjściem austriaków.

Cieszyłem się bardzo, że tak łatwo i szybko mi poszło, a jeszcze bardziej, że nie potrzebowałem korzystać z pomocy inspektora. Zacząłem żegnać się. Tak byłem wzruszony dobrocią i zaufaniem okazanem mi przez ojca-gwardjana, że żegnając go i dziękując za pomoc odruchowo pocałowałem go w rękę — i do dziś tego ani się wstydzę, ani żałuję, bo w stosunku jego do mnie tak wiele było ciepła i życzliwości niemal ojcowskiej.

Za chwilę byliśmy w komendanturze. Oficera nie było.

Zastępował go starszy sierżant, zdaje się rusin, ale doskonale mówiący po polsku. Ziemianin sprawę swego wyjazdu miał już załatwioną, chodziło więc tylko o mnie. Zacząłem na poczekaniu komponować historję z zarekwirowanemi mi końmi, jako powód mojej obecności w Zbarażu. Aby przekonać sierżanta, że jestem obywatelem rosyjskim, który świeżo przyjechał z tamtej strony, pokazałem mu swoją matrykulę z Uniwersytetu Petersburskiego, którą natchniony jakimś przeczuciem zabrałem ze sobą z Warszawy. Pocziwy ziemianin dzielnie mi sekundował, gorąco zapewniając, że jestem jego sąsiadem, którego zna doskonale i oddawna — niemal z lat dziecinnych. Sierżant wzięty w dwa ognie bezczelnej a pewnej siebie blagi, zaczął wierzyć, ale prosił zaczekać na oficera, który miał lada chwila wrócić. Nie chcąc zaczynać z oficerem perswazji od początku, tem energiczniej nalegaliśmy na sierżanta, tłumacząc, że konie już czekają, i że nie możemy dłużej zwlekać z wyjazdem. Ostatecznie tak zawróciliśmy w głowie biednemu sierżantowi, że zdecydował się mnie wypuścić, stawiając jedynie jako warunek, że pojedzie z nami do granicy jego żołnierz, aby stwierdzić, że opuściliśmy terytorjum państwa Habsburgów. Naturalnie chętnie na to przystaliśmy.

Za chwilę już jechałem wygodną parokonną bryczką. Na koźle, obok furmana siedział zwrócony twarzą do nas żołnierz z karabinem. Wywiązała się rozmowa. Żołnierz był rusinem ze Wschodniej Galicji, doskonale mówiącym po polsku. Nie ukrywał jednak swej niechęci do polaków. Pełen tryumfu z powodu pokoju brzeskiego, mówił z zadowoleniem:

— O, proszę panów, teraz przyjdą inne czasy! Będzie wielkie państwo ukraińskie. Nietylko Chełmszczyzna, ale i Wschodnia Galicja i Bukowina będą przyłączone do

Ukrainy. Królem zaś całej Ukrainy, będzie nasz Cesarz z Wiednia Karol.

Wolałem nie dyskutować z nim, słuchając tylko tych szczerých wynurzeń, ciekawych dla mnie, jako echo nastrojów rusinów ze Wschodniej Galicji, dziwnie łączących w swej psychice lojalność wobec dynastji Habsburgów z nacjonalistycznemi pragnieniami.

Wreszcie stanęliśmy na granicy: była to linja sztuczna, być może jakiś strumyk lub mostek — najprawdopodobniej resztki dawnego posterunku granicznego.

Żołnierz wysiadł. Za chwilę byliśmy po drugiej stronie granicy. W tej chwili obejrzałem się i spojrzałem na żołnierza tak wyzywająco i łobuzersko, że ze zdumienionego wyrazu jego twarzy wyczułem, iż zrozumiał, że został wyprowadzony w pole, i że wypuścił z klatki jakiegoś niebezpiecznego ptaszka. Spojrzenie moje widocznie było tak prowokujące, że żołnierz zrobił odruch, aby rzucić się za nami, ale wrodzony lojalizm zatrzymał go jak zahypnotyzowanego, przed tą linją wyimaginowaną, a nazwaną granicą. Podobno, jeśli śpiącego koguta wnieść w nocy do oświetlonego pokoju i postawić go w kole zakreślonem kredą, to jakaś siła tajemnicza nie pozwala mu przestąpić tej białej linji. Jak ten kogut stał żołnierzysko z głupkowatą miną, nie mając siły przekroczyć granicy ludzką wolą zakreślonej, a dzielącej go od tej Ukrainy, do której miał przyłączyć Galicję Wschodnią.

Powoli oddalaliśmy się, a żołnierz wciąż stał jeszcze i patrzył w naszą stronę. Po kilkunastu minutach ziemianin kazał zatrzymać konie, wysiadł z powozu, wyciągnął z pod siedzenia rosyjski płaszcz żołnierski i klnąc zaczął wciągać go na siebie. Zdumiony patrzyłem na tę maskaradę.

— Poco Pan to wkłada? — spytałem.

— Jak to poco? Czy Pan nie wie, że szynel sołdacki jest oficjalnym strojem rewolucji rosyjskiej. Niech cholera trza-

śnie tych chamów, tych zbójów. Niech tylko ktoś spróbuje pokazać się tym przeklętym towarzyszom w cywilnym futrze — zaraz podniosą wrzask, że to burzuj którego trzeba obedrzeć i zamordować. Panu również radzę jeszcze w Wiśniowcu kupić taki szynel, bo inaczej nie będzie mógł Pan kroku zrobić w Rosji.

Konie miarowo człapały po rozmiękłym czarnoziemie ukraińskim, a mój towarzysz podróży nadal klął ostatnimi słowami rewolucję, towarzyszy, „hadów“ — chłopów ukraińskich. Było coś tragicomicznego w wyglądzie tego obszarnika, udającego bohatera socjalnej rewolucji rosyjskiej.

Pomyślałem sobie, że i ja tak samo głupio i śmiesznie wyglądałbym w szynelu rosyjskiego żołnierza, udając „towarzysza“. Czy ta upokarzająca maskarada, czy może wrodzony wstręt do munduru rosyjskiego żołnierza, istniejący w głębi we mnie — u człowieka, który miał szczęście nigdy go nie wkładać na siebie, — dość że poprzysiągłem sobie w duchu, iż do ostatniego dnia mego pobytu w Rosji nie zrobię tej maskarady i ze swem paltem cywilnem się nie rozstanę.

Tymczasem dopędziliśmy jakiegoś żołnierza, który z plecakiem na grzbiecie maszerował skrajem drogi. Wywiązała się rozmowa, a po chwili podróżnik przysiadł się do nas. Z rozmowy dowiedzieliśmy się, że był to żyd, zegarmistrz z Odesy. Słyszał on, że w Austrii składowe części mechanizmu zegarowego były dziesięciokrotnie tańsze niż w Rosji. Przyłączył się więc do partji jeńców austriackich, wracających w tym czasie masowo do domu z niewoli rosyjskiej, i w ten sposób dostał się szczęśliwie do Lwowa. Kupił tam zapas potrzebnych drobiazgów, któremi naładował cały swój plecak i teraz uszczęśliwiony wracał do domu, pewien świetnego zysku.

Spytalem w jaki sposób przedostał się przez front.

— „Nasi“ znają drogi — odpowiedział z tajemniczym uśmiechem. Trochę to kosztuje i trochę niebezpieczne. Niemiecki żołnierz o mały włos nie zakłuł mnie bagnetem, ale jak Pan widzi udało się przedostać.

Potwierdził tem moje przekonanie, że żydzi już dawno znali drogi, pozwalające uprawiać szmugiel pomiędzy dwoma frontami. Wkrótce żyd-zegarmistrz zapowiedział, że wysiadzie i pójdzie piechotą do Łanowiec, dokąd dochodzi kolejka dojazdowa z Szepietówki. Zdecydowałem pójść razem z nim, gdyż z Szepietówki było zaledwie kilka godzin jazdy koleją do Płoskirowa. Pożegnałem więc ziemianina, dziękując mu za okazaną mi pomoc i tłumacząc, że z Wiśniowca trudniej by mi było dostać się do Płoskirowa. Za chwilę zostałem w polu sam z przygodnym, nieznanym żydem.

A więc nareszcie byłem po drugiej stronie frontu, gdzie już nie sięgała ani żelazna pięść niemieckiego okupanta, ani wiarołomna obłuda zdradzieckiej i nikczemnej biurokracji Habsburgów.

Zostałem sam — wolny, jak ten wiatr ciepły, który muskał mi twarz. Pełna smutku była jednak moja swoboda, jak wolność tych polskich buntowników, którzy uciekali z kraju rodzinnego, aby na obczyźnie odetchnąć pełną piersią niczem nieskrępowanego człowieka, aby na obcej ziemi szukać miejsca, gdzieby można było zbudować redutę polskiego buntu i wykuwać tu oręż do zbrojnej walki o niepodległość swego narodu.

Był słoneczny i ciepły dzień. Cicho było wokoło. Nigdzie żywej duszy. Czułem jednak, że stoję u brzegu olbrzymiego, tajemniczego i rozhukanego morza rosyjskiej rewolucji. Jeszcze chwila, a pierwsza fala zagarnie i wchłonie mnie. Czułem dziwny lęk, lecz lęk ten zawierał w sobie jednocześnie radość oczekiwania na coś wielkiego i wspaniałego w swej grozie i sile. Podobne uczucie przeżywa człowiek w górach,

gdy niebo zaciąga się ciemnymi i groźnymi chmurami, gdy w powietrzu jest cicho tą przejmującą ciszą, która doprowadza nerwy do ostatecznego napięcia— gdy pierwszy błysk piorunu i łoskot grzmotu przyjmujemy z ulgą, jako zapowiedź wspaniałego w swem pięknie i grozie zjawiska, jakim jest latem burza w górach.

Ruszyliśmy przez siebie bezludną drogą. Idąc obserwo-
wałem mego przygodnego i chwilowego towarzysza podróży. Był milczący. Na twarzy jego malował się niepokój, oczy były pełne dziwnych błysków, chwilami zadumy. Przeżywał widocznie ten sam niepokój co i ja. Wracał do kraju wzburzonego, gdzie życie ludzkie nie miało żadnej wartości. Szedł dobrowolnie tam, gdzie na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, które mogło go pozbawić plecaka, zawierającego być może cały majątek ubogiego zegarmistrza. A jednak tak samo jak i ja szedł naprzód na spotkanie tej wzburzonej fali życia ludzkiego.

Jakże jednak odmienne siły pchały nas naprzód.

Jeden, syn narodu pozbawionego od wieków własnej ojczyzny, pchany był nadzieją zysku. Ileż to razy zapewne przerachowywał w myśli kalkulację możliwych zarobków, których pomnożenie było potężnym bodźcem, pchającym go naprzód.

Drugi był synem narodu, który tylu już wydał z siebie tułaczy, opuszczających kraj rodzinny, pomimo gorącego umiłowania ojczyzny, bo bodźcem, który ich gnał po całym świecie i czynił z nich duchowych synów legendarnego Żyda-Tułacza, był wyrzut sumienia i wstyd za grzechy i gnuśność swych przodków. Tułali się po świecie całym, bo mieli przeświadczenie niezłomne, że, aby wybiła godzina końca pokuty narodu, należy szukać takiego zakątka na ziemi, gdzie kij tułaczy cudem wiary gorącej zamieni się w karzący miecz Wolności i Sprawiedliwości. Szły zastępy tych

dobrowolnych tułaczy i pielgrzymów, niosąc w sercach swych niegasnący ogień wiary, że przyjdzie ta chwila błogosławiona, gdy sny cudowne, śnione na jawie w ciągu kilkudziesięciu lat — sny o wskrzeszonej, potężnej Ojczyźnie staną się piękną rzeczywistością. Mijały lata, dziesiątki lat, a po szerokim świecie szły wciąż nowe i nowe zastępy tułaczy, aby sycić sobą ofiarny ogień pokuty i wiary na ołtarzu miłości swego narodu.

...Jakże pokrewne uczucia i obawy przeżywali dwaj przygodni wędrowcy. Jakże jednak odrębne moce i pobudki duchowe pchały ich wciąż naprzód i kazały iść wspólnie cichą, bezludną drogą stepową obcej im obu ziemi ukraińskiej.

Doszliśmy do stacji kolejowej w Łanowcach o zmroku. Pociąg do Szepietówki już odszedł, następny zaś miał przyjść dopiero nazajutrz rano i około południa odejść zpowrotem. Mój towarzysz podróży gdzieś zniknął. Zostałem sam w brudnej i zimnej poczekalni małej, drewnianej stacyjki. Na ławkach i stołach drzemało kilkunastu żołnierzy. Byłem wśród nich jedyny ubrany po cywilnemu. Zwróciło to uwagę kolejarza, który przyszedł zapalać lampy. Zbliżył się do mnie i począł rozpytywać, skąd i dokąd jadę. Odpowiedziałem, że jestem z Warszawy i że jadę do Płoskirowa.

— Ach, to Pan polak — wykrzyknął po polsku kolejarz.

Z rozmowy, która się wywiązała, dowiedziałem się, że nazywa się Lech i że pochodzi z Warszawy, gdzie pracował na kolei wiedeńskiej, skąd po zajęciu Warszawy przez Niemców był ewakuowany wraz z rodziną do Rosji, i teraz pełni służbę na tej stacji.

— Co Pan będzie tu robić? — mówił kolejarz — pociąg odejdzie dopiero jutro. Może Pan pozwoli do mnie. Mieszkam z rodziną w wagonie towarowym. Ciasno będzie tam Panu, ale przynajmniej będzie mógł Pan w cieple przenoćować.

Chętnie skorzystałem z zaproszenia rodaka i za chwilę już byłem w jego wagonie, który stał na jednym z bocznych

torów. Kolejarz miał rodzinę złożoną z żony i kilku małych dzieciaków. Żona dowiedziawszy się, że jestem Polakiem z Warszawy, ucieszyła się bardzo i zakrzętnęła koło herbaty. Zaczęto rozpytywać mnie, co słychać w kraju. Nic pocieszającego nie mogłem zakomunikować. Opowiadałem o nędzy, braku żywności, bezrobociu. Słuchano mnie ze smutkiem.

— A my z żoną żyjemy myślą powrotu do kraju — mówił kolejarz. Niech Pan pomyśli: trzeci rok żyjemy w tych warunkach, bez własnego kąta, przeczucani z miejsca na miejsce, poniewierani przez tę dzicz moskiewską.

— Dochodziły nas tu wieści — ciągnął dalej kolejarz — że w kraju nie jest tak bardzo źle, że jest już rząd polski, że na kolejach sami Polacy i że ci, którzy wyjechali do Rosji, gdy wrócą, nie będą przyjęci z powrotem na kolej.

Zapewniłem go, że tak dobrze nie jest, że koleje są obsadzone niemieckim personelem i że jeśli nawet teraz wróci, to nie dadzą mu posady na kolei.

— Ach, wszystko jedno! lepiej umrzeć z głodu w kraju — zawołała żona kolejarza, — niż cierpieć nadal z dziećmi tu poniewierkę.

Smutne wrażenie robiło to małżeństwo. Widać było z każdego spojrzenia, z każdego słowa, że są śmiertelnie znudzeni, że pożera ich tęsknota za krajem. Moje opowiadania o sytuacji sprawiały zawód, bo przeczyły temu co wyśnili, wymarzyli sobie o dalekiej, umiłowanej Polsce. Długo w noc gawędziliśmy, gdyż i ja ciekaw byłem, co działo się w Rosji. Moi gospodarze mówili o rewolucji z nieukrywaną pogardą i wstrętem. Raził ich chaos powszechny, rozpasanie żołdactwa, które jak szarańcza wszystko niszczyło i zachęcało okoliczne włościanstwo do rabunków i mordów.

Gdy obudziłem się z rana, kolejarza już nie było, żona zaś jego szykowała dla mnie herbatę. Ledwie uprosiłem kobicinę, korzystając z nieobecności męża, by wzięła odemnie

kilka groszy na mleko dla dzieci, bo widziałem wielką biedę w tym wagonie-mieszkanu.

Po pewnym czasie przyszedł kolejarz.

— Musimy już iść na stację — zwrócił się do mnie, — bo pociąg nadchodzi, a chcę Pana poznać z kolegami z brygady, aby zabrali Pana do swego przedziału, gdyż ta hołota gotowa Pana nie wpuścić do pociągu, jako cywila.

Jakże inaczej wyglądała dziś ta stacyjka, niż wczoraj wieczorem: wówczas kilkunastu żołnierzy — teraz tłumy.

To wszystko ucieka z frontu do domu, nie czekając na demobilizację — objaśnił kolejarz.

Nadszedł wreszcie pociąg. Zdziwiłem się, że był przepelniony. Zacząłem obserwować wysiadający z wagonów tłum. Wielu żołnierzy było w mundurach austriackich: byli to jeńcy z armji austro-węgierskiej, wracający z niewoli do domu. Ale z wagonów wychodziły również całe partje żołnierzy w mundurach rosyjskich, mówiących ze sobą przeważnie po polsku. Zbliżyłem się do jednej z takich grup. Z krótkiej rozmowy dowiedziałem się, że są to żołnierze-polacy z Królestwa, którzy obecnie, korzystając z rozkładu armji rosyjskiej, masowo wracali do kraju. Próbowałem wytłumaczyć im, że okupanci wracających żołnierzy z armji rosyjskiej zamykają w obozach dla jeńców, lub wysyłają wgląd Niemiec na roboty do fabryk i roli. Nie chcieli mnie słuchać. Płonął w ich oczach gorączkowy ogień ślepej, głuchej na wszelkie argumenty tęsknoty za krajem. Robili wrażenie ludzi nawpół przytomnych. Byli opętani jednym jedynym uczuciem: jak-najprędzej, za każdą cenę dostać się do kraju. Miałem przed sobą ludzi chorych, do których świadomości żadne argumenty nie trafiały. Zamilkłem więc, wyczuwając ponadto, że moje opowiadania o sytuacji w kraju wzbudzają wyraźny gniew i podejrzenie.

Te pierwsze zetknięcie się z polakami po drugiej stronie

frontu dawało podstawy do smutnych refleksyj i prognostyków. Zarówno w oczach kolejarza i jego żony, jak i żołnierzy-polaków, widziałem tę samą gorączkę, te same od czasu do czasu przebliski jakgdyby rozstroju nerwowego. Kilka lat wojny prowadzonej w imię obrony interesów nienawistnego caratu, potem anarchja rewolucji, która musiała razić ich wyższość kulturalną, wreszcie długa rozłąka z krajem i rodzinami — wszystko to doprowadzało tych ludzi do kresu ostatecznego napięcia nerwów, graniczącego z obłędem. Uciekali z kraju, z którym nic ich nie wiązało, którego psychologii i obyczajów ani nie rozumieli, ani szanowali, tak, jak nie rozumieli również rewolucji, która w ich oczach była tylko bezmyślnym zamętem. To jaskrawe odseparowywanie się od rewolucji rosyjskiej, jako od sprawy obcej dla ich ducha i kultury, ta tęsknota za krajem napelniała mnie bezwiednie radością i dumą, lecz jednocześnie budziła na wstępie mej misji smutne refleksje co do możliwości stworzenia w Rosji polskiej siły zbrojnej.

Tymczasem kolejarz Lech odnalazł mnie i poprowadził do pociągu. Tłumy żołnierzy zdobywały sobie miejsca szturmem. Kolejarz ulokował mnie w przedziale służbowym brygady kolejowej, której większość stanowili polacy. Niedługo jednak było luźno w tym przedziale, bo żołnierze, mimo protestów konduktorów wdarli się przemocą, zapelniając szczelnie cały przedział. Mało mnie to jednak wzruszało, gdyż miałem miejsce siedzące i udawałem, że jestem również kolejarem.

Pociąg ruszył. Powoli między żołnierzami zaczęły nawiązywać się rozmowy. Głównym tematem była sprawa wojny. Każdy usprawiedliwiał się, dłaczego rzuca front i wraca do domu. Propaganda bolszewicka zrobiła swoje, dała argumenty, rozgrzeszające sumienie i niweczące poczucie obowiązku żołnierskiego.

Dość szybko dotarliśmy do Szepietówki, ale stacja była zapchana wojskowymi pociągami, więc zamknięty semafor kilka godzin trzymał nas w polu. Zaczął padać obfity śnieg, który w jednej chwili pokrył wszystko białą powłoką. W wagonie było ciepło, nikt więc nie ruszał się. Przysłuchiwałem się nadal rozmowom. Wagon trzeciej klasy, w którym siedziałem nie posiadał oddzielnych zamkniętych przedziałów, słychać więc było rozmowy z całego niemal wagonu.

Uderzył mnie naogół poważny ton rozmów: nie było ani śladu tej wesołości, często wulgarnej i cynicznej, którą tyle razy obserwowałem w rosyjskich pociągach przed wojną. Częściej niż w dawnych czasach rozmowy obracały się koło tematów religijnych. Zdziwiła mnie dysputa, zresztą i dawniej spotykana, w której dwóch przygodnych teologów, leżąc na górnych ławkach, przez kilka godzin prowadziło ze sobą spór, cytując na potwierdzenie swoich tez dłuższe nieraz ustępy z Pisma Świętego. Zjawisko w Polsce nieznane — a tak częste wśród ludu rosyjskiego. Być może ten ogólny poważny a niekiedy smutny ton rozmów, w które się wsłuchiwałem, był odbiciem głębokiego kryzysu moralnego, który przeżywał lud rosyjski, dręczony wielkimi pytaniami, postawionemi przed nim przez wojnę i rewolucję.

Śmiesznym dysonansem w tę poważną atmosferę wagonu wdarł się mały, lecz charakterystyczny epizod. W tym samym przedziale co ja, usadowił się małego wzrostu, wesoły i gadatliwy żołnierz. Z opowiadań jego dowiedzieliśmy się prędko, że udało mu się uciec z niewoli austriackiej. Promieniał cały radością, że jest wolny i wśród swoich. Usta mu się nie zamykały. Był to typ „wesołka“, który lubi bawić otaczające go towarzystwo, ale tu jakoś nie mógł nawiązać istotnej łączności z resztą pasażerów i wzbudzić upragnionego zainteresowania swoją osobą. Postanowił jednakże skupić na sobie uwagę zebranych.

— Czekaście-no, czekaście kochani przyjaciele! — zawołał nagle głośno, — posłuchajcie, co się wydarzyło popu w naszej wsi.

Dziwna rzecz, ale przy głębokiej religijności ludu rosyjskiego, pop — to znaczy ksiądz prawosławny — przed wojną był ulubionym tematem wszelakich dowcipów i nieprzyzwoitych historyjek.

Smakowicie i szeroko począł opowiadać jakąś historję o córce popa, nad wyraz ordynarną i cyniczną zarówno w treści jak w doborze słów i opisów. Gdy skończył, pierwszy ryknął śmiechem, pewny, że zawtórzą mu wszyscy. Przed wojną istotnie cały wagon słuchałby z rozkoszą tej cynicznej opowieści. Tu jednak nikt się nie roześmiał i śmiech „wesołka“ zawisł samotnie w powietrzu, by po chwili rozplynać się w ciszy. „Wesołek“ zdumiony rozglądał się, nic nie rozumiejąc. Zapanowała kłopotliwa cisza: wszyscy udawali, że nie słyszeli całej tej wyuzdanej opowieści. Tylko gdzieś z najwyższej ławki, a raczej półki, przeznaczonej normalnie na pakunki, odezwał się jakiś brodac:

— Ech ty durniu, durniu jeden. Nie wstyd ci pleść takie sprośności.

— Cóż, ja nic dziadku, ja chciałem tylko rozweselić towarzystwo. Ja broń Boże... — tłumaczył się zakłopotany i zawstydzony żołnierz.

Zamilkł, nie mogąc przystosować się do ogólnego tonu panującego wśród podróżnych. Zacząłem z nim gawędzić. Okazało się, że dostał się do niewoli na początku wojny. Nic też dziwnego, że żył psychologją ludu rosyjskiego dnia wczorajszego, nie rozumiał tych wszystkich głębokich przeobrażeń, które spowodowała w ciemnej jego duszy wojna i rewolucja.

Wreszcie tor był wolny i wpuszczono nasz pociąg na stację. Któryś z kolejarzy-polaków dopomógł mi odnaleźć po-

ciągnął idący do Płoskirowa i ulokował mnie w jednym z wagonów towarowych, przerobionym na „ciepluszkę“ żołnierską. Pośrodku wagonu znajdował się piecyk żelazny rozpalony do niemożliwości, wzdłuż ścian wagonu stało kilka rzędów ławek. W wagonie pełno było żołnierzy. Byłem jedyny w cywilnym ubraniu. Żołnierze zpodobni i nieufnie mnie obserwowali. Pomyślałem, że obywatel ziemski z pod Wiśniowca miał rację, radząc mi kupić płaszcz żołnierski. Ale gdybym nawet teraz chciał go kupić, nie mógłbym tego uczynić, siedząc już w wagonie. Zająłem więc skromnie miejsce w głębi wagonu i nie odzywając się obserwowałem nowe towarzystwo. Panował tu dziwnie ponury nastrój. Wszyscy żołnierze milczeli, pochłonięci swymi myślami. Byli to znowu dezercerzy. Wsuwali się do wagonu pojedynczo, nieufnie, pragnąc widocznie nie spotkać nikogo ze znajomych z pułku, lub oddziału. Nikt nie chciał zaczynać rozmów, każdy siedział ponuro zamyślony. Widocznie toczyli ciężką walkę ze swym sumieniem i honorem żołnierskim. Jednakże zmęczenie wojną, tęsknota za rodziną, a co ważniejsze — strach, że wieś bez niego podzieli ziemię obszarników, wszystko to razem wzięło górę i kazało rzucać front. Wyrzuty sumienia, a być może strach, czy nie przyjdzie kiedyś kara za tę dezercję, przyczyniały się do tego ponurego nastroju, który dopiero, gdy pociąg ruszył, powoli zaczął ustępować miejsca rozmowom, prowadzonym półgłosem.

Blisko mnie siedział w ciemnym kącie żołnierz, który wyraźnie unikał rozmów. Zacząłem bliżej mu się przyglądać — czynił wrażenie oficera, który starannie ukrywa swą szarzę oficerską.

Pociąg posuwał się powoli, zatrzymując się długo na każdym przystanku. Widać było, że na kolejach panowała kompletna anarchja.

Późnym wieczorem dotarliśmy do stacji Starokonstantynów. Mijały kwadranse, a pociąg wciąż stał.

Nagle usłyszeliśmy łomotanie do drzwi naszego wagonu. Odsunęliśmy je nieco. Przed wagonem stał maszynista w otoczeniu kilku żołnierzy.

— No towarzysze! — zawołał — jeśli chcecie jechać dalej, to pomóżcie mi naładować drzewa do parowozu, bo nie mam więcej opału. Musimy lokomotywę cofnąć do stacji Antoniny, aby tam nabrać opału, gdyż tu nie mają już nic. No wychodźcie, bo sam nie naładuję!

Żołnierze milcząco spoglądali jeden na drugiego — nikt nie chciał wychodzić na mroź, a tembardziej wziąć się do pracy. Kilka ponurych spojrzeń zatrzymało się na mnie: widocznie wielu jednocześnie pomyślało, że w pierwszym rzędzie taki burzuj w cywilnem ubraniu winien pracować dla proletariatu. Nie czekałem, aż padną słowa wypędzające mnie z wagonu, miałem zresztą dość tego zaduchu i nieźnośnego gorąca, idącego od rozpalonego do czerwoności piecyka. Z przyjemnością pomyślałem o spędzeniu kilku godzin na świeżem powietrzu.

— Ja pójdę — powiedziałem wstając.

— Ja również — odezwał się milczący dotychczas żołnierz, w którym podejrzywałem oficera.

Wyskoczyliśmy z wagonu. Maszynista powtórzył tę samą procedurę przed kilku innemi wagonami i z wielkim trudem zebrał zaledwie 8-10 osób potrzebnych do naładowania opału. W kilka minut byliśmy wszyscy na lokomotywie, która, odczepiona od pociągu, zaczęła manewrować, aż wydostała się na wolny tor. Antoniny leżały za nami — trzeba więc było wracać zpowrotem, i dlatego parowóz sunął tyłem t. j. naprzód tendrem. Zimno było, więc całe towarzystwo otoczyło ciasnem kołem maszynistę, grzejąc się przy palenisku kotła. Stałem nieco wtyle. Samotny parowóz szybko i lekko sunął po szynach.

Była mroźna i gwiaździsta noc.

— Patrzcie-no — zawołał jeden z żołnierzy — ten warjat siedzi na samym wicherze. To głupi chłop!

Na końcu tendra leżał stos pozostałego drzewa do opalu lokomotywy. Stos był o tyle wysoki, że sięgał prawie tylnej ściany tendra. Na stosie tym siedział jakiś żołnierz w ogromnej papasze i patrzył zamyślony przed siebie.

— Istotnie jakiś dziwak — pomyślałem, spoglądając na niego, — chce mu się nastawiać twarz na pęd powietrza.

Tymczasem okazało się, że dobry Bóg kazał mu wybrać właśnie to miejsce. Nie minęło bowiem kilku minut, gdy żołnierz pełen przerażenia, jak kamień stoczył się ze stosu drzewa, wołając na cały głos:

— Stój, stój maszynisto! Stój na Boga, pociąg przed nami!

Maszynista gwałtownie rozepchnął koło otaczających go żołnierzy i wychylił głowę z lokomotywy.

— Boże! — jęknął przerażony.

Błyskawicznie rzucił się na swe miejsce i gorączkowo zaczął manipulować hamulcami.

Za chwilę nastąpił silny wybuch, z paleniska zionął deszcz iskier, zasypując nas jakgdyby gorącym piaskiem. Rzuciłem się na koniec tendra t. j. w kierunku naszej jazdy i spojrzałem na tor. Żołnierz miał rację. Tym samym torem, mniej więcej dwieście metrów przed nami sunął powoli, w tym samym kierunku co my, ogromnej długości pociąg. Widocznie w chaosie, jaki panował na kolei, zapomniano uprzedzić maszynistę, że niedługo przed nami wyszedł ze Starokontaktynowa w kierunku Szepietówki pociąg. Maszynista zaś sądząc, że tor jest wolny, puścił maszynę na wielką szybkość nie wiedząc, że z każdą chwilą zbliżamy się do katastrofy.

Gdyby nie żołnierz samotnie siedzący na stosie drzewa, nasza maszyna wbiłaby się z ogromną siłą w pędzący przed nami pociąg. Na szczęście okrzyk żołnierza pozwolił ma-

szyniście dać kontr-parę i zahamować bieg maszyny. Lecz siłą rozpędu maszyna sunęła wciąż naprzód — coraz wolniej, ale sunęła. Całe towarzystwo przerażone stłoczyło się przy wyjściu z lokomotywy. Uczynilem odwrotnie, gdyż czułem, że w razie katastrofy będzie tam największy ścisk i największe niebezpieczeństwo przy kotle i palenisku. Cofnąłem się wgląb tendra. Tam również zastałem żołnierza, którego brałem za oficera, oraz żołnierza w papasze, który spowodował zbawienny alarm. Instynktownie przyłgnęliśmy wszyscy troje do siebie. Śmierć patrzyła nam w oczy.

Maszyna wciąż sunęła naprzód. Dopędzi pociąg czy nie? Wtuleni w siebie i skuleni na dnie tendra nie widzieliśmy nic. Nieskończenie długo trwała ta chwila oczekiwania i jazdy na spotkanie śmierci, lub kalectwa. Wreszcie rozległ się trzask. Lokomotywa uderzyła w ostatni wagon dopędzonego pociągu.

Wszyscy przewróciliśmy się. Na głowy naszej trójki zaczęły walić się kłody drzewa opałowego. Jednocześnie, w tej samej chwili poczułem, że jesteśmy ocaleni. Lokomotywa zatrzymała się. Gdy wydostałem się z pod drzewa i zbliżyłem do wyjścia — wszyscy żołnierze już powyskakiwali na ziemię. Na parowozie pozostał tylko maszynista i ja. Nasi towarzysze rzucili się w kierunku pociągu, by dowiedzieć się co się tam działo.

Maszynista dygotał całym ciałem, zegnając się nerwowo i coś szepcząc drżącymi ustami. Za chwilę zrozumiałem powód jego przerażenia: od strony pociągu usłyszałem odgłos szybkich kroków, trzask repetowanych karabinów i krzyki:

— Gdzie ten sobaczy syn maszynista, dać go tu natychmiast. Zastrzelimy go jak psa parszywego.

Za chwilę lokomotywa nasza była otoczona przez wzburzony tłum żołnierzy, wyciągających ręce po maszynistę.

— Towarzysze, towarzysze — zlitujcie się! Cóżem ja wienien? Jechaliśmy po opał, nikt mnie nie uprzedził, że jest pociąg przed nami — wołał przerażony maszynista.

Żał mi się zrobiło biednego maszynisty, pozatem wyczułem instynktownie, że wzburzeni żołnierze mnie ubranego w cywilne palto biorą za jego pomocnika. Uświadomiłem więc sobie, że również i mnie grozi niebezpieczeństwo podzielenia losu maszynisty. Zacząłem więc z całą energją uspokajać wzburzony tłum, powołując się na świadectwo żołnierzy, którzy jechali z nami na parowozie i prosząc ich, by wzięli w obronę Boga ducha winnego maszynistę.

Istotnie, żołnierze z naszej lokomotywy poczęli tamtych uspokajać, tembardziej iż wkrótce wyjaśniło się, że i w pociągu nie było żadnych ofiar.

W nieszczęściu mieliśmy szczęście. Pociąg, na który wjechaliśmy, był eszalonem, transportującym z frontu oddział konnej baterji. Wagony z ludźmi były na początku pociągu, dalej szły platformy z armatami i wagony z końmi, ostatnie zaś wagony były naładowane owsem. Na te właśnie wagony wpadła nasza lokomotywa. Dwa ostatnie wagony zostały uszkodzone w dość komiczny sposób. Jak dwa kozły, które zderzą się łbami i przez chwilę stoją na tylnych łapach, tak i wagony stały na jednej tylko parze kół, drugą zaś parą zczepione ze sobą zawisły wysoko w powietrzu.

Co robić? Decyzja przy akompanjamencie wyzwisk i przekleństw nastąpiła szybko. Żołnierze zdecydowali wagony te odczepić, zostawić na miejscu i ruszyć dalej w drogę. Nim to zostało uskutecznione, nastrój żołnierzy zmieniał się stopniowo, ustępując zrozumiałej wesołości, dyktowanej bezwiednie świadomością, że jednak bądź co bądź uniknęli śmierci i prawdziwej katastrofy. Żołnierze co chwila wybuchali śmiechem, opowiadając o przerażonych minach swych towarzyszy, którzy śpiąc mocnym snem na ławkach i półkach, poczęli rap-

tem w ciemności lecieć jeden drugiemu przez głowę na ziemię, nie rozumiejąc co się stało.

Tymczasem uszkodzone wagony odczepiono, żołnierze wpakowali się do swych wagonów i pociąg ruszył w dalszą drogę. Dla nas zaś droga była zatarasowana porzuconymi wagonami, musieliśmy przeto jechać z powrotem do Starokonstantynowa. Gdy wróciliśmy, dowiedzieliśmy się, że w Starokonstantynowie opał niema, tor zaś do Antonin nie będzie wolny wcześniej jak nad ranem. Pociąg więc nasz nie mógł ruszyć w dalszą drogę wcześniej, niż około południa. Musieliśmy czekać całą noc i ranek w Starokonstantynowie.

Tymczasem między naszą trójką, która tak kurczowo tuliła się do siebie w chwili niebezpieczeństwa powstała nietylko zażyłość, lecz i serdeczność. Nic dziwnego. Przez tę krótką chwilę, którą przeżyliśmy razem, oczekując zderzenia z pociągiem, ten sam podmuch śmierci owionął nasze dusze i taki sam ślad w nich pozostawił. Dziwnie to nas zbliżyło — jeszcze tak niedawno obcych sobie zupełnie i dalekich ludzi.

— Wie Pan — odezwał się domniemany oficer, — jeśli mamy czekać tu do jutra południa, to czyż nie lepiej pojechać do miasta i przespać się wygodnie w jakimś hotelu.

Myśl ta bardzo mi się podobała. Naturalnie zabraliśmy również ze sobą i żołnierza w papasze.

Miasto Starokonstantynów leży w odległości kilku kilometrów od dworca. Odszukaliśmy jakąś dorożkę przed dworcem, zabraliśmy nasze plecaki z wagonu i za chwilę jechaliśmy do miasta. Wkrótce siedzieliśmy w numerze hotelowym, wesoło zającując jajecznicę i popijając herbatę.

Gdyby kto obcy zajrzał do naszego pokoju byłby przekonany, że to trójka starych, serdecznych przyjaciół. Istotnie w tej chwili byliśmy nie tyle przyjaciółmi, ile ludźmi, którzy mieli do siebie wzajemne zaufanie. Wspólne przeżycia wydołyły z nas najbardziej ludzkie pierwiastki. Każdy z nas w tej

chwili był tylko człowiekiem, zwykłym prostym człowiekiem, który cieszy się, że żyje, że niebezpieczeństwo minęło. Byliśmy ludźmi, którzy w tej chwili dobrze rozumieli wartość życia. Nikt z nas nie kłamał i nie krył się. Żołnierz w papasze z chwilą przestąpienia progu pokoju hotelowego, zaczął tytułować domniemanego oficera „Wasze błagorodje“, ten zaś nie protestował i w rozmowie nie tail, iż jest oficerem, którego własni żołnierze tak poniewierali, że nie mógł wytrzymać dłużej i uciekł z pułku. Ja nie tailem, że jestem polakiem — tak samo dalekim i obcym Rosji dzisiejszej, jak dalekim i obcym byłem dawnej carskiej Rosji. Żołnierz w papasze zajął się przygotowaniem kolacji i pościeli, przyznając się, że był dawniej ordynansem dowódcy swej kompanji. A gdy przyszła chwila układania się do snu i oficer zaczął mordować się zdejmując buty z wysokimi cholewami, dawny ordynans mimo nieśmiałych protestów oficera z wielką wprawą ściągnął je z niego. Następnie pomimo naszych gorących nalegań, aby zsunąć łóżka i położyć się w trójkę, żołnierz nie chciał o tem słyszeć i przyniósł od żyda-właściciela hotelu piernaty, które rozłożył na ziemi, twierdząc, nie bez racji, że tak będzie nam wszystkim wygodniej. Robił to wszystko ze wzruszającą prostotą, bez cienia uniżoności, jak dobry kolega, który w podziale obowiązków wziął na siebie te czynności, które były dla niego najłatwiejsze, tak samo jak zrana przyznał nam, że słusznie będzie jeśli rachunek za hotel zapłacę z oficerem po połowie. Byliśmy tylko ludźmi i dobrymi kolegami i każdy z nas dawał to, co mógł dać.

Wyspani i wypoczęci w doskonałych humorach, wracaliśmy na dworzec. Pociąg nasz jeszcze stał.

Skończył się wypoczynek. Wróciliśmy na scenę, gdzie rozgrywał się wielki dramat narodu rosyjskiego. Życie-reżyser w miljonowych tłumach statystów, biorących udział w tym dramacie, każdemu z naszej trójki wyznaczyło swoją rolę.

Nasz poczciwy żołnierz w papasze stał się znowu rozpasanym „towarzyszem“, oficer zaszył się w najciemniejszy kąt, udając znowu zwykłego żołnierza, ja zaś w swem cywilnem palcie z karakułowym kołnierzem i w fokowej czapce robiłem z siebie ni to rzemieślnika, ni to handlarza skupującego bydło.

Pociąg nasz ruszył w dalszą drogę. Im bliżej jednak byłem celu mej podróży, tem większe miałem wątpliwości czy dojadę. Coraz to bowiem inne osie zaczynały dymić, zagrzewając się z braku smarów. Gdy już byliśmy zaledwie parę kilometrów od Płoskirowa, osie wszystkich wagonów tak dały dymić, iż wydawało się, że lada chwila cały pociąg stanie w płomieniach. Maszynista jednak nie zwracał na to żadnej uwagi i jeszcze bardziej zwiększał szybkość. Widocznie chodziło mu tylko o to, by doprowadzić pociąg do Płoskirowa, nie licząc się bynajmniej z tem, ile wagonów przyjdzie w stanie niezdolnym do dalszego użytku. Dużą rolę w takim postępowaniu maszynisty odgrywał strach przed żołdactwem, które w niemożliwy sposób, jak mogłem podczas tych dwu dni zauważyć, teroryzowało służbę kolejową, nieraz zmuszając — jak mi potem opowiadano — prowadzić pociąg pod groźbą karabinów, byle prędzej osiągnąć cel swej podróży. Spowodowało to stan kompletnej anarchji w kolejnictwie. Obserwując wówczas z progu mego wagonu tę fantastyczną jazdę pociągu otoczonego wstęgami bladego dymu, myślałem, że to symbol agonji bolszewickiej rewolucji i rządów sowieckich. Dziś, gdy słyszę od lat dziesięciu powtarzane proroctwa szybkiej likwidacji ustroju bolszewickiego, milczę, bo staje mi przed oczyma pociąg i przypominam snute wówczas przezemnie wnioski.

Pociąg tymczasem dotarł szczęśliwie do Płoskirowa.

Ze zdumieniem oglądałem tak dobrze mi znany dworzec. Nie mogłem go poznać. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej brudnego, zaplutego i zaśmieconego aniżeli ten dworzec, zapchany żołdactwem, które oczekując na pociąg z oblą-

kaną szybkością gryzło „siemieczki“ t. zn. ziarnka słonecznika, wypływając łupiny wprost przed siebie na ławki, stoły, podłogę. Cały dworzec był tak zapluty łupinami, że nogi grzęzły w nich niemal po kostki.

Gdy szedłem znanymi mi dobrze ulicami, nie mogłem poznać dawnego spokojnego, sennego miasteczka. Pełno było wszędzie żołnierzy pojedynczych, grupami, pieszych i konnych. Wszędzie na ulicach tylko szare szynele soldackie.

VI

Dziwnego doznałem uczucia w parę godzin później, gdy po pierwszym wrażeniu nieoczekiwanego mego przyjazdu, rozkoszowałem się śnieżnie czystą pościelą. Pomimo zmęczenia długo nie mogłem usnąć z nadmiaru wrażeń i przeżyć kilku ostatnich dni. Barty jeszcze nie było, więc mogłem liczyć na kilka dni odpoczynku, w ciągu których miałbym możliwość rozejrzenia się w sytuacji i ułożenia dalszego planu działania.

Następnego dnia nie wychodziłem wcale z mieszkania, wypoczywając psychicznie i nerwowo w ciszy starego domu, gdzie wszystko było jak przed laty. Miałem poczucie, że znajduję się na małej zagubionej wysepce, do której nie dochodzą nawet odgłosy szalejącej na morzu burzy. Czas płynął mi na długich rozmowach z panią Michaliną Derewojedową. Był to piękny typ kresowej polki. Urodzona na Podolu, całe życie tam spędziła — a pomimo to nigdy nie nauczyła się mówić po rosyjsku, gdyż poprostu negowała istnienie Rosji w tym kraju. Siostra księdza — powstańca z 1863 roku, a następnie sybiraka — płomiennie nienawidziła „moskali“. Do końca swoich dni zachowała umysł jasny i wielkie zainteresowanie do spraw publicznych. Gorąca patriotka całym sercem sympatyzowała z ruchem niepodległościowym, uwielbiała Komendanta i Legjony, które podjęły zbrojną walkę z nie-

nawistnymi „moskalami“. Dlatego też wielkiem zaufaniem i sympatją mnie darzyła, a dowiedziawszy się o mej misji nie ukrywała radości i z dumą oglądała i odczytywała wiele razy mój mandat, wystawiony mi przez Moraczewskiego i Rydza-Śmigłego.

Jednak w tak małym miasteczku, gdzie wszyscy mnie znali i gdzie dom pani Derewojed był jednym z głównych ośrodków życia polskiego, trudno było utrzymać w tajemnicy mój przyjazd, tembardziej, że od chwili zajęcia Królestwa przez wojska niemieckie, byłem pierwszym polakiem, który przyjechał z Warszawy.

Nie zdziwiłem się wcale, gdy popołudniu wpadł do mieszkanka ksiądz proboszcz Nosalewski. Zamożny ziemianin, ze względów czysto ideowych poszedł na księdza. Był to prawdziwy typ księdza-społecznika. Budował kościoły, zakładał szkoły, ochronki — jednym słowem był promotorem polskiego życia społecznego i kulturalnego w Płoskirowie i okolicy. Zwłaszcza wielkie zasługi położył w podtrzymywaniu ducha i kultury polskiej w okolicznych wsiach rdzennych mazurów, osiadłych tu od XVI stulecia i do dnia dzisiejszego zachowujących nietylko swoją polskość, ale mazurską wymowę, stroje i obyczaje. Za tę pracę szanowałem bardzo księdza Nosalewskiego, zwłaszcza, że jako społecznik był bardzo tolerancyjny w stosunku do ludzi odmiennych przekonań. Ponieważ zaś księdza Nosalewskiego łączyły z rodziną Derewojedów węzły serdecznej przyjaźni, przeto powiedziałem mu szczerze o istotnych powodach mego przyjazdu, prosząc jednocześnie o zachowanie tajemnicy. Mimo uroczystych jego przyrzeczeń, wiedziałem, że zbliża się koniec mego incognito oraz wypoczynku, bowiem zacny proboszcz, przy całej swej powadze i tylu zaletach, miał tę słabość, że lubił być pierwszym zwiastunem każdej nowiny. Istotnie, wieczorem już cały polski Płoskirów wiedział o moim przyjeździe. Większość jednak

zgodnie z memi zapewniami sądziła, że przyjazd mój był istotnie powodowany wyłącznie względami natury osobistej.

Drugiego dnia poznałem Komendanta Milicji Miejskiej Płoskirowa p. Henryka Królikowskiego, który będąc z przekonań pepesowcem, utrzymał się nadal na swem stanowisku i po przewrocie bolszewickim, gdyż zawdzięczając swojej energii i sprężystości utrzymał ład i porządek w mieście. Królikowski, znany szerzej pod pseudonimem Muszkiet, stał się następnie jednym z najczynniejszych członków P. O. W. na Ukrainie, dziś zaś jest bardzo cenionym i popularnym działaczem w Związku Strzeleckim.

Znajomość z Muszkietem-Królikowskim stała się dla mnie bardzo cenną, zarówno bowiem ja, jak i następnie P. O. W., pozyskałiśmy w nim pełnego oddania i zapału ideowego działacza. Ucieszyłem się również bardzo z wiadomości o istnieniu sekcji P. P. S.: dawało mi to punkt oparcia w mej działalności i ułatwiało nawiązywanie stosunków z rewolucyjnymi środowiskami rosyjskimi. Muszę z uznaniem tu podkreślić, że P. P. S. w Rosji od początku rewolucji, a nawet po przewrocie bolszewickim nie zatraciła ani swojej organizacyjnej, ani ideowej odrębności. Wspaniałe hasła głoszone przez zwyciężką rewolucję bolszewicką nie otumanily P.P.S. w Rosji, jako całości, i nie potrafiły unicestwić jej wiary w naczelny postulat tej partji — Niepodległość.

P. P. S. w Rosji zajęła w stosunku do przewrotu bolszewickiego stanowisko lojalne. Członkowie P. P. S. brali czynny udział w pracach Komitetów i Rad Robotniczych, jednocześnie jednak zawsze podkreślali swe odrębne stanowisko narodowe i charakter tymczasowości współpracy P. P. S., składającej się z żywiołów emigracyjnych, dla których zarówno ideowy, jak i organizacyjny ośrodek nadal znajdował się w Polsce. Taką była zasadnicza linja kierowniczych ciał P. P. S. w Rosji. Naturalnie istniał cały szereg działaczy

P. P. S. w Rosji, którzy byli pod mniejszym lub większym wpływem partji komunistycznej oraz jej hasel, jednakże jeśli P. P. S. w Rosji jako całość oparła się wpływom ideologicznym bolszewizmu i nie rozplynęła się w morzu rewolucji rosyjskiej, zwłaszcza po przewrocie bolszewickim, jest to zasługa przede wszystkim Aleksandra Prystora, Kazimierza Pużaka, Antoniego Anusza, Jana Kwapińskiego, działających w Moskwie i Petersburgu, zaś Jana Libkinda, Kazimierza Domoślowskiego i Władysława Korsaka, przebywających na Ukrainie.

Na drugi dzień po poznaniu Muszkieta-Królikowskiego przemawiałem na walnem zebraniu członków P. P. S. w Płocku. Dużą satysfakcję dało mi to zebranie, gdyż przekonałem się, jak dalece potrzebny był mój przyjazd. Słuchano mnie z największą uwagą i zaufaniem. Czułem jednak, że między społeczeństwem polskim w kraju, a emigracją demokratyczną i radykalną przebywającą w Rosji, wytworzyła się duża przepaść psychiczna. Nic dziwnego. Rozwój wypadków w Polsce i Rosji szedł zupełnie odmiennymi drogami, zwłaszcza od chwili wybuchu rewolucji. Trzeba było ponad tą przepaścią przerzucić most. Mówiłem więc, że nie należy wszystkich nadziei pokładać w rewolucji bolszewickiej, że nie wolno ulegać urokowi jej wspaniałych hasel, bo jeśli nawet są szczere, to widzę wyraźnie, że rewolucja bolszewicka jest bezsilna, gdyż nie potrafiła narzucić w Brześciu swego programu państwowemu centralnemu, a i teraz będzie musiała ulec ich sile brutalnej. Twierdziłem, że nic za tem nie przemawia, aby Niemcy byli w przededniu rewolucji, zaś jeśli Austro-Węgry są w rozkładzie i bliskie upadku, to zostaną rozsadzone przez rewolucje narodowe ludów monarchji Habsburskiej, dążących do niepodległości lub do złączenia się, jak np. serbów i rumunów, ze swemi krajami ojczystymi. Wreszcie mówiłem o sytuacji w Kongresówce, tłumacząc, że

tam niema miejsca na rewolucję socjalną i dyktaturę proletariatu z tej prostej racji, że niema proletariatu, gdyż przemysł został świadomie zrujnowany przez Niemców, zaś proletariąt wywieziony na roboty do Niemiec. Konkluzją mych wywodów było hasło Niepodległości. Mówilem więc o ewolucji obozu niepodległościowego, który w obecnej Rosji nie widzi wroga Polaki, tembardziej, że wszystkie ziemie polskie znalazły się w rękach Austro-Węgier i Niemiec i, że dlatego cały obóz niepodległościowy obrócił się frontem walki czynnej przeciwko tym dwu państwom, których zwycięstwo w wojnie światowej byłoby klęską narodu polskiego. Tłumaczyłem, że Rada Regencyjna jest symbolem ugody polskiej i wyrazicielką interesów klas posiadających, które w obawie przed rewolucją bolszewicką coraz bardziej garną się pod opiekę okupantów. Dlatego też i nadal walkę o Niepodległość może prowadzić tylko robotnik, chłop polski i inteligencja pracująca. Gorąco zapewniałem, że naszym istotnem zadaniem winno być nie bierne wyczekiwanie na to, że rewolucja socjalna lada dzień ogarnie swym płomieniem całą Europę i w ten sposób da Polsce nie tylko Niepodległość, ale i ustrój socjalistyczny. — lecz świadome wykorzystanie możliwości stwarzanych przez rewolucję rosyjską i nadal toczącą się wojnę. I dlatego z całą mocą wskazałem jako na wielki błąd, że tworzenie armji polskiej oddano w ręce Narodowej Demokracji, gdy tymczasem armja ta winna być rewolucyjną i posłuszną rozkazom P. P. S. i całego obozu niepodległościowego. Pozatem potrzebę stworzenia wielkiej armji uzasadniałem koniecznością, aby w decydującym momencie mogła wkroczyć do Polski i ułatwić narodowi zrzucenie z siebie jarzma niewoli i okupacji austriacko-niemieckiej. W zakończeniu swego przemówienia nawoływałem do zakładania magazynów broni, amunicji, materiałów wybuchowych, które następnie byłyby transportowane do kraju, gdzie działają

P. O . W. i Pogotowie Bojowe P. P. S. prowadzące czynną walkę z okupantami.

Sluchano mnie z coraz bardziej rosnącym zdziwieniem, a nawet zdumieniem: tyle w mych słowach było nowego, obcego i przeciwstawiającego się hasłom rewolucji bolszewickiej. Lecz mimo to wyczułem ze strony zebranych sympatię i zaufanie, poniekąd nawet wdzięczność, że dałem jasny program samodzielnego działania na tym terenie, zgodny z dyrektywami i ideologią obozu niepodległościowego i władz centralnych P. P. S.

Zgola odmienny natomiast efekt osiągnąłem na innym zebraniu. Przyjazd mój do Płoskirowa, jak już wspomniałem, wywołał zrozumiałe zainteresowanie. Wiadomość o mojem przemówieniu na zebraniu P. P. S. rozeszła się dość szeroko, dlatego też reszta polskiego społeczeństwa, wśród którego było wielu ziemian, wyrzuconych przez chłopów i żołdactwo z majątków, zaczęła nalegać, abym i dla nich urządził takie informacyjne zebranie. Bardzo niechętnie się zgodziłem, gdyż dobrze znając okoliczne ziemiaństwo i pamiętając o jego rusofilskich i antyniepodległościowych nastrojach na początku wojny, byłem pewny, że teraz pała miłością do Austrii i Niemiec.

Przewidywania moje sprawdziły się całkowicie. W referacie, który wygłosiłem na tem zebraniu mówiłem o istotnej sytuacji Polski pod władzą Niemiec i Austrii, o świadomem niszczeniu przez Niemców przemysłu w Kongresówce, o nastrojach społeczeństwa polskiego po traktacie brzeskim, o tragicznej sytuacji bezsilnej Rady Regencyjnej, coraz bardziej niepopularnej i znienawidzonej przez polskie społeczeństwo. Po tej ogólnej charakterystyce sytuacji w kraju przeszedłem do konkluzji, że zwycięstwo państw centralnych — to grób aspiracyj niepodległościowych Polski, że wobec tego trzeba szukać raczej oparcia o koalicję, zaś przedewszystkiem starać

się wykorzystać rewolucję rosyjską, jako terytorjum na którym należy próbować stworzyć polską siłę zbrojną. Mówilem dalej o tem, jakie nadzieje, niestety — jak widzę — wyolbrzymione i przesadne, pokłada polskie społeczeństwo w kraju na armji polskiej tworzonej w Rosji, pragnąc aby armja ta zachowywała się neutralnie w stosunku do władz sowieckich, rezerwując swe siły do walki z Niemcami o wyzwolenie Polski.

Minęło kilka dni mego pobytu w Płoskirowie. Skwapliwie rozpytywałem się o wojsko polskie. Z udzielanych mi informacji szybko przekonałem się, że na Ukrainie faktycznie żadnego wojska nie było.

Całe wojsko, otoczone w Polsce legendą i wyolbrzymione do rozmiarów armji, w istocie rzeczy składało się z kilku oddziałów kwaterujących w majątkach magnaterji i broniących je przed napadami chłopstwa i żołdactwa. A więc w Antoninach, ordynacji Potockich, znajdował się oddział Jaworskiego, który skutecznie bronił tę magnacką fortunę przed rozgromem i zniszczeniem. Pozatem w okolicach Winnicy istniało kilka oddziałów, które broniły „włości“ hr. Zdzisława Grocholskiego i Franciszka Jaroszyńskiego.

Szeroko szła po Podolu sława oddziału Jaworskiego, który dokazywał cudów waleczności w codziennej podjazdowej walce z uzbrojonem chłopstwem, okalającem pierścieniem Antoniny, wściekłem, że państewko Potockich nie podzieliło losu tylu innych magnackich fortun.

Wszyscy, a więc zarówno oddziały polskie i ziemiaństwo skupione po miastach i oplakujące zgłiszcza swych dworów, jak i tłumy przymusowych uchodźców z Polski — wyczekiwali, jak zbawienia, przyjscia wojsk austro-niemieckich.

Trzeba pamiętać, że był to początek drugiej połowy lutego 1918 roku. Do Płoskirowa dotarłem 17 lutego wieczorem. Były to więc dni przełomowe. Państwa centralne za-

warły pokój z Centralną Radą Ukraińską, która jednak musiała opuścić Kijów, zajęty przez wojska bolszewickie.

Trocki w Brześciu rzucił swe słynne hasło „ani wojna ani pokój“, które jednak nie zostało zaakceptowane przez państwa centralne, i właśnie w tych dniach, które opisuję, a mianowicie dn. 18 lutego upływał termin rozejmu na froncie wschodnim.

Płoskirów, zawdzięczając powszechnemu chaosowi na kolejach, był odcięty od wszelkich wiadomości z szerokiego świata. Trudno więc było w tych warunkach zorjentować się ile jest prawdy w pogłoskach o szybkim nadejściu wojsk niemiecko-austriackich.

Nie miał również żadnych wiadomości i p. Opiola, jeńiec austriacki, chwilowy nauczyciel w polskim gimnazjum w Płoskirowie, a jednocześnie delegat Rady Międzypartyjnej na to miasto, który nawiązał ze mną kontakt.

Tymczasem jednak, aczkolwiek Barta nie przyjechał, wypadki, które się rozegrały następnych dni, położyły kres memu biernemu wyczekiwaniu, i niby liść spadły z drzewa porwany zostałem przez szalony wir rewolucji rosyjskiej.

VII

Dobiegła końca trzecia doba mojego pobytu w Płoskirowie. Godzina była późna i już spałem, gdy z hałasem wpadł Muszkiet-Królikowski domagając się, abym niezwłocznie ubrał się i jechał do prezydenta miasta Płoskirowa w bardzo ważnej, niecierpiącej zwłoki sprawie. Na wszystkie moje zapytania nie chciał odpowiadać, twierdząc, że dowiem się na miejscu. Ubrałem się szybko i za chwilę już jechaliśmy powozem Królikowskiego przez puste ulice śpiącego miasta. W kilka minut później byliśmy w Magistracie. Minęliśmy parę ciemnych sal i Królikowski wprowadził mnie do gabinetu prezydenta miasta. Na spotkanie nasze wstało od stołu trzech mężczyzn. Jakież było moje zdziwienie, gdy podchodząc bliżej zobaczyłem, że jednym z obecnych był młody, smukły brunet w mundurze porucznika Legionów Polskich. Zdumiony nie wiedziałem co myśleć.

— Dezerter. Przejął się ideałami bolszewickimi i zwiął tu do nich — przemknęła mi myśl. Ogarnęło mnie niemile uczucie niesmaku.

— Co Pan tu robi? — spytałem po polsku.

— Pozwoli Pan, że się przedstawię — usłyszałem w odpowiedzi. Jestem porucznik Roganowicz, oficer drugiego pułku piechoty II Brygady Legionów. — Jestem tu z rozkazu

brygadjera Hallera, który z całą swoją brygadą znajduje się pod Kamieńcem.

Zbladłem.

— Mów! mów Pan prędko! — zawołałem, chwytając go za rękę i ciągnąc w stronę stołu.

Usiedliśmy. Gdym usłyszał, że cała II Brygada, z wyjątkiem taborów i artylerji, po walce zbrojnej z austriakami przedarła się przez front, — ogarnęła mię fala dziwnej radości i wzruszenia.

— Legjony kochane, Legjony.. — szeptałem bezwiednie, słuchając opowieści żołnierskiej.

Legjony — ten święty ogień żarliwej ofiary, umiłowania i najczystszej idealizmu. — Legjony — ten pyszny, barwny kwiat wiosennych porywów Młodości polskiej, mieniący się tysiącem odcieni beztroski, radości życia i pogardy śmierci, upajający aromatem wiernej rycerskiej służby i posłusznego ulegania tajemniczemu, nęcącemu urokowi wyniosłej Pani Wojny, za miłość do siebie darzącej pocałunkiem śmierci lub sławą nieśmiertelną. Legjony — wspaniały hymn polskiej dumy, rzewna piosenka butnej próżności, opowieść o wstydzającym się swej wielkości bohaterstwie i zuchwalej fanfaronadzie, o ślepym posłuchu dla swego Komendanta i wyzywającym lekceważeniu „sprzymierzeńców“, piękny rapsod o wiernej dozgonnej przyjaźni żołnierskiej i pogardzie bezgranicznej roztropnych rad doświadczonych „ojców narodu“.

Chłonałem słowa opowieści o jednym z najpiękniejszych, najwznioślejszych odruchów zbiorowej duszy polskiej, o zbrojnym gniewnym geście obrażonej dumy narodowej i żołnierskiej wzdargy dla wiarołomstwa wczorajszych sojuszników.

Szybko, jak chmury wichrem pędzone, mknęły myśli moje. Uświadamiałem sobie, że szalona decyzja II Brygady, tak piękna w swej determinacji, oznacza faktycznie ostateczną

likwidację Legjonów, jako polskiej siły zbrojnej po stronie państw centralnych, a więc że tem samem przynosi wreszcie błogosławiony, upragniony kres tragicznemu ideowemu rozdwójnieniu i rozłamowi w Legjonach. Przestały istnieć Legjony jako siła realna, ale zaczynały nowe, wspólne życie w duszy i historii narodu polskiego. Ten ostatni czyn II Brygady — czułem to wyraźnie i jasno w tej wielkiej dla mnie chwili — był wspaniałym odruchem, który splatał w braterskim uścisku wszystkie Brygady, był pięknym końcowym akordem wielkiej epopei Legjonów, który im, jako całości, szeroko otwierał bramy do tryumfalnego wspólnego marszu na spotkanie Nieśmiertelnej Sławy.

Jakże długo Brygady Legjonów, owiane tem samem umiłowaniem wolności, opromienione jednaką sławą waleczności i hartu żołnierskiego, zdążające ku wspólnemu celowi, szły odmiennemi drogami, żywiąc w sercach wzajemny żal i ból. Jedni poszli drogą Magdeburga, Szczypiorny, Benjaminowa, ponieważ na froncie włoskim, lub krycia się w podziemiach pracy P. O. W., — drudzy poszli inną drogą, by pod Rarańczą granatami utorować sobie wyjście, aby spotkać się z nami i iść już odtąd dalej jedną, wielką gromadą po wspólnej drodze doli i niedoli polskiego żołnierza.

Było coś symbolicznego i pięknego w tem spotkaniu na obcej ziemi młodego oficera-wysłańca II Brygady z emisariuszem P. O. W.

Z coraz większą serdecznością, z coraz głębszem wzruszeniem patrzyłem na tego, smukłego chłopca, który z dziwną prostotą i spokojem opowiadał o przebiegu niedawnych wypadków, płonąc jednocześnie cichą wewnętrzną radością, płynącą ze świadomości spełnionego obowiązku, znalezienia prostego, żołnierskiego wyjścia z tak tragicznej i hańbiącej sytuacji. Nie znać w nim było, ani strachu przed nieznaną przyszłością, ani żalu za niepowrotną przeszłością. Był w tej chwili

li pochłonięty tylko jednym — swoją rolą wysłannika tysiąca żołnierzy, którzy w tej chwili stawali się Legjonem tułaczy, i po spaleniu za sobą wszystkich mostów powrotu do kraju, spuszczała teraz swą pogruchotaną łódź na fale tajemniczej i groźnej rewolucji rosyjskiej.

Nie mieli taborów, pieniędzy, odzieży, brakło im amunicji, a jednocześnie otoczeni byli zrewoltowanym chłopstwem i zanarchizowanym żołnierstwem, które — pełne nieufności do przybyszów — domagało się od nich złożenia broni i zdania się na ich łaskę i niełaskę.

Przyjechał tu, aby u wyższych władz sowieckich szukać zrozumienia i szacunku dla ich czynu, gościnności, w którą wierzyli udając się na tułaczkę, opieki przed nieufnemi tłumami. Troska o los swych kolegów była w tej chwili jedyną myślą tego polskiego żołnierza.

Bez wahań, w jednej chwili stanąłem całą duszą przy nim, z jego sprawy czyniąc swoją własną sprawę. Tak mi dyktował nie tylko obowiązek polaka i koleżeński sentyment pilsudczyka, ale i trzeźwy rachunek polityczny. Rozumiałem bowiem należycie, że przyjście II Brygady na Ukrainę stanowić będzie nową erę w naszych usiłowaniach stworzenia tu polskiej siły zbrojnej, że da naszym wysiłkom nowe, realne podstawy i — co ważniejsza — nowego ducha.

Druga Brygada, zwana słusznie Żelazną, reprezentowała nie tylko wzór świetnego karnego żołnierza, lecz przede wszystkim żołnierza ideowego, który z własnej woli poszedł bić się na ochotnika w imię Polski. Obecnie zaś swoim czynem, moralnie zagradzał drogę żołnierzom polskim z armji rosyjskiej, których jedynym pragnieniem był jaknajszy powrót do kraju. Pozatem szaleńcza decyzja II Brygady była potwierdzeniem słuszności moich relacyj o istotnych nastrojach w kraju. Musiał więc ten czyn zastanowić, obudzić re-

fleksje i wśród społeczeństwa polskiego, przebywającego w Rosji.

Należało tedy za wszelką cenę ratować II Brygadę od rozbrojenia, zabezpieczyć jej możność zbiorowej egzystencji i możliwie szybkiego oddalenia się od granicy austriackiej.

Zapytałem porucznika Roganowicza, poco przyjechał do Płoskirowa.

Odpowiedział, że ponieważ zna dobrze język rosyjski został wydelegowany przez brygadiera Hallera do Kamieńca do władz sowieckich, aby porozumiał się z niemi w kwestjach dotyczących Brygady, a przede wszystkim w sprawie swobody poruszania się z bronią w rękę. Władze sowieckie w Kamieńcu nie chciały samej tej sprawy załatwić i skierowały go z jednym z komisarzy do Płoskirowa, gdzie znajdował się Rewkom VII armji. Właśnie jeden z obecnych w pokoju, słusznego wzrostu żołnierz, był tym komisarzem, z którym przyjechał. Drugi z obecnych — nazwiskiem Popow, — blondyn średniego wzrostu, typowy inteligent rosyjski w binoklach, z rozwichrzoną czupryną, ubrany w czarną „rubaszkę“ — był prezydentem miasta, i jak mnie w międzyczasie poinformował Muszkiet-Królikowski, jednym z najwybitniejszych i najbardziej wpływowych członków Rewkomu. O ile mnie pamięć nie myli, był to lekarz z zawodu, nie więc dziwnego, że rządził gromadą żołnierzy w Rewkomie. Dlatego właśnie delegat bolszewicki wprost do niego zawiózł porucznika Roganowicza.

Prezydent Popow ujrzawszy oficera polskiego wezwał Muszkiet-Królikowskiego, jako polaka i Prezesa sekcji P. P. S., ten zaś zaproponował zaprosić na tę naradę również i mnie, jako świeżo przybyłego z Warszawy delegata Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S.

Zabrałem głos, prosząc o pozwolenie skreślenia historii Legjonów. Wiedziałem, że gra idzie o wielką stawkę, gdyż

nietylko o uzyskanie prawa azylu dla II Brygady, ale i o prawo pozostania jej jednostką bojową. Rozumiem, że uzyskanie tego nie będzie tak łatwe, ze względu na zupełnie usprawiedliwiony nieufny stosunek władz bolszewickich do polskich oddziałów sformowanych w Rosji. Całą duszę włożyłem w swoje przemówienie. Zacząłem od tego, że jestem delegatem P. P. S., której stanowisko wobec rewolucji rosyjskiej jest znane, że sam jestem starym działaczem rewolucyjnym, który zaznał i więzienia carskiego i niemieckiego obozu dla internowanych, więc mam prawo liczyć na zaufanie. Następnie streściłem historję powstania Legjonów, wywodząc ich początek z Organizacji Bojowej P. P. S., poprzez Związki i Drużyny Strzeleckie; opowiedziałem dalej walkę ich z Rosją carską i zmianę frontu po wybuchu rewolucji rosyjskiej, co znalazło swój wyraz w odmowie przysięgi, areztowaniu Komendanta Piłsudskiego oraz w internowaniu żołnierzy i oficerów w Benjaminowie i Szczypiornie; mówiłem również o istnieniu tajnej P. O. W., walczącej z okupantami. Przejście II Brygady, jest jeszcze jednym epizodem tej walki z imperjalistycznymi Niemcami i Austrią. Rząd sowiecki — pomimo swych wysiłków pokojowych — stoi w przededniu nowej walki z temi państwami i zahartowana w bojach Żelazna Brygada może się przydać, nie mówiąc już o tem, że wogóle honor rewolucji proletarjackiej wymaga, aby otoczyć opieką i szacunkiem tych, którzy jej zaufali i szukali u niej schronienia i pomocy.

Wyczułem, że argumenty moje robią wrażenie.

Komisarz z Kamieńca szczerze mi się przyznał, iż II Brygada wzbudziła w nich nieufność i podejrzenie, że jest awangardą wojsk austriackich, gdyż nie sprawiała wrażenia zbuntowanego oddziału, bo nadal jest w niej dyscyplina wojskowa, nadal dowodzą oficerowie, niema żadnych Rad i Komitetów żołnierskich. Dał do zrozumienia, że jeśli istotnie

jest to rewolucyjne wojsko, to musi zaprowadzić u siebie bolszewickie porządki.

Miałem już możność przyjrzeć się, jak wygląda zrewolucjonizowane wojsko rosyjskie, nie dziwiłem się przeto komisarzowi bolszewickiemu — wczoraj jeszcze zwyklemu żołnierzowi, że musiały go razić stosunki w II Brygadzie, oparte na dawnych, znienawidzonych zasadach dyscypliny wojskowej. Przyszedł tedy najtrudniejszy dla mnie moment, gdyż musiałem z całą stanowczością przeciwstawić się temu żądaniu. Szeroko tłumaczyłem, że Legjony to wojsko idealne, powstałe z ochotników, stanowiące jedną rodzinę, gdzie wszyscy niemal zaczynali służbę od szeregowców, wśród których do tej chwili jest wielu inteligentów, studentów, uczni gimnazjalnych, którzy z własnej nieprzymuszonej woli słuchają się swych oficerów, którzy bardzo często są ich kolegami i przyjaciółmi. Podtrzymał mnie Popow, który wogóle od początku ustosunkował się życzliwie i ze zrozumieniem do sprawy, tłumacząc żołnierzowi, że nie trzeba nic się narzucać, że Brygada zapoznawszy się bliżej, sama wprowadzi u siebie Komitety i Rady żołnierskie. W tym życzliwym stosunku Popowa do naszej sprawy, było bezwątpienia wiele zasługi Muszkieta-Królikowskiego, który stojąc na czele P. P. S. w Płoskirowie i polskich socjalistycznych wojskowych oddziałów, w innem świetle przedstawiał sprawy polskie, aniżeli egoistyczne ziemiaństwo polskie.

Na zakończenie naszej konferencji Popow oświadczył, że jest za tem, aby nie żądać od Brygady złożenia broni, ale przeciwnie, aby ułatwić jej oddalenie się od frontu, i że jest pewny, iż Rewkom da do dyspozycji Brygady dwa pociągi, któremi będzie mogła odjechać w głąb kraju, narazie choćby do Płoskirowa, aby tu otrzymać niezbędne tabory, bieliznę i t. d. Komisarz z Kamieńca, dla którego Popow wyraźnie był absolutnym autorytetem, zgodził się z tem,

wszystkiem, przyrzekając, że Rewkom w Kamieńcu ze swej strony również zajmie wobec II Brygady życzliwe stanowisko.

Mogłem tylko serdecznie podziękować za takie postawienie sprawy. Ostatecznie stanęło na tem, że nazajutrz rano Muszkiet-Królikowski i ja pojedziemy razem z komisarzem i por. Roganowiczem do Kamieńca, aby tam ułatwić nawiązanie kontaktu pomiędzy władzami sowieckimi a bryg. Hallerem.

Wróciłem do domu i znowu położyłem się do łóżka, lecz nie mogłem usnąć, tak byłem przejęty i wzruszony wielką nowiną.

Tysiące myśli snuło się po głowie, wciąż nowe plany rodziły się w rozgorączkowanej i podnieconej wyobraźni. Sprawa utworzenia wielkiej, silnej armji polskiej w Rosji zdawała się rzeczą pewną. Wielomiljonowa armja rosyjska rozkładała się i stawała się niezdolną do walki; tymczasem zapasy broni, amunicji, zaopatrzenia żołnierzy i t. d. były ogromne: starczyłyby na uzbrojenie i wyekwipowanie kilkakasettysięcznej armji. Pokoju w Brześciu nie zawarto. Lada dzień należało się spodziewać wznowienia wojny. II Brygada, cofnięta wgłąb Rosji, tworzyłaby wspaniałe kadry. Każdy oficer Brygady, każdy żołnierz, byłby nietylko doskonałym instruktorem, dowódcą i podoficerem, ale i wielkim ideowym czynnikiem i propagatorem sprawy tworzenia wojska polskiego na obczyźnie. Należało tylko dać II Brygadzie nowe zastępy ochotników, które pomnożyłyby wielokrotnie jej siły i liczebność. Wiedziałem, że materiału ludzkiego — w postaci żołnierzy z armji rosyjskiej, jeńców-polaków z armji austriackiej i niemieckiej, uchodźców z Polski, wreszcie miejscowej polskiej młodzieży — jest podostatkiem. Najbliższem zadaniem będzie — rozproszone, zdezorientowane tłumy polskie, jak stado bezpańskich, bezdomnych owiec blakających się dziesiątkami,

setkami tysięcy po ogromnych, bezkresnych przestrzeniach Rosji, skupić przy II Brygadzie i natchnąć szczytną ideą czynnej pracy nad stworzeniem tu polskiej siły zbrojnej. Wielkie to było zadanie i trudne, ale po to właśnie nas tu wysłano, to było również celem i mojej podróży. Musiałem więc z jednej strony pozyskać dla idei tworzenia prawdziwego rewolucyjnego wojska polskiego miarodajne sfery sowieckie, z drugiej — skupić około tej pracy wszystkie kierownicze ośrodki ideowe i polityczne polskiego społeczeństwa i polskiej emigracji w Rosji.

Takie myśli i plany snulem wśród mroku i ciszy nocy. I zdawało się, że były one dobre i słuszne i że miały wszelkie szanse urzeczywistnienia.

Wreszcie przyszedł upragniony, lutowy szary świt, zwiastujący godzinę odjazdu i powrotu z dziedziny marzeń i planów do smutnej polskiej rzeczywistości.

VIII

Wyruszyliśmy w drogę o wczesnej godzinie. Jechaliśmy wspaniałem autem, które, jak nieomieszkał pochwalić mi się komisarz bolszewicki, należało dawniej do generała Rudzkiego. Auto kierowane wprawną ręką starego szofera, z którym jeździł ten sam generał Rudzki, szybko pędziło wijącą się jak biała wstęga wśród pagórków krętą szosą. Po pewnym czasie zaczęły migotać nam przed oczyma pierwsze zabudowania miasteczka Dunajewce, leżącego w połowie drogi między Płoskirowem a Kamieńcem. Szofer zwolnił bieg maszyny, na rynku zaś miasteczka zmuszony był zatrzymać auto, gdyż cały rynek wypełniony był wzburzonym tłumem, który w jednej chwili otoczył nas wielkiem kołem. Dość było jednego spojrzenia, aby przekonać się, że coś tu zaszło. Tłum był wzburzony, w powietrzu unosił się zapach prochu, po rynku gąlowały oszalałe ze strachu, osiodłane konie bez jeźdźców.

Postawa tłumu była tak wroga, że podnosząc się z siedzenia, odruchowo wyciągnąłem z kieszeni palta mały brauning, aby go zrepetować. Ktoś z tłumu zauważył to i krzyknął:

— Towarzysze, ten burżuj ma rewolwer, chce do nas strzelać.

Okrzyk ten jeszcze bardziej wzburzył podniecony tłum, który zaczął wołać:

— Dać go tu! aresztować! pod ściankę z nim!

Wrzeszcząc i zlorzecząc, tłum coraz bardziej napierał na auto. Wszystko to trwało zaledwie chwilę. Moi towarzysze podróży, którzy nie zauważyli mego ruchu z brauningiem, w pierwszej chwili nie mogli zrozumieć o co chodzi. Sytuacja stawała się groźna. Uratował nas od katastrofy Muszkiet-Królikowski, tłumacząc, że zaszło jakieś nieporozumienie, gdyż do nikogo nie miałem zamiaru strzelać. Komisarz bolszewicki również uspokajał tłum, lecz niezbyt gorąco, gdyż w głębi duszy był również oburzony na mój odruch wobec wszechmogącego wówczas tłumy rewolucyjnego. Sytuacja komplikowała się, gdyż tłum jakkolwiek stopniowo uspokoił się, jednak żądał, abym oddał brauning, na co nie chciałem się zgodzić.

Brauning ten małego kalibru, wręczył mi w Warszawie przed moim wyjazdem Tadeusz Szturm de Sztrem, jako upominek od Pogotowia Bojowego P. P. S. Ten dowód pamięci i życzliwości ludzi, których głęboko szanowałem, wzruszył mnie bardzo, gdyż pośrednio oznaczał, że ludzie ci uważają mnie poniekąd za swego towarzysza. Nic też dziwnego, że ten mały brauning cenilem bardzo, i mimo że od samego początku miałem z nim dużo kłopotu, był on dla mnie psychicznie tem, czem jest szabla dla oficera, która również raczej zawadza, ale której nigdy dobrowolnie się nie oddaje. Dotychczas broń ta ani razu mi się nie przydała, raz tylko ścisnąłem ją dłonią w kieszeni, przy przejeździe dawnej granicy austriacko-rosyjskiej, kiedy żołnierz-rusin tak komicznie medytował, czy mnie nie zatrzymać. Wówczas będąc już blisko upragnionego celu, bez chwili namysłu strzelałbym do niego.

Tłum widząc moją zdecydowaną postawę i słysząc, że mówię doskonale po rosyjsku i takim tonem bezapelacyjnym, jakgdybym był dygnitarzem sowieckim, powoli zaczął się uspokajać i wreszcie zostawił nas w spokoju.

Tymczasem Komisarz bolszewicki wypytywał zebranych co zaszło w miasteczku. Okazało się, że zaledwie przed kil-

kunastu minutami, uzbrojone tłumy napadły na przechodzący przez Dunajewce polski oddział rotmistrza Engla. Cały oddział napadnięty znienacka, bez walki dał się rozbroić — jedynie dowódca oddziału rotmistrz Engel z kilkoma ludźmi zdołał uciec konno.

Sytuacja była poważna, gdyż stwarzał się niebezpieczny precedens dla II Brygady. Postanowiliśmy przeto wyjaśnić całą sprawę i uwolnić uwięzionych żołnierzy.

Wyszliśmy z auta i udaliśmy się do lokalu gminy, gdzie znajdowali się internowani żołnierze polscy. Przykre wrażenie zrobili na mnie. Mieli apatyczny, obojętny wyraz twarzy. Z opowiadań ich wywnioskowałem, że rotmistrz Engel, gdy doszły do niego głuche wieści o przejściu II Brygady, sądząc, że to była awangarda wojsk austriackich, rzucił się ze swym oddziałem w jej kierunku, a będąc pewnym, że austriackie wojska są już blisko, przybrał wobec tłumów żołnierzy i chłopów wyzywającą postawę i sprowokował tem nieoczekiwany napad, który tak smutno się skończył.

Internowani żołnierze, jak już wspomniałem, zachowywali się dziwnie obojętnie. Widocznie, tak byli zmęczeni psychicznie, że nawet myśl o możliwej śmierci nie przerażała ich. A może wiedzieli, że tłumom chodziło głównie o ich konie i wozy naładowane różnym dobytkiem żołnierskim, i że po obrabowaniu ze wszystkiego, puszczą ich dalej w świat. Zresztą nie było nawet podstaw do egzekucji, bo poddali się bez jednego wystrzału, twierdząc zgodnie z prawdą, że posuwali się w kierunku granicy, pragnąc jaknajprędzej dostać się do swych rodzin w Polsce.

Zaczęły się pertraktacje z prowodyrami tłumy o zwolnienie żołnierzy. Tłumaczyliśmy, że są to spokojni ludzie, i że jeśli nawet kto zawinił, to raczej dowódca, który uciekł. Największą rolę w tych pertraktacjach odgrywał Muszkiet-Króli-

kowski, który miał wielką pewność siebie, wspaniałą postawę atlety, potężny głos i — co najważniejsza — doskonałą znajomość psychologii szarych mas rosyjskich.

Na szczęście dowódca tłumy — chłop ogromnego wzrostu, niezwykle krzykliwy i przejęty swą rolą — w gruncie rzeczy okazał się dobronurzym człowiekiem i uległ naszym argumentom, zgadzając się wypuścić wszystkich i pozwalając im udać się do Kamieńca. Naturalnie, konie i wozy pozostały w ręku zwycięzców, jako łup wojenny. Trudno — jak wojna to wojna! Opór natomiast stawiał jakiś żydek w skórzanej kurtce, pełniący przy tym chłopie-dowódcy funkcje ni to adjutanta ni to sekretarza. Chodziło nam o to, aby dowódca wystawił wszystkim zwolnionym żołnierzom papier, zabezpieczający ich przed dalszemi napaściami chłopów po drodze do Kamieńca. Widząc, że żydek ociąga się z pisaniem tych papierków, kilka razy dość ostro dojechałem mu. Wreszcie wszystko było załatwione. Uwolnionym żołnierzom radziliśmy jaknajprędzej dotrzeć do Kamieńca, gdzie II Brygada weźmie ich pod swoją opiekę.

Ruszyliśmy dalej w drogę. Zawdzięczając tej awanturze w Dunajowcach, która zajęła nam dobrych kilka godzin, dotarliśmy do Kamieńca dopiero pod wieczór. Zatrzymaliśmy się w lokalu dowództwa korpusu kaukaskiego. Naturalnie, rzadzili tu komisarze wybrani przez żołnierzy. Sytuacja jednak była o tyle pomyślna, że wśród komisarzy tego korpusu było wielu ormian i gruzinów, którzy odnosili się do Polaków z dużą życzliwością i sympatją. Jeśli II Brygada nie została od razu rozbrojona, to — jak się później dowiedziałem — wielką rolę odegrał fakt, że w Kamieńcu stał właśnie korpus kaukaski. Synowie Kaukazu życzliwie ustosunkowali się do garści zrewoltowanych żołnierzy polskich, lepiej aniżeli rosjanie rozumiejąc pobudki ich czynu.

W dowództwie korpusu przyjął nas jeden z komisarzy —

gruzin a może ormianin z pochodzenia. Z pierwszych słów rozmowy przekonałem się, że mam przed sobą szczerego przyjaciela Polski. Z wielką sympatją mówił mi o II Brygadzie, komunikując, że zostały tam wysłane polowe kuchnie z potrzebną żywnością.

W Kamieńcu musieliśmy zmienić nasze wspaniałe auto na lekką „sanitarkę“, bo do wsi, w której zakwaterowała się II Brygada, trzeba było jechać kilka kilometrów polnemi drogami poprzez jary i wzgórza.

W jakiejś restauracji połknęliśmy szybko obiad i ruszyliśmy dalej — już w trójkę, gdyż komisarz, który jechał z nami z Płoskirowa został w Kamieńcu. Po pewnym czasie wjechaliśmy w opłotki zabudowań, wśród których znajdowała się kwatera brygadjera Hallera.

Był już wieczór. Legjoniści - żołnierze kręcili się po wsi. Nic w ich zachowaniu nie wskazywało na to, że są zbuntowanym wojskiem, które po spaleniu za sobą wszystkich mostów, stało przed tajemniczem, groźnem jutrem. Wśród żołnierzy panował przedziwny w tej sytuacji pogodny nastrój zwykłego postoju wojska na nowem miejscu. Jakiś żołnierz gonił wesoło drugiego. Inny ciągnął wiadro ze studni. Inny znowu czyścił przy studni swą menażkę. Raz poraz, sunąc autem długą ulicą wsi, napotykaliliśmy charakterystyczne grupy — żołnierza opartego o płot i szepczącego coś wiejskiej dziewczusze.

Widać było, że ta wesola gromada żołnierska, troskę myślenia o dalszym swym losie pozostawia dowódcom, — sama zachowując się tak, jak zachowywała się przez lata wojny w każdej nowej wsi, do której zawlókł ją zmienny los wojny.

Istotnie, tak rewolucyjne i zbuntowane wojsko musi niepokoić i dziwić bolszewików! — myślałem, z radosnym uśmiechem dumy obserwując zachowanie się kochanych legu-
nów.

Nareszcie dotarliśmy do kwatery brygadiera Hallera. W wielkiej izbie wiejskiej, zawieszanej obrazami świętych, znajdowali się brygadjer Haller, pułkownik Zajac, major Gniady, major T. Malinowski, oraz jeszcze jeden wojskowy z formacji polskich w Rosji i towarzyszący mu cywilny jego — który przybyli jako delegaci z Kamieńca i właśnie w tym momencie żegnali się z brygadjerem Hallerem.

Zdziwienie brygadjera Hallera, gdy ujrzał mnie przed sobą, było wielkie. Znał mnie bowiem nieco z Warszawy, gdzie spotykaliśmy się kilkakrotnie na różnych zebraniach i przyjęciach. Głośnie było pozatem aresztowanie Wincentego Rzymowskiego i moje, oraz zesłanie nas obu do obozu jeńców w Niemczech — zaraz po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie — za zbyt wyraźną obronę idei Legjonów na łamach tygodnika „Widnokrąg“.

Byłem tedy gościem, najmniej oczekiwanym w tej zapadłej wsi podolskiej.

W kilku słowach wytłumaczyłem, w jaki sposób się tu znalazłem.

Niech mi wybaczy generał Haller, jeśli się mylę, ale miałem wrażenie, że w głębi duszy był trochę zaskoczony wieścią, że jestem pierwszą jaskółką P. O. W., że decyzję wysłania tu swych emisariuszy Rydz-Śmigły powziął jeszcze w styczniu, i że przejście moje przez front rosyjsko-austriacki nastąpiło o jeden dzień wcześniej od przejścia II Brygady. Małe i śmieszne wydają się dziś ówczesne rywalizacje między I a II Brygadą. Ale wtedy doznałem uczucia pewnej satysfakcji, że tym pierwszym, który podjął się roli politycznego przewodnika na terenie ogarniętym pożarem rewolucji, był piłsudczyk, ideowy żołnierz I Brygady, delegat P. O. W., przybyły tu z rozkazu Rydza - Śmigłego.

Tak czy inaczej, lecz fakt, iż w zapadłej wsi zrewoltowanej Ukrainy delegat obozu Komendanta Piłsudskiego spotkał się z brygadjerem Hallerem, świadczył dobitnie, że wreszcie znaleźliśmy się wszyscy na jednej wspólnej drodze. Otwarcie to powiedziałem brygadjerowi Hallerowi, stwierdzając jednocześnie, że II Brygada czynem swym przekreśliła wszelkie między nami różnice, i że wobec tego zgłaszam nie tylko w swoim imieniu, lecz i w imieniu tych wszystkich, którzy tu przybędą, jak również i wszystkich uznających autorytet Komendanta Polaków na terytorjum Rosji, gotowość do jaknajbardziej szczerzej i lojalnej współpracy. Pozatem, jako delegat Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S., w imieniu wszystkich organizacji P. P. S. na terenie Rosji przyrzekłem pomoc celem urobienia odpowiedniej opinii w społeczeństwie rosyjskiem. Osobiście zaś podejmowałem się wystąpić wobec władz sowieckich, jako rzecznik polityczny interesów i potrzeb II Brygady. Jeśli brygadjer Haller na to się zgadza, to proszę o poinformowanie mnie o dalszych zamiarach II Brygady.

Niestety, wywnioskowałem z nastroju obecnych oficerów, że jasnego programu dalszego działania nie było. Dawalo się wyczuć wielkie przygnębienie. Najwięcej pogody i spokoju miał sam bodaj brygadjer Haller. Przygnębienie spowodowane było zapewne w dużym stopniu zawodem, jakiego doznała II Brygada wobec armji polskiej w Rosji. Już z pierwszego zetknięcia się z oddziałami polskimi w Kamieńcu II Brygada miała możność przekonania się, że wszystkie pogłoski o potężnej armji polskiej w Rosji były fantazją. Jedynie I korpus generała Dowbór-Muśnickiego reprezentował pewną siłę, ale był oddalony o setki kilometrów, na Ukrainie zaś żadnego wojska polskiego de facto nie było.

Brygadjer Haller przychylnie ustosunkował się do mej

propozycji pośredniczenia wobec władz sowieckich. Ostatecznie stanęło na tem, że przydzielili on do mnie jednego ze swych wyższych oficerów, który razem ze mną pojedzie do Kijowa, aby omówić z centralnymi władzami sowieckimi dalsze możliwości egzystencji II Brygady i utworzenia z niej kadrów rewolucyjnej armji polskiej, na którą rząd sowiecki mógłby liczyć w razie walki z Niemcami i Austrią.

Co się tyczy samej II Brygady, to brygadjer Haller postanowił posuwać się powoli w głąb kraju w kierunku Baru, gdzie okoliczna ludność wiejska jest przeważnie polska, aby tam zreorganizować się i połączyć z rozrzuconemi po Podolu oddziałami polskimi. Pozatem brygadjer Haller postanowił wysłać kurjera do I Korpusu w Bobrujsku i do II Korpusu w Sorokach, celem nawiązania z nimi łączności i ustalenia dalszej wspólnej akcji. Z propozycji Rewkomu płoskirowskiego załadowania się do pociągów, brygadjer Haller nie chciał skorzystać, tłumacząc się obawą, że w pociągu łatwo byłoby bolszewikom, gdyby chcieli, rozbroić Brygadę.

Po skromnej kolacji, na którą i nas zaproszono, brygadjer Haller i oficerowie pożegnali nas.

Muszkiet-Królikowski ułożył się na stole, ja na ławce pod ścianą.

Przenikliwie, jak gdyby nasycony westchnieniami modłów ludzkich, migoce bladym, urywanym światłem płomyk lampki olejnej przed świętymi obrazami w rogu izby. Cisza głęboka. Patrzą na mnie poważnie zamyślane, wielkie oczy świętego. Czyta w mej duszy, słyszy myśli moje. ...Boże mój! Cóż poczną ci szaleńcy w imię honoru? Dadzą nowe zastępy tułaczy polskich, co od wieku po świecie całym odbywają pielgrzymkę pokuty za grzechy swych przodków, gnani tęsknotą nieustanną, szukając utracony, bezcenny skarb wolności.

Cicho. Jak cicho wokoło! Jakże męczy ta cisza, pełna upiornych myśli tylu ludzi, których sen nie może zmorzyć.

Słysząc, zdaje się, pytania bez słów tylu, tylu ludzi, patrzących szeroko otwartymi oczyma w ciemność nocy. O nocy, cicha milcząca nocy! Powiedz, powiedz, co jutro nieznane i tajemnicze nam tułaczom niesie?... Słucha cicha, smutna noc tych pytań, skarg i tęsknot serc ludzkich.

Słucha, jak w bezsennej męce korzy się w modlitwie i raz jeszcze rachunek sumienia czyni ten, na czyje barki młode serca żołnierskie z ufnością złożyły troskę o dzień jutrzejszy ich życia.

Słucha noc szeptu miłosnego tęsknoty za utraconą pieśszczętą ukochanej kobiety, niesie w ciemną, daleką przestrzeń smutny uśmiech ojcowskiego pozdrowienia śpiącej snem pogodnym dziecinie. Płoszy sen z oczu młodemu chłopcu-żołnierzowi dźwięczący w nocnej ciszy daleki szloch matki, oplakującej swego syna, którego pochłonęła groźna otchłań strasznej rewolucji.

Cicho... Boże! Jak cicho! Kto wie, czy ta otchłań obcej nam rewolucji nie pochłonie i nas, garstkę szaleńców i czy nie odplaci żołnierzom za ufność taką samą zdradą, jak już odplacili wczorajsi „sprzymierzeńcy“?

Och nie... Okopimy się, odgradzimy od tego żywiołu wałem naszej wiary i umiłowania Sprawy. W ogniu pożogi rewolucyjnej zahartujemy nasz miecz rycerski. Wrócimy do kraju stokrotnie liczniejsi, wrócimy niosąc wyzwolenie narodowi, zemstę i zagładę ciemnościom.

Jakże wyraźnie słysząc w ciszy nocnej łomot miarowych kroków, idących ulicami Warszawy pułków naszych, — jaki okrzyk radości i uniesienia tłumów nieprzebranych bije w niebo...

Migoce płomyk. Patrzą wciąż na mnie wielkie, smutne oczy świętego. Boże! — daj pokój i wiarę sercom naszym! Nocy — cicha, dobra piastunko, daj tym chłopakom kocha-

nym sny spokojne i pogodne! Nocy — subtelna, niezawodna powiernico myśli, marzeń i tęsknot tych wszystkich, których sen omija, daj naszym duszom ukojenie.

O nocy! płaszczem swym przykryj nas biednych tułaczy, zagubionych w tej obcej dalekiej wsi i szeptaj duszom naszym słowa otuchy i wiary, abyśmy poszli na spotkanie Jutra z dumnie podniesionem czołem żołnierzy Wolności.

IX

Wczesnym rankiem przyszedł do naszej izby brygadjer Haller w towarzystwie kapitana Jakubowskiego, komunikując, że ten — jako znający bardzo dobrze język rosyjski, przytem dawny pepesowiec — pojedzie ze mną do Kijowa. Kapitan Jakubowski był już gotów do drogi, pożegnałem się zatem z brygadjerem Hallerem i oficerami jego sztabu.

Wracaliśmy w tem samem towarzystwie, t. j. Muszkiet-Królikowski, porucznik Roganowicz, ja, oraz kapitan Jakubowski. W nocy spadł mały śnieg, poranek jednak był ciepły i słoneczny, więc śnieg szybko stopniał i droga idąca poprzez głębokie jary stała się błotnista i śliska. Nawet nasza lekka „sanitarka“ nie mogła uporać się ze stromemi wjazdami na stoki jarów i często zsuwała się w dół. Niestety, nie mieliśmy potrzebnych łańcuchów, przeto raz po raz musieliśmy wyścielać drogę kocami i całą siłą naszych ramion wypychać auto na wzgórze. Spoceni, zabłoceni po uszy, klęliśmy na czem świat stoi — zwłaszcza najdalej wiatr polny niósł wściekle, basowe porykiwania i przekleństwa Muszkiet-Królikowskiego.

Jadąc z takimi przeszkodami straciliśmy kilka godzin i przyjechaliśmy do Kamieńca dopiero około południa. Kapitan Jakubowski i Muszkiet-Królikowski udali się do koszar polskiego oddziału, my zaś z Roganowiczem poszliśmy do

gmachu dawnego Sztabu Korpusu Armji, aby z komisarzem który jeździł z Roganowiczem, omówić sprawę otrzymania auta na powrót do Płoskirowa. Dość długo trwały nasze poszukiwania, nim wreszcie go odszukaliśmy.

— Ach jak to dobrze, że już wróciliście poruczniku — zawołał Komisarz widząc Roganowicza — ja tu z Waszemi legionistami rady dać sobie nie mogę.

— O co chodzi? — pyta zdziwiony i nieco zaniepokojony porucznik.

— Wciąż domagają się swoich manlicherów! — A skąd ja mogę wiedzieć, gdzie się one zapodziały? Daję im rosyjskie karabiny — nie chcą brać.

— Nic nie rozumiem! — mówi Roganowicz. Gdzie są ci legjoniści?

— Zaraz Wam ich pokażę.

Mówiąc to, Komisarz poprowadził nas długim korytarem do jednego z pokoi, gdzie siedziało z ponuremi minami dwu legjonistów, którzy na widok legjonowego porucznika zerwali się natychmiast i stanęli na baczność.

— Co tu robicie? — pyta Roganowicz.

Z odpowiedzi ich wyjaśniło się, że byli to żołnierze jednego z pułków II Brygady, którzy podczas nocnej bitwy przy przejściu przez front zgubili swoją kompanję i przedzierali się następnie na własną rękę. Bolszewicy zaaresztowali ich, odebrali broń i zaprowadzili do Kamieńca. Tu, wobec wyjaśnionego już ustosunkowania się bolszewików do II Brygady, zostali nietylko zwolnieni, lecz potraktowani po koleżeńsku, otrzymując jednocześnie pozwolenie udania się do Brygady. Legjoniści jednak nie chcieli tam iść, aż otrzymają zpowrotem swoje karabiny, które naturalnie w ogólnym rozgardjaszu gdzieś się zawieruszyły. Tłumaczyli, że wstyd im pokazać się w pułku bez swej broni, — i z coraz większą pewnością siebie, zauważywszy brak tu istotnej władzy, robili

awanturę o zwrot karabinów. Komisarz widząc ich upór, proponował im wziąć karabiny rosyjskie. Nie chcieli o tem słyszeć i coraz natarczywiej domagali się zwrotu swoich. Właśnie przybyliśmy na moment tej kłótni.

— Ja im po ludzku, panie poruczniku, objaśniłem, że nie nam po rosyjskim karabinie: jeśli juchy przekłete zabrały nam nasze manlichery, to powinni odnaleźć i oddać nam, bo bez broni do pulku nie wrócimy — tłumaczył zirytowany legun.

Porucznik Roganowicz uspokoił go, że nikt w pulku za złe im nie weźmie, jeśli przyjdą z rosyjskimi karabinami, bo i tak cała Brygada będzie musiała zmienić austriacką broń na rosyjską.

Z zaciekawieniem obserwowałem tę scenę. Dwu legunów na własną rękę przedostaje się przez front, aby dzielić los swych kolegów, a więc bezwątpienia są to ludzie świadomie zdobywający się na czyn rewolucyjny. Pomimo to jednak, w swym odruchu rewolucyjnym pozostają prawdziwymi, karnymi żołnierzami, którzy mają siłę i odwagę tę swoją karność demonstrować tutaj, wśród tłumu wczorajszych żołnierzy, dla których rzucenie w kąć swych karabinów, wyzbycie się wszelkiej dyscypliny, wymordowanie oficerów, było wyrazem ich buntu rewolucyjnego i stanowiło cały urok rządów rad żołnierskich. Nic też dziwnego, że Komisarz bolszewicki zdumionem okiem spoglądał na tych żołnierzy-rewolucjonistów, którym w Austrii groziła kulka za bunt i dezercję w czasie wojny. I oto ci buntownicy i rewolucjoniści stali tu — w Sztapie Rewkomu — na baczność przed młodziutkim porucznikiem, zaś klócili się z Komisarzem Rewolucji o dwa marne austriackie karabiny, wówczas, gdy ten mógłby im dać dziesiątki rosyjskich, porzuconych niemal na ulicy przez zrewoltowanych żołnierzy.

Po załatwieniu sprawy z legionistami, Komisarz zabrał

mnie i Roganowicza do swego gabinetu, by omówić sprawę auta dla nas. Ale tam, gdzie pokaże się na horyzoncie legun — tam niema już spokoju. W gabinecie zastaliśmy Komisarza-gruzina, o którym już wspomniałem.

— Ach jak to dobrze, że już jesteście towarzysze! — zawołał gruzin. Siedzi u mnie jeden legjonista, z którym nie mogę się porozumieć, gdyż nie mówi po rosyjsku. O ile go dobrze zrozumiałem, to żąda przepustki do Kijowa. Dziwi mnie tylko, po co on chce tam jechać, więc nie wiem czy dać mu przepustkę.

— Do Kijowa? — zapytaliśmy zdziwieni. — A gdzież ten legjonista?

— U mnie w kancelarji. Może przejdziecie tam i sami zapytacie, o co mu chodzi.

Za chwilę ujrzelśmy typowego leguna-dłubinoska. Mały, niepokaźny — zerwał się na widok Roganowicza i stanął na baczność. Miał jednak minę niewyraźną. Okazało się, że to jakiś taboryta, który po zagarnięciu taborów przez austriaków, uciekł i przedostał się sam przez front. Kilka dni błądził zanim dotarł do Kamieńca. Tu zaś odstawiono go do Rewkomu.

— Dobrze — zauważył Roganowicz po wysłuchaniu relacji, — ale po co chcecie jechać do Kijowa?

Zakłopotanie żołnierza wyraźnie potęgowało się. Wiadział, że bolszewik wsypał go.

— To.. ja tak sobie — belkotał zmieszany. — Dowiedziałem się, że pułk odpoczywa, więc chciałem skoczyć na kilka dni do Kijowa, odwiedzić krewnych.

— Krewnych? — pyta podejrzliwie Roganowicz. A z jakich stron pochodzicie?

— Z pod Tarnowa.

— Więc czego blagujecie? Żadnych krewnych nie macie, poprostu połazikować chcecie!

— To ja tak tylko żartem, na wszelki wypadek. Kijów, mówią, ładne miasto, nigdy tam jeszcze nie byłem.

— No to będziecie mieli czas później je zobaczyć. A teraz wracajcie jaknajprędzej do pułku. Nie róbcie wstydu Brygadzie. Co powiedzą oni — mówił Roganowicz, wskazując oczami Komisarza. Tu nie Austrija i na łażikowanie niema czasu. Natychmiast udajcie się do pułku!

— Rozkaz Panie Poruczniku! — zawołał żołnierz, przęzając się.

Na twarzy malował się wstyd, zakłopotanie i radość, że nieoczekiwane zjawienie się porucznika nie pociągnęło poważniejszych skutków.

— Ten żołnierz istotnie ma krewnych w Kijowie, ale powiedziałem mu, że teraz nie czas na ich odwiedzanie. Poleciłem mu, aby udał się natychmiast do pułku, więc przepustka narazie nie będzie mu potrzebna — zwrócił się Roganowicz do Komisarza-gruzina, starając się ukryć swe zażenowanie.

Gruzin lekko uśmiechnął się. Widocznie, pomimo nieznamomości języka polskiego, zrozumiał istotny przebieg rozmowy. I w jego oczach czytałem zdziwienie, połączone z pewnym szacunkiem i zazdrością. Widział, że tego żołnierza, który na własną rękę szuka swego zrewoltowanego pułku, a który po przekonaniu się, że jest bezpieczny i odpoczywa, myśli o „skoczeniu“ do Kijowa, łączy z oficerem coś silniejszego, niż wojskowa dyscyplina. Zapewne porównywał go ze swymi żołnierzami, których o każde głupstwo trzeba było prosić i przekonywać, i którzy już zaczęli nienawidzić komisarzy wybranych przez nich samych, jedynie tylko dlatego, że ci wymagali od nich chociażby trochę posłuchu i ładu.

Załatwienie naszej sprawy nie zabrało nam wiele czasu, gdyż zgodę na udzielenie nam auta na powrót do Płoskirowa

otrzymaliśmy niezwłocznie. Wogóle wyczulem wśród członków Rewkomu nastrój bardzo przychylny dla II Brygady. Składało się na to kilka przyczyn. Sam fakt przejścia II Brygady przez front po stoczeniu walki, zaimponował kierowniczym kołom sowieckim, lechząc ich ambicję, że Legjony szukały w rewolucyjnej Rosji schronienia i gościnności. Jednocześnie wzbudzała w nich bezwiednie szacunek karność tego zrewoltowanego wojska, gdzie posłuch żołnierzy dla oficerów był oparty na wzajemnem zaufaniu i solidarności. Widzieli, że była to jedna wielka rodzina, gdzie oficerowie są tylko starszymi braćmi, z całego serca opiekującymi się swymi żołnierzami. Wreszcie był to moment, gdy Niemcy po skończeniu rozejmu, którego termin upłynął 18 lutego, rozpoczęły marsz wgląd Rosji. W Moskwie ważyły się dalsze losy wojny. Większość członków Rady Komisarzy Ludowych, jak to dziś wiemy, była za dalszem prowadzeniem wojny. Ten sam nastrój panował w kierowniczych kołach bolszewickich na prowincji. W tym warunkach II Brygada stawiała się cennym sojusznikiem na wypadek dalszej wojny z Niemcami.

Właśnie tego samego dnia w Kamieńcu miał odbyć się wielki wiec na rzecz dalszej wojny. Członkowie Rewkomu zwrócili się do mnie z prośbą, abym ja i który z oficerów legjonowych przemawiali na tym wiecu. Chętnie zgodziłem się na to. Gdy zaś spotkaliśmy się w umówionej restauracji na obiedzie z Muszkietem-Królikowskim i Jakubowskim, przekonałem tego ostatniego, aby i on wystąpił na wiecu, tłumacząc, że w ten sposób usuniemy resztki nieufności do Brygady, zarówno ze strony dygnitarzy jak i żołnierzy bolszewickich.

Po obiedzie udaliśmy się na wiec, który odbywał się na jednym z placów miasta. Dotarliśmy do trybuny w chwili, gdy przemawiał jakiś żołnierz. Mówił, że Niemcy imperjali-

styczne pragną zgnieść rewolucję rosyjską, ale naród rosyjski nie dopuści do tego i z orężem w ręku odeprze te zakusy.

Obserwowałem tłum, który składał się wyłącznie z żołnierzy. Dziwny był to tłum. Większość żołnierzy miała płaszcze niedbale zarzucone na ramiona, lub rozpięte. Wyraz ich twarzy był obojętny, apatyczny, lub wręcz ponury. Przemówienie towarzysza nie wywołało prawie żadnego zainteresowania

Tłum sprawiał wrażenie nie żołnierzy, których nawoływano do walki, lecz zbiegowiska gapiów, którzy nie mając nic lepszego do roboty, przyszli się nieco rozerwać. Jak przystało na widowisko ludowe, większość żołnierzy z niezwykłym zapalem łuskała „siemieczki“, t. j. ziarnka słonecznikowe, wypływając łupiny przed siebie.

Udzielono mi głosu. Wszedłem na stół, spełniający rolę trybuny i zacząłem przemawiać. Nawet mój strój cywilny, jedyny wśród tych kilku tysięcy żołnierzy, nie wywarł żadnego wrażenia. Ciskałem gromy pod adresem Niemiec, nie żałując ani określeń, ani czarnych kolorów przy opisywaniu zachowywania się ich w Polsce.

Miałem już wówczas doświadczenie wiecowego mówcy. Każdy zaś mówca wiecowy odrazu wyczuwa nastrój audytorjum. Jeśli mowa jego trafia do przekonania słuchaczom, powstaje wtedy podświadoma łączność między mówcą a tłumem, który staje się zbiorowem jednolitem ciałem. W danym jednak wypadku wyczuwałem, że kontaktu nawiązać nie mogę, że tłum pozostaje obojętny, i że ta obojętność płynie z powziętej w głębi duszy decyzji, którą jest stanowcza i nieodwołalna niechęć do dalszej walki.

Początkowo mówiłem z wielkim zapalem, widząc jednak wciąż obojętne i ponure twarze, zacząłem coraz bardziej się zniechęcać. Nie mogłem przemawiać wobec słuchaczy, którzy

z denerwującą powagą i z mechaniczną zręcznością łuskali ziarnka, błyskawicznie wrzucając je do ust, z których jednocześnie — niby z otworu maszyny — długą wstęgą wychodziły zwilżone i zlepione śliną lupiny.

Na moje bowiem wezwanie „precz z Niemcami!“ „niech żyje wojna!“ i t. d. — tłum odpowiedział potakująco, ale w okrzykach tłumu nie wyczuwało się żadnego zapалу ani przekonania. Im dłużej mówiłem, tem większa niechęć rosła we mnie do tych tępych i ponurych twarzy. Szybko skończyłem, tembardziej, że krzycząc głośno na powietrzu zerwałem głos.

Po mnie przemawiał Jakubowski. Widać było, że na tłum ten, który od roku nic innego nie robił, jak tylko wiecował i słuchał różnych mówców, spokojnie konsumując siewieczki, ukazanie się na trybunie mówcy w mundurze oficera legjonowego, wysławiającego się po rosyjsku źle i z wybitnie cudzoziemskim akcentem, zrobiło dość duże wrażenie. Takie same mniej więcej, jakie wywiera na stałych bywalców cyrku podczas walk atletów, ukazanie się tajemniczego zapaśnika w masce. Słuchano go z większem zainteresowaniem, aniżeli mnie i mego poprzednika. Żywiej reagowano na mowę oficera obcego oddziału, który nie tyle ich nawoływał do walki, ile zapewniał, że legjoniści po to przeszli przez front, aby walczyć do upadłego z niemcami i austriakami. Ta gotowość i zapal „legjoniera“ do wojny bardzo podobała się zebranemu tłumowi. Nie mieli oni zasadniczo nic przeciwko wojnie z Niemcami, tylko żaden z nich osobiście nie palił się do niej, mając dość już życia w okopach.

Po Jakubowskim mówił znowu jakiś dygnitarz sowiecki. Mówił bardzo buńczucznie i wyzywająco. Zapewniał, że armja rosyjska pałała pragnieniem walki w obronie zdobyczy rewolucji, zwycięstwo zaś jej było więcej aniżeli pewne.

Obserwowałem zarówno mówcę jak i tłum. Miałem wrażenie, że mówca pragnął tej walki, ale nie bardzo wierzył w jej możliwość, tłum zaś ani pragnął, ani rozumiał jej potrzeby.

— Tak mści się na was, braciszku, wasza propaganda za natychmiastowym pokojem — myślałem, słuchając rozpaczliwych nawoływań agitatora. — Wojsko stanęło po waszej stronie, bo obiecywaliście mu koniec walki. Teraz zaczynacie nawoływać do wojny, to znaczy robicie to samo, co Kiereński.

Tłum żołnierzy słuchał obojętnie tych wojennych nawoływań; wiedział doskonale, że niema takiej siły, która mogłaby zmusić go znowu do walki, zaś wszelkie nawoływania i prośby przyjmował apatycznie, gdyż każdy miał niezbitą pewność, że on właśnie nie pójdzie wojować. Co zaś myślą i zamierzają zrobić inni — wcale go to nie interesowało.

Ten tylko, kto — jak ja — widział w tym okresie tłum żołnierzy rosyjskich, może należycie zrozumieć, jak dalece miał rację Lenin, forsując swą decyzję o zawarciu upokarzającego pokoju i uzyskanie w ten sposób słynnej „pieredyszki“, która istotnie uratowała bolszewizm w Rosji.

Wielki znawca duszy ludu rosyjskiego wiedział Lenin dobrze, że lud ten jest śmiertelnie znużony wojną i tak upojony swobodą, — iż nie zdobędzie się na żaden odruch obrony, i że miecz niemiecki może bezkarnie wejść w ziemię rosyjską tak głęboko, jakgdyby była ona tylko nieskończenie wielką bryłą masła.

Syci naszych oratorskich popisów, udaliśmy się do koszar, gdzie znajdowały się polskie oddziały pułkownika Antoniewicza.

Jakże smutne wrażenie wywarły na mnie te oddziały. Ogromne, ponure koszary. Brud, nieład straszliwy. W wielkim budynku pęta się kilkuset żołnierzy-polaków, ni-

czem nie różniących się od „towarzyszy“ rosyjskich. Tak samo rozchlastani, rozczochrani, rozwaleni na pryczach i ławkach. Przy każdym niemal stole grają w karty. Nikt nas nie spytał, co tu robimy, kim jesteśmy, po co przyszliśmy; nikt nie zwrócił na nas żadnej uwagi.

Po odnalezieniu oficerów dowiedzieliśmy się z rozmowy z nimi, że wśród oddziałów polskich zebranych w Kamieńcu znajduje się również i oddział lotniczy, złożony z kilku aeroplanów. Oficerowie zrobili na mnie niemiłe wrażenie. Znaleźli się tu tylko po to, aby przetrwać zawieruchę — i jak tylko się uda — wyfrunąć na aeroplanach tam, gdzie będzie lepiej. Namawiamy ich, aby przyłączyli się do II Brygady. Nie zdradzają wielkiego zapалу, zasłaniając się niewiarą żołnierzy swego oddziału, którzy pomimo, iż są polakami, rzekomo są bardzo zbolszewizowani. Podejmujemy się wpłynąć na nich.

Za chwilę w jednej z sal zwołujemy wiec. Z zachowania się audytorjum widać, że wieców tych odbyło się tu bardzo dużo, więc nie wzbudzają nic prócz nudy. Stałem na ławce i począłem przemawiać.

Do dziś stoi mi przed oczyma ta chwila. Kilkuset żołnierzy znudzonych i apatycznych w brudnej, ciemnej sali. W kącie stoi kilku oficerów: z wyrazu ich twarzy widzę, że mówię rzeczy dla nich dziwne i niezrozumiałe, które przyjmują z nieufnością. W końcu sali, przy stole, w koszulach lub w rozpiętych mundurach siedzi kilku żołnierzy z awjacji, którzy demonstracyjnie grają w arcaby i popijają herbatę. Z całego ich zachowania się widać, że są to prowodyrzy bolszewickich nastrojów, na które uskarżali się oficerowie. Tymczasem mówię zebranym wciąż te same rzeczy — o ucisku Niemców, o konieczności walki zbrojnej z nimi, o wielkich możliwościach stworzenia w Rosji silnej armji polskiej. Szeroko opowiadam o Legjonach Piłsudskiego, tłumaczę dlaczego Komen-

dant jest w Magdeburgu, a Jego żołnierze w Szczypiornie, Benjaminowie lub na froncie włoskim. Opowiadam o nastrojach antyniemieckich i antyaustjackich w kraju, czego dowodem przejście przez front II Brygady. Wreszcie gorąco nawołuję polskie oddziały, beczynnie siedzące w Kamieńcu, do przyłączenia się do II Brygady, której brakuje artylerji i taborów. Mówię, lecz czuję jednocześnie, że moje słowa padają w próżnię, że ci, do kogo się zwracam, w istocie rzeczy myślą tylko o tem, aby jaknajprędzej wrócić do kraju.

Gdy skończyłem mówić, zbliżył się do mnie oficer, którego przedtem nie poznałem.

— Pozwoli Pan, że się przedstawię — odezwał się. Jestem doktorem Girdwoynem — dowódcą kolumny sanitarnej.

Sprawał mile i sympatyczne wrażenie. Wywiązała się między nami rozmowa.

— Co do innych rodzajów broni, a zwłaszcza oddziału lotniczego, najbardziej zbolszewizowanego wśród naszych żołnierzy, to mam wątpliwości, czy się połączą z II Brygadą, lecz ręczę Panu — mówił miły lekarz — za siebie i za swój oddział sanitarny, że dołączymy się do II Brygady w ciągu kilku najbliższych dni. Przysięgam Panu tak śmiało dlatego, że jestem pewny swych żołnierzy, którzy mi ufają.

Wierzyłem mu, gdyż odrazu wyczułem w nim ideowego człowieka i szczerego polaka, obcego psychologii rosyjskich oficerów. Miał w sobie tę prawość, która odrazu pociąga ludzi i wzbudza zaufanie. Mógł więc również pozyskać zaufanie swych żołnierzy i tak ich wychować politycznie, że nie bał się w ich imieniu składać przyrzeczeń. Serdecznie i szczerze dziękowałem lekarzowi, nie wątpiąc, że dotrzyma swego przyrzeczenia. W kilka dni później przekonałem się, że nie zawiodłem się na nim.

Nie miałem jednak, niestety czasu na dalszą z nim rozmowę, bo auto już czekało na nas i trzeba było śpieszyć z odjazdem.

Szybko mknęło auto po falistej szosie. Tyle nowych wrażeń zabierałem ze sobą z Kamieńca. Wracalem i nadal pełen troski o los tych bohaterskich tulaczy i szaleńców, świadom, że muszę wszystko uczynić, by utrwalić ich sytuację i nie pozwolić, aby na marne poszedł wspianiały ich poryw.

Zanim zdążyliśmy odjechać kilka kilometrów od Kamieńca napotkaliśmy wóz chłopski, na którym obok woźnicy jechał żołnierz legjonowy. Zatrzymaliśmy auto i kapitan Jakubowski zawołał legjonistę. Ten, wygodnie rozwalony na wozie, nie zwrócił początkowo na nasze auto żadnej uwagi; dopiero słysząc polską mowę i widząc czapki legjonowe Jakubowskiego i Roganowicza, zerwał się z wozu i szybko się zbliżył do auta. Okazało się, że on również w czasie nocnej walki zgubił swoją kompanję i sam przedostał się przez front, zaś obecnie zdąża do Kamieńca, gdzie — jak mu mówiono — znajduje się Brygada.

— No, a skąd ten wóz? — zapytał Jakubowski.

— A to, melduję posłusznie, panie kapitanie — zafasowałem po drodze, bo Brygada została bez taborów, więc się przyda.

— Jak to zafasowaliście? a cóż na to ten chłop? — zdziwił się Jakubowski.

— On jest zadowolony, panie kapitanie, bo to taki bezdomny. Pulk jego zdemobilizował się i chłop nie wie co z sobą robić, bo jest uciekinierem z pod Niemców.

Spojrzałem na chłopca. Istotnie twarz jego wyrażała duże zadowolenie: widocznie to „zafasowanie“ całkowicie mu dogadzało.

Tymczasem kapitan Jakubowski dawał żołnierzowi informacje o miejscu postoju jego pułku.

Ruszyliśmy dalej. Po jakimś czasie znowu spotykamy wóz, na którym siedzi kilku chłopów i trzech legunów. Za tym zaś wozem wlokły się jeszcze dwa puste. Ponownie zatrzymujemy się. I tu ta sama historia. Z tą tylko różnicą, że byli to taborcy, którzy również przedostali się przez front, lecz bez swych wozów i koni, wobec czego po drodze „zafasowali“ trzy wozy chłopskie, które prowadzili do Brygady. Oni również nie chcieli przyjść do Brygady bez swej broni.

Spojrzałem na chłopów — właścicieli wozów. Miało się wrażenie, że już od wielu lat byli pod komendą tych taborów, bowiem na twarzach ich malowała się dziwna rezygnacja połączona z zadowoleniem, że są znowu przy wojsku, że ktoś za nich decyduje i troszczy się o jadło dla nich i dla koni. Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę — szofer wytłumaczył nam, że istotnie przy froncie wskutek masowej demobilizacji blakają się setki furmanek z dawnych taborów pułkowych, których właściciele nie wiedzą, co zrobić ze sobą, gdyż większość z nich pochodzi z terenów zajętych przez Niemców. Nic też dziwnego, że radzi są, gdy ktoś ich potrzebuje i zaopiekuje się nimi.

— Jeśli tak — zawołałem, to nieza długo każdy żołnierz z Brygady będzie miał własny wóz.

— I własną armatę, zamiast karabinu, jeśli tylko zechce — dodał Muszkiet-Królikowski.

— Panowie nawet nie wyobrażają sobie, ile poniewiera się porzuconego na froncie sprzętu wojskowego wszelkiego rodzaju, poczynając od granatów ręcznych, a kończąc na tankach. Każdy może brać to, co chce i ile chce.

— Ale niestety, nikt nie chce tego brać, — zauważył melancholijnie kapitan Jakubowski.

— O, ci wezmą wszystko — pomyślałem z uśmiechem o Legionistach.

I znowu, nie wiedzieć poraz który, myśl moja pomknęła ku jarom naddniestrzańskim, gdzie ciche wsie ukraińskie, przygarnęły tych kochanych chłopaków. Myślałem o wesołej, zaradnej braci legjonowej z uczuciem dumy i podziwu dla tej pogody i werwy z jaką szli w nieznane Jutro.

Po przyjeździe do Płoskirowa kapitan Jakubowski zamieszkał u Muszkiet-Królikowskiego i niezwłocznie, za jego pośrednictwem, nawiązał pertraktacje z Rewkomem VII armji w sprawie należytego ustosunkowania się władz sowieckich do II Brygady, oraz zaopatrzenia jej zarówno w amunicję, jak i żywność.

Porucznik Roganowicz miał zostać stałym łącznikiem między II Brygadą a Rewkomem VII armji, my zaś z kapitanem Jakubowskim w kilka dni potem mieliśmy wyjechać do Kijowa.

Tymczasem wypadki potoczyły się zgoła inaczej. Drugiego dnia po naszym powrocie z Kamieńca, wpada do mnie z rana zaniepokojony Muszkiet-Królikowski oświadczając, że wśród bolszewików w Płoskirowie panuje wielkie wzburzenie, otrzymali bowiem wiadomość, że oddziały polskie, obozujące w Antoninach zajęły Starokonstantynów i maszerują na Płoskirów. Należy spodziewać się, że lada chwila na ich spotkanie wyruszą oddziały bolszewickie i rozpocznie się walka. Wzburzenie bolszewików jest tak wielkie, że należy się obawiać represyj w stosunku do licznie zebranych ziemian w Płoskirowie.

— Najgorsze jednak w tem wszystkim — oświadczył wzburzony Muszkiet-Królikowski — iż ten bezmyślny, za-

czepny krok oddziałów w Antoninach stwarza pozory, że idą one na spotkanie II Brygady, co powoduje u bolszewików zrozumiałą nieufność i w stosunku do niej.

Jasnym było, jakie niebezpieczeństwo grozi naszej akcji, jeśli dopuścimy do walki między oddziałami polskimi a bolszewickimi. Należało temu za wszelką cenę przeszkodzić. Zdecydowaliśmy z Muszkietem-Królikowskim, że najlepiej będzie jeśli z nim i kapitanem Jakubowskim pojedziemy natychmiast do Antonin, wytłumaczyć dowództwu polskich oddziałów, jakie konsekwencje wyniknąć mogą z tych zaczepiek. Sprawa była nagła, udał się przeto niezwłocznie Muszkiet-Królikowski na miasto, aby od władz sowieckich wystarać się o pozwolenie na wyjazd. Z misji tej wywiązał się jaknajlepiej, gdyż nie tylko uzyskał pozwolenie na wyjazd, ale spowodował, że razem z nami miał pojechać jeden z komisarzy sowieckich, któremu zarówno Muszkiet-Królikowski jak i Jakubowski zaręczyli słowem honoru, iż włos mu z głowy nie spadnie; w ten sposób komisarz będzie mógł przekonać się na miejscu, jak stoją sprawy i zawrzeć za naszym pośrednictwem odpowiedni układ z oddziałami polskimi w Starokonstantynowie. Ponadto Rewkom przyrzekł nie wszczynać żadnych kroków bojowych do chwili naszego powrotu

Zdecydowaliśmy wyruszyć tego samego dnia popołudniu.

Więści o zajęciu Starokonstantynowa przez oddziały polskie, jak również o wzburzeniu bolszewików i o ich groźbach represyj w stosunku do ziemiaństwa, szeroko rozniosły się po mieście, wywołując zrozumiałą niepokój wśród polskiej ludności. Wkrótce po wyjściu Królikowskiego przyszedł do mnie p. Wacław Skibiniewski, właściciel wielkiego majątku pod Płoskirowem i jeden z uznanych przywódców okolicznego ziemiaństwa, aby oświadczyć w imieniu ziemian, że całkowicie podzielają nasze stanowisko i są kategorycznie przeciwni ja-

kiejkolwiek walce z bolszewikami. Wobec powyższego gotów jest pojechać z nami, aby w imieniu ogółu ludności polskiej Płoskirowa prosić dowództwo oddziałów w Antoninach o zaniechanie zamierzonego marszu na Płoskirów. Naturalnie skwapliwie na propozycję tę przystaliśmy, rozumiejąc dobrze, że więcej tam będą liczyć się z nim, aniżeli z nami — rewolucjonistami i buntownikami. W kilka godzin później, około godziny drugiej popołudniu przyjechał po nas wspa-
niałem autem komisarz-prosty żołnierz, który okazał się miłym i sympatycznym człowiekiem. Odrazu przy pierwszych słowach powitania poczulśmy do siebie sympatię i zaufanie. Nie ukrywał przedemną swej tremy z powodu jazdy do obozu partyzantów Jaworskiego, którzy zarówno przez swoją odwagę, jak i okrucieństwa mieli ustaloną sławę i budzili respekt wśród chłopów i oddziałów bolszewickich. Zapewniłem go jednak, że nie stanie się mu nic złego, gdyż ręczymy za jego wolność i bezpieczeństwo słowem honoru, zwracając jednocześnie uwagę, że Jaworski i jego oddział to nie bandyci, ale żołnierze, którzy szanują prawa i przywileje każdego parlamentarjusza. Pan Skibiniewski również gorąco podtrzymywał mnie. Komisarz, widząc naszą lojalność w stosunku do niego, uspokoił się. Zresztą wiedział dobrze, czego nie omieszkiał dyskretnie napomknąć, że jeśli stanie mu się coś złego, to Rewkom płoskirowski posiada dość siły, aby go pomścić.

Ruszyliśmy w drogę. Wszyscy wygodnie rozlokowali się w ogromnem aucie, które szybko pędziło szosą starokonstantynowską.

Niepostrzeżenie minęły dwie czy trzy godziny jazdy i byliśmy już w Starokonstantynowie. Wskazano nam lokal, gdzie mieściło się dowództwo polskiego oddziału. Przed gmachem stała grupa polskich wojskowych. Wyskoczyliśmy z auta i p. Skibiniewski wyjaśnił cel naszej podróży. Najstarszym wśród

obecnych oficerów był generał Leśniewski. Przedstawiliśmy się mu z kapitanem Jakubowskim, ja zaś ponadto okazałem pełnomocnictwo wystawione przez Moraczewskiego i Rydza Śmigłego.

— Przyjazd Panów ma wielkie znaczenie — oświadczył generał Leśniewski, — wobec czego sądzę, że lepiej będzie, jeśli udamy się do Antonin do generała Michaelisa, dowódcy korpusu.

Zgodziliśmy się na jego propozycję, przedstawiając jednak na poczekaniu w kilku słowach sytuację, oraz oświadczając, że chodzi nam przede wszystkim, aby nie było marszu na Płoskirów. Generał Leśniewski kategorycznie zapewnił Komisarza, że o marszu na Płoskirów niema mowy, jak również stwierdził, że żadnych represyj w stosunku do bolszewików i ludności w Starokonstantynowie nie było i nie będzie. Poza-tem z wielką stanowczością zaprzeczył pogłoskom o aresztowaniu i rozstrzeliwaniu komisarzy. Był tylko jeden wypadek aresztowania, a raczej internowania komisarza, niejakiego Wołka. Można jednak z nim zobaczyć się i dowiedzieć się od niego szczegółowo o istotnym stanie rzeczy. Na zakończenie generał Leśniewski z kurtuazją prawego człowieka powiedział komisarzowi, że dobrze zrobił ufając nam, gdyż gwarantuje mu nie tylko bezpieczeństwo, lecz i swobodę poruszania się po mieście, jak również możliwość powrotu każdej chwili bez żadnych przeszkód do Płoskirowa.

W grupie oficerów polskich, z którymi zetknęliśmy się w Starokonstantynowie, znajdował się przedstawiciel Związku Wojskowych Polaków na Starokonstantynów. Związki Wojskowych Polaków powstały zaraz po rewolucji, jako organizacja, skupiająca w swych szeregach zarówno oficerów, jak żołnierzy polaków z armji rosyjskiej, demokratycznie usposobionych. Związki Wojskowych Polaków odnosiły się, zgodnie ze stanowiskiem demokratycznych polskich stron-

nietw w Rosji, niechętnie do idei tworzenia polskiej armji na emigracji. Przeciwdziałały się występowaniu polaków z oddziałów rosyjskich, dążyły zaś jedynie do skupienia ich w istniejących przy każdym pułku filjach Związku Wojskowych Polaków, który prowadził wśród swych członków akcję propagandową w duchu narodowym, mającą na celu przetrwanie do chwili możliwości zbiorowego powrotu do kraju. Uchylając się w ten sposób od uczestnictwa w tworzeniu polskich oddziałów, Związki Wojskowych Polaków siłą rzeczy przyczyniały się pośrednio do tego, że kierownictwo oddziałów tych znalazło się w ręku żywiołów reakcyjnych, wrogo usposobionych do rewolucji rosyjskiej.

Taka filja Związku Wojskowych Polaków istniała również w Starokonstantynowie, skupiając polaków z oddziałów armji rosyjskiej rozlokowanych w mieście. Związek Wojskowych Polaków w Starokonstantynowie był tolerowany przez władze bolszewickie, gdyż zgodnie ze swą linią wytyczną negatywnie zachowywał się w stosunku do oddziału Jaworskiego. Gdy Starokonstantynów został zdobyty przez oddziały generała Michaelisa, oddziały rosyjskie, rozlokowane w tem mieście uciekły, żołnierze polacy zaś, nie mając gdzie i po co uciekać, pozostali na miejscu. Prezes Związku Polaków Wojskowych w Starokonstantynowie, zachowując się neutralnie, siłą rzeczy jednak stał się pośrednikiem między oddziałami polskimi, a miejscową ludnością.

Słyszac, że jestem delegatem P. P. S. przedstawiciel Związku Wojskowych Polaków, z którym poznałem się poprzednio, zbliżył się do mnie, przedstawił się i wyjaśnił mi jaką reprezentuje organizację. Nie ukrywał swego oburzenia za zajęcie Starokonstantynowa i prowokowanie walk z bolszewikami. Jednocześnie jednak stwierdził, że żadnych represyj ze strony polskich oddziałów nie było i że komisarz

Wolk jest internowany tylko za to, że stał na czele oddziałów bolszewickich walczących z Jaworskim.

Widząc przychylny nastrój tego oficera dla mego stanowiska, prosiłem go, aby zaopiekował się naszym komisarzem i aby ułatwił mu rozmowę z Wolkiem, a następnie wyjazd do Płoskirowa. Uradziliśmy bowiem z komisarzem, że uda się tam na noc, aby poinformować Rewkom, że żadnych zamiarów i przygotowań do marszu na Płoskirów nie ma. Na drugi zaś dzień wróci tu, aby stwierdzić, że również i wojska bolszewickie na Starokonstantynów nie pójdą. W ten sposób chcieliśmy spowodować pogodzenie się Rewkomu płoskirowskiego z faktem zajęcia Starokonstantynowa przez oddziały polskie, które ze swej strony przyrzekły nie wtrącać się do życia wewnętrznego miejscowej ludności i swobodnie przepuszczać idące przez stację pociągi.

Umówiliśmy się z komisarzem, że koło południa następnego dnia wrócimy z Antonin do Starokonstantynowa i razem pojedziemy do Płoskirowa.

W międzyczasie, zanim załatwiłem tę sprawę, generał Leśniewski wyjechał do Antonin, zabierając ze sobą kapitana Jakubowskiego i p. Wacława Skibiniewskiego, ja zaś z Muszkietem-Królikowskim mieliśmy jechać z oficerami jego sztabu.

Auto przeznaczone dla nas miało jakiś defekt, którego reperacja opóźniła nasz wyjazd o dobre pół godziny. Gdy zajmowaliśmy miejsca w aucie, do jednego z oficerów zbliżył się jakiś jegomość i zaczął mu coś mówić po cichu.

— Dobrze! — odpowiedział oficer, — będziemy się mieć na baczności. Jazda! !

Auto ruszyło. Obok szofera siedział żołnierz uzbrojony w karabin, pozatem oprócz mnie i Królikowskiego jechało dwóch oficerów.

— Moi Panowie, — zwrócił się do nas oficer, który przed chwilą miał tajemniczą rozmowę, — otrzymałem od naszego

wywiadowcy wiadomość, że podobno na grobli koło młyna, który leży w połowie drogi i koło którego mamy przejeżdżać, okoliczni chłopi i czerwoni partyzanci przygotowali zasadzkę i mają nas obrzucić ręcznymi granatami. Musimy więc mieć się na baczności i trzymać broń w pogotowiu.

Dziwnie przykro i nieswojo mi się zrobiło. Nie po to opuszczałem Warszawę, aby stoczyć tu bitwę z chłopami ukraińskimi.

Odbywał się proces dziejowy likwidacji wielkiej własności ziemskiej na całym obszarze państwa rosyjskiego. Tylko w tym zakątku i w kilku innych dawny stan posiadania był sztucznie podtrzymywany przy pomocy garści żołnierzy polskich, którzy z bronią w ręku stali na straży majątków polskich magnatów na Rusi. Czułem żal i niesmak do tych żołnierzy, którzy z wielkiej idei armji polskiej, uczynili parodję, wskrzeszając smutne tradycje prywatnych wojsk „królewiat“ kresowych.

Z drugiej znowu strony sam zgłosiłem się do tych oficerów, którzy jako polaka przyjęli mnie z całym zaufaniem i uważali ze swego człowieka.

Cóż miałem tedy robić? Pozostać w razie napadu neutralnym? obojętnie przyglądać się ich bitwie z chłopami?

Na myśl o tem wszystko burzyło się we mnie. Takie zachowanie się byłoby moralnem tchórzostwem. Czułem, że zgodnie z moją naturą w potyczce tej, jeśli będzie miała miejsce, muszę wystąpić czynnie po stronie jednych lub drugich.

Krótką była walka sprzecznych uczuć, ale tem gwałtowniejsza, gdyż należało natychmiast zdobyć się na decyzję, bowiem auto szybko zbliżało się do miejsca ewentualnego starcia. Prymitywne uczucie koleżeństwa odegrało decydującą rolę w powziętej decyzji. Pomyślałem, że oficerowie z którymi jechałem, w razie napadu, broniąc siebie, przez zwykłą solidarność w stosunku do przygodnego towarzysza podróży bro-

nić będą również i mnie. Nie wiedzą nawet czy mam broń, lecz jeśli potem dowiedzą się, że miałem, a mimo to nie bronilem się, potraktują mnie jako zwykłego tchórza. I na pewno nie będą nawet się zbyt dziwić i oburzać, bo wojskowy jest od tego aby bił się, a „cywil“ i polityk — aby gał i bał się. Nie strach jednak, że posądzą mnie o tchórzostwo, ale poczucie elementarnej przyzwoitości w stosunku do ludzi, którzy mieli mnie bronić, położył kres moim wahaniom. Wspólne niebezpieczeństwo nam grozi i nie szukamy zaczepki, a więc i wspólnie bronić się będziemy — pomyślałem, wyjmując swój brauning i po zrepetowaniu kładąc go na kolanach. Od tej chwili wrócił mi spokój, wiedziałem bowiem, że będę bić się z taką samą pasją i determinacją, jak i moi towarzysze podróży. Być może, nawet z większą, bo nagle wybuchła we mnie wściekłość na tych nieznanych mi chłopów, co sami szukają zwady i zmuszają mnie do walki, której wcale nie chcę.

Zrobiło się zupełnie ciemno.

— Baczność! Zbliżamy się. Nie strzelać póki nie dam komendy — cichym głosem wydawał rozkazy oficer, siedzący obok mnie.

Droga wiosenna, błotnista i rozmokła nie pozwalała szybko jechać. Auto powoli sunęło naprzód po wąskiej grobli. Zamajaczył cień mlyna. Cicho — żadnego ruchu, żadnych głosów. Minęliśmy młyn. Jeszcze kawał grobli — wreszcie szeroka droga. Auto zwiększyło bieg. Pochowaliśmy broń do kieszeni. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy wszyscy — nikt nie chciał dzielić się swymi myślami i tem, co przeżył w głębi duszy.

Doznałem uczucia ulgi, że los pozwolił mi uniknąć bezmyślnej walki z chłopami; pomimo wszystko, odegrałbym w niej śmieszna rolę przechodnia, który niechcący trafia do bójki ulicznej, obrywa szturchańca ze wszystkich stron, nie wie-

dząc sam dobrze, kogo właściwie należy bić i za co. Równocześnie jednak na dnie duszy tkwił zawód awanturniczej natury: szykował się człowiek do walki, która nie doszła do skutku i ominęła go możliwość przeżycia silnej emocji.

Wkrótce potem auto nasze wjeżdżało do ogromnego dziedzińca pałacu w Antoninach i za chwilę stanęło przed jasno oświetlonym podjazdem. Służący w liberji usłużnie dopomagali nam wysiąść. Rozbierając się w hallu, ciekawie rozglądałem się po wielkopańskiej sadybie, o której tyle słyszałem.

Za chwilę wprowadzono mnie do salonu, gdzie znajdował się p. Skibiniewski w towarzystwie dwu wojskowych. Nastąpiła wzajemna prezentacja. Jednym z wojskowych, słusznego wzrostu, o sympatycznym, szczerym wyrazie twarzy był Remigjusz hr. Grocholski, adjutant generała Michaelisa; — drugi — małego wzrostu, ruchliwy, nerwowy, o badawczem bystrem spojrzeniu, inż. Piotrowski — delegat Naczpołu.

— Generał Michaelis konferuje z kapitanem Jakubowskim, ale jest uprzedzony o przyjeździe Pana — zakomunikował mi hr. Grocholski.

Po chwili wyszedł z sąsiedniego salonu generał Michaelis w towarzystwie kapitana Jakubowskiego.

Generał Michaelis był to człowiek w sile wieku, średniego wzrostu, łysy, o sumiastych wąsach. Dziwna była w nim mieszanina polskiego szlagona z rosyjskim generałem.

Po przywitaniu zaczęła się konferencja. Wyczerpująco opowiedziałem o istotnej sytuacji w kraju, o antyniemieckich i antyaustriackich nastrojach społeczeństwa polskiego, o nadziejach, które cały naród pokłada w armji polskiej w Rosji, — niestety wyolbrzymiając zarówno jej liczebność, jak i rolę, którą odgrywa ona na terenie rosyjskim. Mówiłem o ewolucji odbytej przez obóz niepodległościowy, który zajmuje obecnie w stosunku do państw centralnych zdecydowanie wrogi front i pragnie utworzenia polskiej armji w Rosji. Spo-

leczeństwo polskie w kraju liczy bowiem na to, iż w odpowiednim momencie wkroczy ta armja na terytorjum Polski, gdyż nie ulega wątpliwości, że państwa centralne nie wytrzymają napięcia wojennego, zwłaszcza Austro-Węgry, gdzie wszystko rozprzega się. Również z całą szczerością wyznałem, że polskie stronnictwa demokratyczne w Rosji, ustosunkowując się negatywnie do sprawy tworzenia armji polskiej w Rosji, zajęły stanowisko sprzeczne z poglądami obozu niepodległościowego i demokratycznego w kraju, który w tej sprawie zgadza się całkowicie z Radą Międzypartyjną, skupiającą żywioły z pod znaku Narodowej-Demokracji. Podkreśliłem, że celem mej podróży jest uzgodnienie stanowiska polskiego obozu demokratycznego w Rosji ze stanowiskiem obozu niepodległościowego i spowodowanie rewizji stosunku do sprawy tworzenia armji polskiej, co — nie wątpię — uda mi się. Wyraziłem również optymistyczne zapamiętywanie na sprawę tworzenia armji polskiej, zwłaszcza po przejściu II Brygady, która dostarczy ideowego, kadrowego materiału zarówno oficerskiego jak podoficerskiego. Nadmieniałem pozatem, że dawne I i III Brygady Legjonów będą stale zasilać tworzącą się armję oficerami i podoficerami, którzy tu będą uciekać z obozów jeńców i z frontu włoskiego. Zaznaczyłem także w formie jaknajbardziej stanowczej, że demokracja polska przeciwną jest wszelkim radom żołnierskim i komisarzom, bowiem Legjony potrafiły wytworzyć typ demokratycznego oficera, mającego zaufanie żołnierzy.

Widziałem, że moje wywody wprowiły generała Michaelisa w wielkie zakłopotanie: znać było, że nie wiedział, jak ma ustosunkować się do mych relacyj. Czulem natomiast, że całkowicie po mojej stronie są hr. Grocholski i inż. Piotrowski. Ten ostatni wciąż mi potakiwał i zwracał się często do generała Michaelisa ze słowami: „Widzi pan gene-

rał — to wszystko co mówi p. Horodyński całkowicie potwierdza moje informacje, o których wielokrotnie meldowałem panu generałowi“. Z wykrzykników i uwag p. Piotrowskiego widziałem, że przybyłem mu z pomocą, poruszając te same sprawy, o które widocznie bez skutku staczał walkę z generałem Michaelisem.

— Panie Generale! — odezwał się, gdy skończyłem, hr. Grocholski — widzi teraz Pan General wyraźnie, jaką jest opinia całego kraju i czego społeczeństwo polskie oczekuje od nas. Nie mamy prawa uchylać się od tego zadania i musimy szykować się do walki z Niemcami.

Nigdy nie zapomnę tego naprawdę żołnierskiego, prostego i szczerzego wystąpienia hr. Grocholskiego. Z wdzięcznością i pewnem zdziwieniem spojrzałem na młodego magnata, który wbrew opinii całego środowiska, do którego należał, nie pragnął przyjsia Niemców i układów z nimi.

Z niezdecydowanego stanowiska generała Michaelisa wyczułem, że osobiście nie pali on się do walki z Niemcami, zaś linja polityczna i rola Rady Regencyjnej, tak ostro przezemnie krytykowanej, nie wzbudzały w nim zbytnej niechęci. Pod wpływem jednak solidarnego stanowiska nas wszystkich, a zwłaszcza mocnego wystąpienia hr. Grocholskiego, generał Michaelis oświadczył, że wobec tych relacyj gotów jest przystąpić do organizowania armji polskiej pod hasłem walki z Niemcami. Stało na tem, że w tym duchu wyda odezwę, nawołującą do wstępowania do oddziałów polskich, sam zaś uczyni wszystko, aby możliwie szybko nawiązać łączność z II Brygadą.

Pozatem generał Michaelis kategorycznie zapewnił nas, że niema mowy o marszu jego oddziałów na Płoskirów, co w jego imieniu możemy oświadczyć miejscowym władzom sowieckim. Kapitan Jakubowski zwrócił uwagę, że najlepiej byłoby zwolnić komisarza Wołka, bo za cenę tę można uzyskać

zwolnienie oficerów z oddziału Engla, którzy zostali aresztowani w Dunajowcach, a którzy za represje w stosunku do Wołka lub innych bolszewików mogą zapłacić życiem.

Na tem konferencja nasza skończyła się. Generał Michaelis udał się do swych apartamentów, my zaś zaproszeni zostaliśmy na wspólną kolację korpusu oficerskiego.

Minęliśmy długi szereg pokoi i znaleźliśmy się w ogromnej sali jadalnej.

Dziwne robiła wrażenie ta sala. Przez całą jej długość ciągnął się stół, około którego krzątało się kilkunastu lokajów w liberjach. Sala była pełna oficerów, którzy grupami schodzili się na kolację. Mieli mundury rosyjskie, różnych formacji, lecz bez epoletów. Zachowanie się oficerów, ukłony, ogólny sposób bycia, wszystko to nosiło charakter wybitnie rosyjski. Trudno było mi pozbyć się wrażenia, że znalazłem się w rosyjskim kasynie oficerskiem. Zacząłem obserwować zebranych. Było to przypadkowe skupienie rozbitków z różnych pułków rosyjskich, szukających tu przystani i wytchnienia po przejściach w zrewoltowanej armji. Tematem rozmów były opowiadania kilku oficerów, powracających właśnie z karnej wyprawy do sąsiedniej wsi, która napadła na jeden z folwarków ordynacji Potockich. Z wesołym śmiechem opowiadano, jak zdobyto wieś, jak mordowano chłopów, palono chałupy. Szybko zorientowałem się, że w gronie tem przeważają oficerowie ze sfer okolicznego ziemiaństwa, którzy z rozkoszą toczyli walki z chłopstwem, mszcząc się w ten sposób za swe zrujnowane i spalone majątki, których niszczenie było często połączone z mordowaniem ich bliskich i krewnych.

W rozmowach raz po raz padało znane mi ze słyszenia nazwisko rotmistrza, uczestnika tej wyprawy, człowieka niezwykle osobistej odwagi, połączonej z wyjątkowem okrucieństwem wobec chłopów. Pokazano mi go. Siedział przy stole milczący i pochmurny, pijąc szklanką stojące przed

nim wino. Nie brał wcale udziału w rozmowie. W oczach jego żarzył się ponury płomyk: widać było, że był pod wrażeniem niedawnych walk — jakgdyby przesiąknięty jeszcze kurzawą krwi i dymu palących się chat. Pił — chciał zapewne w winie znaleźć zapomnienie niedawnych przeżyć.

Zasiedliśmy do kolacji. Coraz smutniejsze wrażenie robiło na mnie całe towarzystwo. Zaiste, uczta podczas dżumy! Wspaniała zastawa na stole, obfitość win, zastęp lokajów w libejji, sprawnie i bez hałasu zmieniających talerze i roznoszących ogromne półmiski — wszystko to było jakimś dzikim paradoksem, zagubionym dniem wczorajszego życia, które przecież minęło i nigdy już nie wróci. Kolacja — zdawałoby się — taka, jakich setki widziała ta wspaniała sala. Inni jednak goście zasiedli przy tym stole, inne kwalifikacje pozwalały dziś przestąpić próg tej sali, inna rozmowa tu rozbrzmiewała i inne tematy były poruszane, aniżeli dawniej „za dobrych czasów“, gdy sam hrabia zasiadał przy stole.

— O tak, moi panowie, nie wielu z nas — myślałem, wiodąc okiem po zebranych — w dawnych normalnych czasach, dostąpiłoby zaszczytu zasiąść przy tym magnackim stole. Dziś zasiadacie przy hrabiowskiej zastawie, popijając wesoło stare wino z nieprzebranych zapasów piwnic pałacu.

— Pijcie panowie — mówiły, zdaje się drwiąco, nieruchome twarze lokajów — bo jeśli wy nie wypijecie, przyjdzie po was tłuszcza chłopska i urznie się staremi winami, potłucze kryształ y i porcelanę.

— Pijcie lepiej wy — swoi i rodacy. Kondotjerzy, bezwiedni najmici — myślałem z goryczą patrząc na tych oficerów, szumnie nazywających się polskimi ułanami i szwoleżerami. — Nie uświadamiacie sobie, że kolacjami temi, winami, wytresowanymi lokajami wam usługującymi płacą wam za obronę folwarków ordynacji, wynagradzają za spa-

lone wsie, za mordowanie chłopów, pożądliwie wyciągających ręce po hrabiowskie mienie.

A jednocześnie żał mi było tych ludzi, żał, iż nie mieli wodza, który umiałby im powiedzieć, że nie tu ich miejsce i nie taka walka winna być udziałem polskiego oficera.

Nie mogłem doczekać się końca kolacji. Dusilem się w tej atmosferze i w tem towarzystwie, które również patrzyło na nas przybyszów z nieukrywaną niechęcią i nieufnością.

Po skończonej kolacji natychmiast skierowałem się ku wyjściu. Podszedł do mnie porucznik Piotrowski, zapraszając do siebie dla omówienia jeszcze kilku spraw. Gdy weszliśmy do jego pokoju, od stołu wstał młody człowiek — brunet w binoklach, o twarzy energicznej i pewnej siebie.

— To pan Konstanty Skrzyński, delegat Międzypartyjnej Rady, który dziś przyjechał z Kijowa i chciałby z Panem pomówić, — powiedział p. Piotrowski zapoznając nas.

Wywiązała się między nami ożywiona rozmowa, wzajemna wymiana wiadomości i informacji.

Ze zdziwieniem i pewnem zakłopotaniem, a jednocześnie z wewnętrznym zadowoleniem stwierdziłem, że mamy zupełnie jednakowy program działania, te same wytyczne zarówno w stosunku do sprawy armji jak i w stosunku do państw centralnych, a co dziwniejsze również i w odniesieniu do bolszewików, gdyż p. Skrzyński stwierdzał z całą stanowczością absurdalność walk z bolszewikami. Pozatem rozmówca mój kilkakrotnie podkreślał konieczność, abyśmy zdołali porozumieć się, tembardziej, że nie było jeszcze wyjaśnione w tej chwili, czy bolszewicy upokorzą się przed Niemcami, czy zdołają się na dalszą walkę. Gdyby jednak nawet zawarli pokój, będzie to pokój pozorny, gdyż w imię swych przesłanek ideologicznych będą niewątpliwie dążyć do wywołania rewolucji w Niemczech i Austro-Węgrzech.

Podzieliłem całkowicie te poglądy, jednocześnie jednak

nie mogłem ukryć swego zdziwienia i oburzenia w stosunku do tego co zobaczyłem w Dunajowcach, Kamieńcu-Podolskim, zaś obecnie w Antoninach, a co nazywało się wojskiem polskiem.

— Wszystkie te oddziały nie mają nic wspólnego z istotnem wojskiem, — mówiłem. Nie przedstawiają ani liczebnie, ani — co gorsza — ideowo żadnej wartości, nawet jako kadry armji. Ze wszystkiego co słyszałem, wygląda, że tylko I Korpus w Bobrujsku jest pewną realną siłą wojskową, lecz znowu — nie wiadomo dlaczego i po co — uwikłał się w walki z bolszewikami. Tak czy inaczej, ale widać ze wszystkiego, że tylko on może stanowić jądro armji polskiej w Rosji, na oddziały zaś polskie na Ukrainie należy machnąć ręką, a II Brygada winna możliwie najszybciej połączyć się z I Korpusem.

— Zasadniczo ma Pan rację — odparł Skrzyński. Zakomunikuję jednak Panu poufnie, bardzo smutną wiadomość, której tu nikomu jeszcze nie mówimy, aby nie pogarszać sytuacji: generał Dowbór-Muśnicki przeszedł na stronę Niemiec i zawarł z niemi przed kilku dniami umowę. Właśnie otrzymałem dziś wiadomość, że Jerzy Zdziechowski wystąpił przeciwko generałowi Dowbór-Muśnickiemu, zrywając z nim wszelkie stosunki w imieniu Rady Międzypartyjnej. Być może, uda się nam jeszcze obalić generała Dowbór-Muśnickiego i w ten sposób unieważnić jego umowę z Niemcami, — dlatego trzymamy tę wiadomość w tajemnicy. W tej chwili jednak sprawy stoją źle.

Ogarnęła mnie rozpacz i przerażenie. Wszystkie oddziały polskie na Ukrainie — razem ze swoim dowódcą generałem Michaelisem — były śmieszną parodią wojska polskiego, i co smutniejsze — wyczuwałem to dobrze — nie nadawały się zupełnie, nawet jako materiał kadrowy, gdyby zaistniała teoretyczna możliwość formowania wojska polskiego na Ukrainie. I Korpus stanowiący pewną regularną siłę zbrojną poddał się

Niemcom. Co robić? A przedewszystkiem, co ma robić II Brygada, jak widać ze wszystkiego, nie mogąc liczyć znikąd na żadną pomoc. Prawda, pozostał jeszcze II Korpus w Sorokach, ale nie było o nim żadnych wiadomości. W najlepszym wypadku będzie mogła II Brygada z nim się połączyć. Ale co dalej? Logicznie nasuwała się jedyna możliwość, aby cofnęła się II Brygada sama, względnie z II Korpusem, włąb Rosji i aby tam — za zgodą bolszewików — przystąpiła do formowania rewolucyjnej armii polskiej, pod znakiem czynnej walki z Niemcami. Zależało tedy bardzo wiele od tego, czy bolszewicy zawrą pokój z Niemcami czy nie. O tem jednak p. Skrzyński nie miał żadnych wiadomości.

Tak czy inaczej, moja decyzja wyjazdu do Kijowa nie ulegała zmianie. Przeciwnie, należało tam jechać jaknajszybciej, aby u centralnych władz bolszewickich wyjaśnić zarówno dalsze losy II Brygady, jak i możliwość tworzenia istotnej polskiej siły zbrojnej do walki z Niemcami. Zarówno p. Skrzyński jak i p. Piotrowski podzielili mój pogląd. Pan Skrzyński, który miał wracać niebawem do Kijowa, przyrzekł, że ułatwi mi spotkanie z działaczami swego obozu.

Na tem rozstaliśmy się. Inż. Piotrowski zaprowadził mnie do przygotowanego dla mnie pokoju.

Wczesnym rankiem przyszedł do mnie Muszkiet-Królikowski, aby zaprowadzić mnie do Jaworowskiego, którego dobrze znał osobiście i u którego spędził poprzedni wieczór. Jaworski mieszkał w jednej z oficyn pałacu i leżał w łóżku, kurując swe rany, które otrzymał kilka dni temu w słynnym swym zuchwałym ataku na sowieckie pancerki. Bardzo byłem ciekaw poznać Jaworskiego, którego sława o niebywalej, zuchwalej odwadze szeroko szła po całym Podolu. Gdy weszliśmy do pokoju ujrzałem młodego, smagłego człowieka. Zaczęła się rozmowa. Jaworski miał wiele osobistego czaru. Tryskała zeń junacka wesołość, pogoda i dziwna niefrasobli-

wość, która wytwarzała wokoło niego atmosferę życzliwości i bezwiednego podziwu. Patrzyłem na Jaworskiego i myślałem: prawdziwy Kmicic. Istotnie był to typ prawdziwego za-gończyka, syna tych bezkresnych równin ukraińskich, w którego żyłach być może płynęła krew kozacka.

Jaworski pochodził z rodziny ziemiańskiej, która od wieków osiadła na Podolu i miała tu mały majątek ziemski. Gdy wybuchła wojna był studentem akademji Dublańskiej, a że wakacje spędzał w domu, więc został zmobilizowany i poszedł do wojska. Gdyby wojna rozpoczęła się w innej porze roku i gdyby jej wybuch zastał go we Lwowie —napewno poszedłby do Legjonów. Był bowiem żołnierzem z krwi i kości, dla którego wojaczka jest żywiołem i radością. Był typem tego polaka, którego przed wojną djabli nieśli aż do Legji cudzoziemskiej w Afryce, byle bić się — wszystko jedno z kim.

Jaworski nie miał w sobie nic z psychologii oficera rosyjskiego, natomiast reprezentował wspaniały typ watażki kresowego, który lubi partyzantkę, lubi chadzać własnymi drogami, nie lubi zaś mieć władzy nad sobą. Oddział Jaworskiego w istocie swej był oddziałem partyzanckim i nazywał się nawet „oddzielnym dywizjonem szwoleżerów“. Stanowił samodzielną jednostkę bojową, nie wchodzącą w skład III Korpusu. W oddziale Jaworskiego skupiły się typy tak samo awanturnicze, tak samo rozkochane w wojence, jak ich dowódca. Oddział Jaworskiego powstał jeszcze w lipcu 1917 roku i, jako samodzielny szwadron jazdy przy pułku piechoty rosyjskiej, odznaczał się wielką brawurą i odwagą w walkach z Niemcami. Gdy wojna de facto skończyła się, Jaworski i jego kompanowie znaleźli się w Antoninach, gdzie dano im całkowite zaopatrzenie za cenę obrony niezliczonych folwarków ordynacji. Chętnie się na to zgodzili, i przez cały czas walk z chłopami w obronie dóbr ordynacji, aż do chwili

przyjścia Niemców i Austriaków, t. j. do końca lutego 1918 r., oddział jego nie wchodził w skład III Korpusu, pomimo, że w tych samych Antoninach stał 2-gi pułk ułanów.

Oddział Jaworskiego toczył zaciętą walkę z okolicznym włościanstwem, nie dopuszczając do grabieży i niszczenia folwarków ordynacji. Trzeba zaś pamiętać, że w tych czasach włościanie byli doskonale uzbrojeni i jako zdemobilizowani żołnierze świetnie umieli obchodzić się z bronią, której pobliski front i władze sowieckie dostarczały pod dostatkiem.

Nie były to więc karne ekspedycje przeciwko bezbronnemu włościanstwu, lecz ciężka walka wrogich oddziałów partyzanckich, prowadzona przez obie strony zacięciem i okrutnie. Oddział Jaworskiego był tedy, jak zgraja wilków, otoczony ze wszystkich stron — to też kąsał na wszystkie strony, i tak dawał się we znaki włościańskim bandom, i taki strach szerzył swym okrucieństwem, że władze sowieckie zaczęły posyłać na pomoc chłopom regularne oddziały, które również nie wiele mogły wskórać. Właśnie pod koniec stycznia i w połowie lutego walki oddziału Jaworskiego z bolszewikami doszły do największego napięcia. Zirytowani bolszewicy postanowili zlikwidować oddział Jaworskiego i w tym celu wysłali pod Antoniny dwa opancerzone auta. Jaworski na czele swego oddziału poszedł tyraljerą na te pancerniki i w pewnym momencie, nie bacząc na silny ogień karabinów maszynowych z pancerek, rzucił się do ataku na białą broń, otoczył obie pancerniki i zmusił ogłupiałych bolszewików do poddania się. W tym brawurowym ataku stracił zaledwie czterech zabitych i sześciu rannych. Natomiast sam o mały włos nie przypłacił życiem swego zuchwalstwa. Pięć kul karabinu maszynowego zdarło mu skórę na czubku głowy, zaś dwie lekko ranily w rękę. Pokazywał mi te rany. Na огоłej głowie widać było kilka gojących się ran — zupełnie jakby pazury tygrysa musnęły zlekka ten warjacki łeb.

Pomimo całej mej niechęci do roli, jaką odgrywał Jaworski i jego oddział w Antoninach, nie mogłem bez podziwu patrzeć na tę wspaniałą junacką postać szaleńca, z rewolwerem w ręku idącego do ataku na opancerzone auto. Zacząłem gorąco go namawiać, aby rzucił Antoniny, — wszak nie jego rolą być stróżem krów i koni w ordynacji Potockich — i aby ze swoim oddziałem połączył się jaknajprędzej z II Brygadą, której brak właśnie kawalerji. Oddział jego — mówiłem dalej — może stać się zaczątkiem nowego pułku kawalerji legjonowej, mającej już tak wspaniałe tradycje, a przecież w Brygadzie, w gronie prawdziwych żołnierzy jest jego właściwe miejsce. Idąc z nimi razem, na dolę i niedolę tułaczki, zapisze i swoje imię na kartach pięknej epopei Żelaznej Brygady. Miałem wrażenie, że trafiłem mu do przekonania, gdyż szczerze zgodził się z mem zdaniem i uroczyście przyrzekł, że za kilka dni, jak tylko wstanie z łóżka, natychmiast wymaszeruje wraz ze swym oddziałem na spotkanie II Brygady. Dziś jeszcze wyda rozkaz ostrzenia lanc i szykowania się do wymarszu.

Pelen dobrej myśli serdecznie pożegnałem Jaworskiego, wyrażając szczerą nadzieję, że niezadługo spotkamy się na kwaterze II Brygady.

Niestety i tym razem zawiodłem się. Zbyt długo żołnierze Jaworskiego ostrzyli swe lance — tak długo, że zapomnieli o wymarszu z Antonin. Co wpłynęło na Jaworskiego, że oddział jego pozostał w Antoninach aż do końca kwietnia, nie wiem. Może wpłynął na niego generał Michaelis, może oficerowie nie chcieli rozstać się z wygodami życia pałacowego i starymi winami, a żołnierze z wesołym życiem wśród napadów i rabunków — dość, że Jaworski przyrzeczenia swego nie dotrzymał. Z Antonin poszedł do Pikowa, gdzie pod czujnem okiem austriaków w składzie Lekkiej Brygady III Korpusu wesoło czas mijał na beczynności i pija-

tykach, na konkursach hippicznych, na omawianiu wreszcie szczegółów bitwy pod Kaniowem, powodów rozbrojenia I Korpusu przez Niemcy i t. d. Trwało to życie, pełne bez troski aż do 10 czerwca 1918 r., kiedy austriacy znudzeni przypatrywaniem się bezczynności dwu tysięcy ludzi, rozbili całą Brygadę, wyposażoną w półtora tysiąca koni, karabiny maszynowe, panczerki, armaty i t. p. Tak zakończył się pierwszy okres dziejów Jaworskiego. Wypłynął on następnie już w Niepodległej Polsce. Nie będę mówił o dalszej historii tego człowieka, który posiadał wszystkie dane na wspaniałego żołnierza, a który tak smutnie skończył. Kto wie, czy nie potoczyłoby się inną drogą życie tego watażki, gdyby usłuchał mnie i połączył swój los z losem II Brygady.

Od Jaworskiego udałem się do generała Michaelisa, aby z nim się pożegnać. General był w doskonałym humorze. Oświadczył mi, że w nocy napisał odezwę do społeczeństwa, którą ma zamiar niezwłocznie opublikować. Przeczytał mi projekt. Powiedziałem, że jest niezły. Miał ją po ustaleniu ostatecznej redakcji przysłać do Płoskirowa, gdzie Królikowski podjął się wydrukować w większej ilości. Pozatem generał Michaelis miał wysłać odpisy tej odezwy do Kijowa i do innych większych polskich ośrodków. Odezwa ta jednak nigdy nie ujrzała światła dziennego*).

Odezwa miała brzmienie następujące:

ŻOŁNIERZE POLSCY!

Zarzewie wojenne na naszym froncie dopalało się, dochodziły nas wieści, że Polska przynajmniej w dotychczasowych granicach uzyskuje stopniowo od władz państw centralnych niezależność, możliwość

*) Dlaczego odezwa ta nie ujrzała światła dziennego, opowiada o tem sam generał Michaelis w swej książce „W zamęcie“. Z książki tej dowiedziałem się, że projekt tej odezwy wraz z innemi dokumentami został złożony przez generała Michaelisa w Centralnej Bibliotece Wojskowej w War-

pracy nad odbudową Kraju. Najgorętszym pragnieniem naszym w dobie ostatniej było wrócić do Ojczyzny, by wziąć udział w zbożnej pracy. Godność jednak żołnierza nakazywała nam, byśmy wrócili nie jako pielgrzymi pokutujący z workami na plecach, lecz jako jednostki bojowe, gotowe do służby Ojczyźnie z bronią w ręku. Słabsi duchem nie mogli doczekać się chwili urzędowego otwarcia granicy strategicznej, porzucali szeregi, przechodząc kordon niemiecki. Puszczano ich, ale tylko poto by wcielić natychmiast do bataljonów roboczych i pognać na zachodni front do kopania okopów, poddanych austriackich wcielano zpowrotem do szeregów. W tem rozeszła się wiadomość o zawarciu pokoju pomiędzy Niemcami a Ukrainą, pokoju ohydneho, zawartego kosztem Polski — cała Chełmszczyzna, część Podlasia mają przejść do Ukrainy, o naszą zgodę, o zdanie ludu naszego nie pytano, przeciwnie, łudzono nas obietnicami ponętnymi, a spiskowano za naszymi plecami. Kraj zawrzał oburzeniem, Rada Regencyjna ogłosiła protest i złożyła swe pełnomocnictwa polityczne, w całym kraju zarówno w Galicji jak i Królestwie dnia 18 lutego ogłoszony był jednodniowy strajk powszechny, a na ulicach Warszawy połała się krew, demonstrującego przeciw gwałtom niemieckim ludu. Niemcy ogłosili stan oblężenia. Oczy całego narodu zwróciły się na nas, jako ostatnią nadzieję ratunku niezależności Polski przed gwałtem niemieckim.

Wysłano do nas delegata z obozu Piłsudskiego p. Horodyńskiego, członka Komitetu P. P. S., by wyjaśnił partjom lewicowym, będącym dotychczas przeciwnymi formacjom polskim, że ich taktyka jest zgubną dla kraju, propagowany przez nie powrót do Ojczyzny jest rzeczą niemożliwą, że kraj żąda stworzenia tutaj armji polskiej, silnej i karnej mogącej stanowić przeciwwagę przemocy niemieckiej.

W tak tragicznej dla sprawy naszej chwili, wszystkie partje polityczne odsunęły na bok wszelkie spory partyjne i podały sobie wzajemnie dłoń do wspólnej pracy nad obroną świętych praw naszych. Oburzenie całego narodu znalazło wyraz w szaleniu bohaterskim czynie ostatnich jeszcze nie rozbrojonych formacyj polskich z tamtej strony kordonu. II Karpacka Brygada Piłsudczyków przebiła się po

szawie. Wobec tego, że generał Michaelis we wspomnianej książce zaznaczył, iż pozwala każdemu korzystać z tych dokumentów, uważam się za upoważnionego do ogłoszenia odezwy, zwłaszcza, że — jak widać z treści — była napisana pod wyraźnym wpływem mych informacji i argumentów.

zaciętej walce z Madziarami do nas, by się połączyć z polską siłą zbrojną tu powstałą i stanęła w gotowości bojowej do walki z gwałcicielami.

Wzywam was żołnierze Polacy, wzywam wszystkich synów wolnej, niepodległej i zjednoczonej Ojczyzny naszej, byście jak jeden mąż, nie bacząc na oczekujący Was trud i ciężki narazie los tułaczy, stanęli do szeregów naszych, silni miłością Ojczyzny, karni w służbie, ufni w tryumf świętej sprawy naszej, do której Bóg pobłogosławi.

W imieniu Rady Nadzorczej Polskiej Siły Zbrojnej
Członek R. N. P. S. Z.

Jenerał - Porucznik
De Henning-Michaelis

Antoniny, 26 lutego 1918 r.

Armja czynna

Tak miała brzmieć odezwa. Naturalnie, mogłem tylko cieszyć się i nie szczędziłem słów uznania. Zdawało się, że udało mi się wytworzyć w III Korpusie atmosferę walki z Niemcami. Tembardziej, że w ciągu nocy i ranka nadeszły do Antonin wiadomości, iż wojska państw centralnych wkroczyły na teren Ukrainy, zajmując Równe, Sarny, Koresteń.

Gdy generał Michaelis powiedział mi o tem, wyraziłem obawę, że mogą zagarnąć polskie oddziały w Antoninach i podsunąłem mu myśl, czy nie należałoby wobec tego niebezpieczeństwa możliwie szybko wymaszerować na spotkanie II Brygady.

— Proszę Pana — oświadczył mi uroczyście generał Michaelis — Może Pan być spokojny. Daję Panu słowo generała, że gdzie stanie stopa niemiecka, tam mnie nie będzie,

Mówiąc to wyciągnął do mnie rękę na potwierdzenie swego przyrzeczenia. Serdecznie uściśnąłem rękę generała, naiwnie wierząc w szczerość i powagę tych słów. To też musiałem mieć wyjątkowo głupi wyraz twarzy, gdy w trzy tygodnie później stanąłem jak wryty na ulicy Kijowa, ujrzawszy roześmianego jowialnie generała Michaelisa, jadącego

wojskowem autem razem z niemieckim generałem. Dawno już mnie minęli, a wciąż stałem i bezmyślnie patrzyłem w ślad oddalającego się auta.

Ale to było później. Teraz serdecznie żegnałem się z generałem Michaelisem, śpiesząc zpowrotem do Starokonstantynowa, gdzie czekał na nas, zgodnie z umową, komisarz płoskirowski. Dano nam auto i w tem samym towarzystwie, t. j. kapitan Jakubowski, Muszkiet-Królikowski i ja, jechaliśmy do Starokonstantynowa.

Pomimo smutnych wiadomości o I Korpusie, byłem dobrej myśli: zdawało się, że przynajmniej tu na Ukrainie da się skoncentrować wokół II Brygady luźne oddziały polskie. Optymizm mój, jak się później okazało, był zupełnie bezpodstawny. Po wyjeździe bowiem naszym wypadki w Antoninach potoczyły się w zgoła odmiennym kierunku.

Generał Michaelis dowiedział się o zawarciu przez generała Dowbór-Muśnickiego umowy z Niemcami. Pozatem prawdopodobnie p. Skibiniewski musiał w osobnej z nim konferencji wytłumaczyć, że jeśli nie należy maszerować na Płoskirów, to tylko dlatego, aby nie drażnić bolszewików i nie narażać polskiego społeczeństwa na represje, ale że wcale w interesie tego „społeczeństwa“, t. zn. warstwy ziemiańskiej, nie leży wszczynanie walki z Niemcami, gdyż przeciwnie, obsadzenie Ukrainy przez oddziały okupacyjne armji niemieckiej przywróci ład i porządek społeczny. Jednocześnie nadchodziły wiadomości, że Niemcy i Austriacy idą wszystkimi drogami, chcąc tedy uniknąć kontaktu z nimi, trzeba było szybko decydować się. Tymczasem, jak sam generał Michaelis przyznaje w swej książce „W zamięcie“ decyzja wymarszu z Antonin „niebardzo podobala się otoczeniu, było tu wszystkim wygodnie“. Czas mijał i nie ruszano się z Antonin, bo oficerowie wręcz oświadczyli, że oddziały ich nie pójda nawet do Bobrujska, aby tam połączyć się z I Kor-

puszem. „Wobec tego — pisze generał Michaelis — zmieniałem decyzję raz jeszcze: oddziały miały zostać na miejscu, aż do wyschnięcia dróg, ja zaś z częścią Sztabu, pod ochroną 12-tu ulanów, chciałem wyruszyć komunikiem. Bardzo się to podobało pozostającym i trudno się temu dziwić, pobyt w Antoninach był miłszy, niż walka z czarnoziemem wołyńskim“.

A że pobyt był miłszy, więc i generał Michaelis zwlekał ze swym wyjazdem z Antonin „Wieczorem — pisze — zaproszony byłem przez oficerów pułku na kolację, wydaną ex re awansu kilku z nich; przygrywała nam kapela pułkowa, nie tyle zresztą harmonijnie ile głośno. Wkońcu młodzież prosiła o pozwolenie zatańczenia, chętnie się na to zgodziłem, zorganizowano więc bal“.

Tak przy szampanie, muzyce i tańcach wesoło upływał czas generałowi Michaelisowi i jego oddziałom. Tymczasem Niemcy i Austriacy szeroką, aczkolwiek bardzo płytką falą zalewali Ukrainę.

Dopiero 7 marca wyruszył generał Michaelis „komunikiem“ do Płoskirowa. Stamtąd w pociągu „wypelnionym — jak pisze — austriackimi wojskowymi“ — wprost do Kijowa, aby tam niezwłocznie rozpocząć konferencje z niemieckim sztabem generalnym.

Taki był koniec uroczystego przyrzeczenia i słowa generalskiego, danego dnia 27 lutego w Antoninach przez generała Michaelisa, delegatowi obozu Komendanta Piłsudskiego.

Nie może nawet generał Michaelis usprawiedliwiać się, jakoby zmusiły go do tego okoliczności, lub że uległ po trudnej i długiej wewnętrznej walce ze sobą. Bo oto pisząc niniejsze wspomnienia i przeglądając archiwum generała Michaelisa, natknąłem się na bruljon jego listu, który 28 lu-

tego, a więc na drugi dzień po naszym wyjeździe, wysłał do Kijowa na ręce p. Bartoszewicza do członków Rady Naczelnej Polskiej Siły Zbrojnej. W liście tym, streściwszy sytuację wytworzoną umową generała Dowbór-Muśnickiego z Niemcami oraz posuwaniem się wojsk niemiecko-austriackich na Ukrainę, kreśli następujący plan, który przytaczam w dosłownem brzmieniu:

1) Zebrać w Antoninach jako punkcie, względnie najbardziej oddalonym do magistralnych linii kolejowych, wzdłuż których dążą Niemcy, oddziały nasze z Wołynia północnego i Podola.

2) W razie zbliżenia się oddziałów niemieckich lub austriackich wejść z nimi w porozumienie co do zapewnienia nam zapowiedzianej zbrojnej neutralności. Członków Rady proszę o natychmiastowe wypowiedzenie się co do porozumienia się z Radą Regencyjną, przyczem nadmieniam, że wrazie nieotrzymania od Panów rychłej odpowiedzi, mogę zostać zmuszony podjąć odpowiednią decyzję bez porozumienia się Nimi.

Pozatem niezbędne jest przysłanie mi znacznego funduszu na opędzenie potrzeb już istniejących formacji. Zobowiązania powzięte względem nich przez koalicję nie utraciły dotąd swej mocy.

Jenerał-Porucznik Michaelis

A więc widzimy, z jednej strony pragnienie jaknajszybszego kontaktu z oddziałami niemieckimi i poddania się Radzie Regencyjnej, z drugiej — żądanie pieniędzy od koalicji. Nic też dziwnego, że w takich warunkach, odezwa napisana pod naszym wpływem, nigdy nie ujrzała światła dziennego. Myli się tylko generał Michaelis, twierdząc, że jej odpis posiadał Muszkiet-Królikowski, następnie jednak zwrócił generałowi Michaelisowi na jego żądanie. Mogę zapewnić, że gdyby odezwa znalazła się raz w naszych rękach, zostałaby opublikowana, chociażby tylko poto, aby utrudnić pod boki niemców bale w Antoninach.

Jeśli więc tacy ludzie, jak generał Dowbór-Muśnicki, generał Michaelis i generał Stankiewicz, stanęli na czele formacyj w Rosji — nie mogły one skończyć swej historii inaczej, niż skończyły.

Winę jednak za to ponosi przedewszystkiem polski obóz demokratyczny w Rosji, który swoim negatywnym stosunkiem do wielkiej sprawy tworzenia armji polskiej w Rosji, oddał ją w ręce Narodowej Demokracji i dawnych carskich generałów, należących całą swą psychologją i poglądami do epoki, rozsadzonej i obróconej w gruzy przez rewolucję, a którzy z armji polskiej chcieli zrobić sprzymierzeńca reakcji rosyjskiej, i którzy — co najsmutniejsza — byli obcy duchem i sercem Polsce w męce i trudzie najlepszych swych synów dźwigającej sztandar walki o Niepodległość.

Można było i należało kuć na obczyźnie miecz polskiej irredenty, ale tylko nie rękami generałów Dowbór-Muśnickiego, Michaelisa i Stankiewicza — dowódców trzech polskich korpusów w Rosji.

XI

W Starokonstantynowie zatrzymaliśmy się w Komendzie Wojsk Polskich. Zastaliśmy tam oficera ze Związku Wojskowych Polaków, którego dnia poprzedniego prosiłem o zaopiekowanie się naszym komisarzem. Zakomunikował nam, iż komisarz przekonał się osobiście, że istotnie wojsko polskie nietylko żadnej nikomu krzywdy w mieście nie wyrządziło, ale — co więcej — że pozwoliło urzędować nadal cywilnym władzom bolszewickim; po zebraniu tych wiadomości komisarz odjechał do Płoskirowa, z rana jednak — w myśl umowy z nami — wrócił znowu i jest gdzieś na mieście. Prawdopodobnie w tej chwili przebywał w lokalu Komisarza Powiatu, który znajdował się kilka domów dalej na tej samej ulicy.

Natychmiast udałem się tam, gdyż zależało mi, aby jak najszybciej wrócić do Płoskirowa.

Komisariat mieścił się w niedużym parterowym, drewnianym domu, do którego wchodziło się przez ganek, przylegający do domu od strony ulicy. Drzwi wejściowe były otwarte. Wszedłem, chociaż lokal robił wrażenie opuszczonego. W głębi pokoju ujrzałem wojskowego w płaszczu i czapce na głowie. Siedział przed biurkiem, niedbale rozwalony w krześle, i zamyślony palił papierosa. Wejście moje nie zro-

biło na nim żadnego wrażenia — spojrzał tylko na mnie z podelbą ponuro i nadal milcząco palił swego papierosa.

— Przepraszam Towarzyszu—odezwałem się pierwszy— ale chciałem dowiedzieć się, czy niema tu towarzysza komisarza z Płoskirowa.

— A to wy, towarzyszu, przyjechaliście z nim wczoraj z Płoskirowa?

— Tak. Jako delegaci od ludności płoskirowskiej do generała Michaelisa.

— Wiem o tem. Komisarz był tu, ale pojechał gdzieś na miasto. Niezadługo wróci.

— To może zaczekam tu na niego?

— Czekajcie, jeśli chcecie! — burknął ponury dygnitarz sowiecki.

Zapanowało milczenie. Bolszewik dalej palił papierosa patrząc zamyślony przed siebie. Miał apatyczny, zniechęcony wyraz twarzy. W przykrem milczeniu upłynęło kilka chwil. Nagle usłyszałem kroki na werandzie. Obejrzałem się, sądząc, że to komisarz płoskirowski. Tymczasem na progu drzwi stał nieznany mi jegomość w granatowej kurtce wojskowego kroju i w czapce tego samego koloru. Wiosenne słońce wyraźnie zarysowało jego sylwetkę. Wytężał wzrok, aby zobaczyć, co się dzieje w pokoju: sprawiało to wrażenie, że waha się wejść. Bolszewik leniwie obrócił wzrok w kierunku mego spojrzenia. Nagle ożywił się cały.

— Towarzyszu! — odezwał się do mnie półgłosem. — Pójdźcie do niego i powiedzcie, aby tu nie wchodził, gdyż inaczej każę go aresztować.

Nic nie rozumiejąc, ze zdziwieniem patrzyłem na bolszewika. Wyraz jego twarzy przeczył słowom, malował się bowiem na niej wyraźnie niepokój i zdenerwowanie.

— To komisarz powiatowy Centralnej Rady Ukrain-

skiej — tłumaczył mi półgłosem. Cholera taka — ukrywał się, a teraz nagle się zjawia. Czego on tu chce? — spytajcie.

Pomimo krótkiego, jak dotąd pobytu w państwie rewolucji socjalnej, przyzwyczałem się już niczemu nie dziwić, jednocześnie zaś zdrowy instynkt samozachowawczy dyktował mi, że w żywiołowym chaosie, jakim była ta rewolucja, a którego stałem się częsteczką, najlepiej nie przeciwstawiać się wypadkom, lecz odwrotnie, możliwie szybko i gładko przystosować się do każdej sytuacji. Wyszedłem więc na ganek.

— Czego chcecie Towarzyszu? — spytałem po rosyjsku.

— Czego? — odpowiedział Komisarz po ukraińsku. Chcę objąć urządowanie — to moje biuro.

— Dlaczego?

— Jak dlaczego? — cisnął się. Bo Centralna Rada Ukraińska znowu obejmuje władzę na Ukrainie, a ja jestem Komisarzem Centralnej Rady na powiat Starokonstantynowski. Niech więc ten kacap wynosi się, póki go proszę po dobru, bo inaczej każę go aresztować. Niech Pan mu powie — ciągnął ukraińiec z powagą, — że nie chcę awantury. Niech więc idzie sobie stąd dobrowolnie.

— Zaczekajcie tu! — odpowiedziałem i wróciłem do pokoju, aby powtórzyć bolszewikowi to, co usłyszałem.

— Powiedzcie mu, towarzyszu, że Centralnej Rady Ukraińskiej niema, że na Ukrainie jest Rada Komisarzy Ludowych, z której ramienia jestem tu Komisarzem. Niech idzie stąd, bo ja też nie chcę awantury.

W głosie jego jednak wyczułem niepewność i zażenowanie. Sytuacja stawała się śmieszna i zaczynała mnie bawić. Widocznem było, że obaj mają stracha, i — co komiczniejsza — obaj nie mają żadnej egzekutywy, by zrealizować swe groźby. Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma! — pomyślałem, śmiejąc się w duchu, zarówno z nich jak i z siebie, nieoczekiwanie kreowanego na parlamentarjusza między

wojującymi stronami. Udałem się więc do obozu ukraińskiego i powtórzyłem słowa przedstawiciela władzy sowieckiej.

— Jaka tam Rada Komisarzy Ludowych, — zasmiał się szyderczo ukrajiniec. Niema już jej na Ukrainie. Centralna Rada Ukraińska zawarła sojusz z Niemcami i sprzymierzone wojska niemieckie na prośbę Centralnej Rady idą razem z naszymi wojskami uwolnić Ukrainę od bolszewików. Niemieckie wojska są już na dworcu kolejowym w Starokonstantynowie.

Teraz i mnie zrobiło się nieswojo. Nie po to wyjechałem z Warszawy — pomyślałem ze złością, — aby tu mieć tych samych Niemców trzy kilometry od siebie.

Nagle zrozumiałem sytuację. Dlatego był taki pusty lokal Komisarza, bo widocznie całe biuro zwało i biedny komisarz bolszewicki, gdy wszedłem, samotnie dumiał nad zmiennością losów i czekał na wiadomości lub rozkazy. Niemcy posuwali się koleją, Starokonstantynów zaś leżał kilka kilometrów od miasta, ominęli więc go, tembardziej, że stały w nim polskie oddziały. Komisarz ukraiński jednak uznał, że przyszedł moment odpowiedni, by objąć dawne swe stanowisko, wyszedł więc z ukrycia, lecz reszta jego zwolenników widocznie czekała jeszcze na ostateczne wyjaśnienie sytuacji.

— Niemcy na dworcu? — spytałem zdziwiony, niebardzo dowierzając tej niemilej wiadomości. — To czemuż nie ma ich tu z Panem?

— Niema, ale wkrótce będą! — burknął Ukrajiniec.

Wróciłem do pokoju, by zakomunikować tę przykrą nowinę.

— Już na dworcu? — mruknął niedowierzająco bolszewik. — Łże sobaka! Zajęli Równo, ale niema ich jeszcze w Szepietówce. W głosie jego jednak nie było pewności.

A nawet jeśli są już na dworcu, to niema ich tu —

pocieszał się komisarz. Powiedźcie temu zdrajcy, niech idzie do Niemców i razem z nimi wraca, a ja mu, tej swoloczy, dobrowolnie nie ustąpię. A jeśli tu wejdzie, to obiję go po mordzie i wyrzucę! — warknął wściekły.

Podobała mi się ta zawziętość i chęć trwania na posterunku do ostatniej chwili. Jednocześnie i we mnie wybuchła nagle wściekłość na tego bubka, który jak szczur wylazł z dziury i grozi nienawistnymi Niemcami.

— Macie rację, Towarzyszu, — powiem mu to wszystko. Wyszedłem znowu na balkon.

— Słuchajcie no Komisarzu! — zwróciłem się do ukraińca — komisarz bolszewicki mówi, że żadnych Niemców na dworcu niema, a jeśli nawet są, to niema ich jeszcze w mieście, więc radzi Wam iść szukać waszych Niemców i razem z nimi tu wrócić. Jeśli zaś teraz wejdziecie do lokalu, to mówi, że Was obije po mordzie i za drzwi wyrzuci. Radzę więc Wam, lepiej idźcie stąd i nie róbcie awantury, bo źle się może to dla Was skończyć.

Ukraińiec wyczuł w moim głosie, że jeśli dojdzie do awantury to i odemnie oberwie. Spojrzał więc na mnie ze złością i zdziwieniem: moje cywilne warszawskie palto i czapka z rzekomej foki świadczyły wymownie, że nie jestem bolszewikiem, bo nie jestem godzien nosić szarego szynelu „towarzysza“ i komunisty. Prawdopodobnie i on również wziął mnie za handlarza, który przyszedł po przepustkę lub zaświadczenie.

— A kim Pan jest właściwie? — spytał, patrząc na mnie podejrzliwie.

— Jestem Komisarzem cywilnym polskich oddziałów wojskowych! — zaimprovizowałem na poczekaniu. — Jesteśmy neutralni w waszych sporach, ale Niemcami nas nie strasznie. Idźcie lepiej z Bogiem. Jak naprawdę przyjdą tu

niemcy, to napewno komisarza bolszewickiego już tu nie będzie.

— Dobrze, dobrze — pójde, ale niezadlugo wróce, a wtedy pokaże temu chruniowi moskiewskiemu.

Istotnie poszedł, burcząc pod nosem przekleństwa i groźby.

Wróciłem do pokoju. Misja moja parlamentarjusza została uwieńczona powodzeniem.

— Poszedł, Towarzyszu! — zakomunikowałem śmiejąc się. — Ale swoją drogą, jeśli to prawda, że niemcy blisko, to lepiej i Wam towarzyszu i mnie stąd zmiatać. Do widzenia. Jak przyjdzie komisarz płoskirowski — powiedzcie mu, że czekamy go w komendzie polskiej. Do widzenia, Towarzyszu!

Samotny, zawzięty komisarz pochmurnie w milczeniu uściskał mi dłoń.

Wyszedłem na ulicę. Powiew ciepłego, idącego od stepów wiosennego wiatru musnął mnie po twarzy. Było południe. Słońce z jasnego, błękitnego nieba słało nieprzebrane fale oślepiających, złocistych promieni. Powietrze, nasyczone słońcem, odurzało drażniącym, podniecającym zapachem wilgotnej ziemi, mokrych gnijących liści, parującego w podwórzach i ogrodach nawozu. Zdawało się, że słyhać głębokie westchnienie budzącej się z mocnego snu zimowego, żyznej ziemi ukraińskiej, słodko przeciągającej się pod pierwszemi pocałunkami kochanka-słońca.

— Wiosna idzie — śmiejąc się wesoło, mówiłem do siebie, nadstawiając twarz pod promienie.

Radość życia przyrody, śpiewającej swoją pieśń wiosenną, udzielała się coraz bardziej i mnie. Miljardy złocistych iskier słonecznych, drgających i wirujących w powietrzu, wielką, radosną falą wlewały się do mych piersi, zapępniały wszystkie komórki mej duszy, rozświetlając najbardziej ciemne zakamarki, wypędzając stamtąd smutek i troski.

Idąc ulicą tego obcego, nieznanego mi miasta, coraz weselej rozglądałem się wokół, ciesząc się, że jest słonecznie, ciepło, że jestem młody, silny i zdrowy, że jestem w tym dziwnym kraju, gdzie wszystko, jak te miljarde iskier słonecznych, wiruje i tańczy w zawrotnem tempie zmiennych wydarzeń.

Wydało mi się, że wszyscy tu gramy jakąś wesołą komedję, obchodzimy ni stąd ni zowąd huczny karnawał, w którym każdy z nas występuje w jakimś dziwacznym stroju, kogoś udając.

Śmiałem się wesoło do swych myśli, gdy przypomniałem sobie, jak wczoraj w bolszewickiem aucie ziemianin polski przyjacielsko gawędził z komisarzem sowieckim, tytułując go uprzejmie Wasilem Piotrowiczem. Stał mi przed oczyma generał Leśniewski w długim szynelu moskiewskim i w polskiej maciejówce na głowie. Taki smutek i bezgraniczne zmęczenie malowało się na jego twarzy. Z całej duszy pragnął gdzieś w cichym Żytomierzu prowadzić spokojny żywot emeryta, ciesząc się radością i wesołością swych dorastających córek, — tymczasem otrzymał rozkaz, niewiadomo poco, zająć miasto Starokonstantynów, a on już tyle przecież miast, podczas tej przekłêtej długiej wojny, zajmował i oddawał. Śmiał się do mnie jowialnie, wtórując mym myślom generał Michaelis — wódz armji polskiej z „Jerzym ze wstęgą“ na piersi.

Zawirowały przedemną postacie oficerów z jadalni hrabiowskiej w Antoninach. Dźwięczały mi w uszach ich śmiechy rubaszne, wesołe opowiadania o dobijanych pod łózkami i ławami chłopach.

W blasku słońca migotały ironiczne błyski w oczach lokajów hrabiowskich, którzy usługiwali ongi krewniakom cara, królów i cesarzy, książętom, hrabiom i potomkom hetmanów polskich. A dziś...

Stare fagasy! — śmiały się myśli moje — nawet wy gracie komedję, bo nie jesteście już hrabiowską służbą, jeno błakającemi się marami minionej przeszłości.

Jeszcze weselej zaśmiałem się, gdym przypomniał sobie dwóch mych komisarzy, pragnących wzajemnie siebie aresztować. Jakże śmiesznie i komicznie w blasku tego radosnego, wiosennego dnia wyglądali ci samotni przedstawiciele dwóch wielkich obozów, dwóch sprzecznych idei społecznych i na rodowych, w szczęku walk bratobójczych, przekleństw, nienawiści i oparów krwi, sięgających po rząd dusz ludu ukraińskiego. Jak śmieszny musiał być również i delegat obozu niepodległościowego Polski, „cywil“, wyglądający na handlarza bydłem, spełniający rolę medjatora i parlamentarjusza. Czyż to wszystko zaiste nie wesoły, opętany nicejski karnawał?

Tu bolszewicy — dziesiątki, a może setki tysięcy żołnierzy wczorajszej armji carskiej, dziś „towarzyszy“, od stóp do głowy uzbrojonych i stanowiących oporę władzy sowieckiej, będących „chlubą rewolucji“. Tam — garść polskich szaleńców, z minami beztroskich wagabundów, z wesołą, frywolną piosenką leguńską na ustach, maszeruje po rozmokłych drogach szerokich stepów ukraińskich.

Tu znowu, zagubiony polski oddział, który niewiadomo poco zajął to miasto, gdzie życie płynie swoim trybem, gdzie tuż pod boki Komendy Wojsk Polskich biorą się za czuby, jak koguty, komisarze dwóch walczących obozów, jednakowoż zgodnych w nienawiści do wojska „polskich panów“. Rozdziela ich i godzi zabłąkany pepesowiec, jak ten z bajki giermek uwięzionej królowny, daremnie szukający wojska polskiego, na którym zawisa cała nadzieja ratunku nieszczęsnego narodu, umęczzonego najazdem teutońskim.

Niema tego wojska, ale podobno kilka kilometrów stąd, jak z pod ziemi wyrosły zastępy tych teutonów, a przy ich

boku pono krocą w niebieskich żupanach, ukraińcy „siczowcy“, w pułki sformowani w niemiecko-austrjackich obozach dla jeńców rosyjskich.

Bolszewicka armja, legjoniści, niemieckie oddziały, ukraińscy siczowcy, oddziały „wojsk polskich“ — wszyscy razem, wszyscy pomieszani ze sobą. Nikt jednak z nikim nie bije się — tak szeroka, ogromna i bogata jest Ukraina, że dla wszystkich miejsca i żywności podostatkiem.

A może to naprawdę tylko karnawał! — śmieję się do siebie, rozkoszując się słońcem. — Być może wszystkie te wojska, to tylko wesołe bandy poprzebieranych, ucharakteryzowanych na wojenno, rozbawionych nicponiów, cieszących się jak i ja słońcem, pijanych odurzającym zapachem wilgotnej, tłustej gleby tego cudnego kraju.

Tak, życie jest piękne i rozkoszne. Warto jest żyć. Jak to dobrze, że jestem tu, że jak liść zielony porwany i niesiony jestem przez ten oszałamiający, huczący wir górskiego potoku, rwący pod naporem w wiosennym słońcu topniejących śniegów w górach.

Niechże ten cudny potok ludzkiego życia, wielkich dziejowych wypadków i przeobrażeń niesie i mnie, który jestem jak zagubiony w tym wirze liść ze starego, odwiecznego polskiego dębu.

Bo życie — gdy słońce tak radośnie świeci, gdy aromat budzącego się z zimowego snu rozkosznego ciała Ziemi tak upaja i odurza — jest nieskończenie piękne i nęcące...

XII

Komisarz płoskirowski odnalazł się dopiero po kilku godzinach. Twierdził, że szukał benzyny, miałem jednak podejrzenie, że był na dworcu, a może i dalej jeździł wzdłuż kolei, aby dowiedzieć się, gdzie są Niemcy. Na zapytanie bowiem moje w tej sprawie, zapewniał, że niema ich na dworcu stacji Starokonstantynów, natomiast twierdził, że sytuacja jest niewyjaśniona w Szepietówce.

Zarówno jednak kapitan Jakubowski jak i ja woleliśmy być dalej stąd, więc pilno nam było do wyjazdu. Wkrótce jechaliśmy już w kierunku Płoskirowa.

Siedząc znowu obok Komisarza rozgadałem się z nim, opowiadając o życiu w Polsce, o naszej sytuacji politycznej, o stosunku do Niemców i oczekiwaniach pokładanych na rewolucji rosyjskiej. Komisarz — prosty żołnierz, miał jednak wiele zdrowego sądu, był pełen energii i wiary w zwycięstwo rewolucji. Niemców nienawidził jako Rosjanin i jako rewolucjonista, widząc w Rzeszy Niemieckiej i w Habsburskiej monarchji, po upadku caratu, „największe fortece kapitalizmu i reakcji“. Był przekonany, że Lenin i rząd moskiewski podejmą nanowo wojnę z Niemcami. Snuliśmy plany wspólnej walki.

Tak minęła nam połowa drogi. Nagle zdaleka na szosie

ujrzałem jakieś dziwne stworzenia, ni to wielbłądy, ni to słonie, powoli posuwające się na nasze spotkanie.

— Co to takiego? — spytałem zdziwiony, wskazując na dziwolągi.

Komisarz, który siedział pośrodku, wyrzwał i po chwili rzekł z pewnem zakłopotaniem:

— A — to nasi z Płoskirowa.

— Jacy nasi? — pytam, nic nie rozumiejąc.

— To pancerki — odpowiada Komisarz.

Każę szoferowi zatrzymać auto, wysiada i idzie szybkim krokiem na spotkanie zbliżających się powoli potworów.

Wkrótce zorjentowałem się, że były to dwa wielkie pancerne auta. Komisarz stanął pośrodku drogi i zaczął dawać znaki, aby auta zatrzymały się. Gdy to uczyniły i gdy z wnętrza wyrzeli uzbrojeni żołnierze, zbliżył się do pierwszego auta i zaczął coś mówić.

Po chwili wrócił do nas i ruszyliśmy dalej.

— Dokąd jadą te pancerki? — spytałem zaniepokojony, widząc ten sam niepokój na twarzy kapitana Jakubowskiego.

Jasne było, że zmierzały w kierunku Starokonstantynowa. A więc gdzież nasza umowa o rozejmie?

— Zaraz zawrócę zpowrotem — odpowiada zakłopotany komisarz, — bo one wyruszyły tak, na wszelki wypadek, gdyż prosiłem wyjeżdżając z Płoskirowa, że jeśli nie wrócę do trzeciej południu, to znaczy jestem aresztowany, niech więc idą mnie wyzwalać. Ale teraz powiedziałem im, że polacy siedzą spokojnie i kazałem zawrócić zpowrotem.

Obejrzałem się. Istotnie pancerki w tej właśnie chwili zataczały koło i po chwili jechały wślad za nami.

— Jak Wam nie wstyd, Towarzyszu Komisarzu, — nie mogłem powstrzymać się od wyrzutu — nie ufać naszemu słowu honoru! Tembardziej, że jeśli wracamy tak późno, to z Waszej winy.

Muszkiet-Królikowski i kapitan Jakubowski również nie ukrywali swego oburzenia.

Komisarz miał wyraźnie zawstydzoną minę i nie wiedział co mówić.

— Ja ufałem. Tylko tak... na wszelki wypadek, bo nie wiedziałem, czy wróćcie z Antonin. Strzeżonego Pan Bóg strzeże — tłumaczył się zakłopotany.

Uprzejmy i układny p. Skibiniewski zmienił temat rozmowy, zlekka usprawiedliwiając komisarza.

— Jak to łatwo komedja może się stać tragedją — myślałem.

Gdyby komisarz jeszcze jedną godzinę zwlekl, kto wie czy w tej chwili Starokonstantynów nie byłby bombardowany przez pancerki.

Zajście z pancerkami miało jednak ten skutek, że jeszcze bardziej życzliwie usposobiło komisarza w stosunku do nas, gdyż nasze szczere oburzenie na jego nieufność ostatecznie przekonało go, że jesteśmy ludźmi, którym ufać można i należy. Wyraźnie chciał załagodzić ten incydent. Skorzystałem z tego i zwróciłem się do niego z prośbą w imieniu Pogotowia Bojowego P. P. S., aby dał mi pewną ilość dynamitu i granatów ręcznych, które następnie przetransportuję do Warszawy. Komisarz chętnie się na to zgodził, proponując, aby odrazu zajechać do Sztabu Rewkomu, gdzie zapozna mnie z komisarzem, który następnego dnia wyda mi ze składów te przedmioty.

Wkrótce byliśmy już w Płoskirowie. Odwieźliśmy p. Skibiniewskiego, który serdecznie pożegnał komisarza, zupełnie szczerze i słusznie dziękując mu w imieniu ludności polskiej za poniesione trudy i za zlikwidowanie konfliktu. Następnie pojechaliśmy do siedziby Sztabu Rewkomu. Mieścił się w ogromnym budynku. Szliśmy przez kilka źle oświetlonych i zaśmieconych sal, w których pełno było żołnierzy

i żydów płoskirowskich. Trafiliśmy wreszcie do sali, gdzie ujrzeliśmy większe grono osób otaczających okrągły stół i pochylonych nad nim. Podeszliśmy bliżej. Na stole leżała wielka mapa wojskowa, po której wodził palcem jakiś ubrany w skórzaną kurtkę wojskowy, ogromnego wzrostu, chudy, z rozwichrzoną i kędzierzawą, czarną czupryną.

— Tak, jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron, musimy ewakuować Płoskirów niezwłocznie — mówił olbrzym, wskazując palcem różne punkty na mapie.

— O co chodzi? — spytał nasz Komisarz, przeciskając się do stołu.

— Jesteśmy otoczeni, Towarzyszu — powtórzył tym samym kategorycznym tonem olbrzym. — Otrzymaliśmy wiadomość, że wojska austriackie dziś na całym froncie ruszyły naprzód, zajęły Kamieniec Podolski, Wołoczyska, Mohylów, i że jutro będą w Płoskirowie. Niemcy zajęli Równe, a może już Szepietówkę. Pozostaje jedyna jeszcze i wolna droga na Żmerynkę i Kijów, póki nie odetną nas od strony Mohylowa. Dziś jeszcze w nocy musimy opuścić miasto.

Z przerażeniem słuchałem tych wywodów, gdyż pomyślałem natychmiast o niebezpieczeństwie, które groziło II Brygadzie.

— Jak to! cofać się? — zawołałem — i to tak bez walki? Czyż jest rzeczą możliwą, że Kamieniec zajęty? Toż byłem tam i widziałem tyle wojska, byłem na mityngu, gdzie żołnierze obiecali bić się.

— Obiecali! — odezwał się jeden z obecnych, uśmiechając się smutno. — A wiali sobacze syny, jak stado baranów, na sam widok pierwszych patroli austriackich, pozostawiając wszystko — nietylko artylerję i amunicję, ale nawet swoje karabiny — jak gdyby takie, owakie syny nigdy tych austriaków nietylko nie tłukli, ale nawet na oczy nie

widzieli. Cała bieda polega właśnie na tem, że nie chcą bić się: mają dość już wojny — zakończył smutnie.

— Dobrze — odpowiedziałem — nie chcą bić się starzy żołnierze, zmęczeni wojną, ale tyle jest młodzieży w wojsku, tylu ideowych towarzyszy: można stworzyć ochotnicze oddziały.

— Co? — ochotnicze oddziały? — krzyknęła podniesionym głosem młoda żydóweczka, której z pod zsuniętego z czoła kapelusza wysunęły się rozwichrzone krucze loki.

Spojrzałem na nią. Była jedyną kobietą w tem gronie. Z zachowania się zebranych widać było, że w tem towarzystwie prostych żołnierzy odgrywa pewną rolę, że liczone się z jej zdaniem.

— Ochotnicze oddziały! — wykrzykiwała nerwowo — nic nie robią i pójdą sobie, a wojska austriackie przyjdą i zaczną aresztować, urządzać pogromy żydów, wieszając podejrzanych o komunizm, tak jak wieszają i robią pogromy w Starokonstantynowie polskie oddziały.

— Co za głupstwa opowiadacie! — zawołał ze złością Królikowski. To kłamstwo i oszczerstwo. Właśnie stamtąd wracamy i nikomu polacy żadnej krzywdy nie zrobili. Spytajcie Towarzysza — wskazał na komisarza, który jeździł z nami do Starokonstantynowa.

— Nie wieszają, to będą wieszać. A ja nie chcę żeby mnie powieszono, wolę sama wieszać! — z pasją w najwyższym podnieceniu krzyczała żydówka.

Oczy jej pałały złym ogniem nienawiści i rozpacz.

— Ach ty wiédźmo jedna! — pomyślałem ze złością — wartoby było naprawdę ciebie powiesić.

— Ależ, Towarzyszek, — mówiłem tymczasem spokojnie, nie mogąc jednak powstrzymać ironicznego uśmiechu, — uspokójcie się: nikt nie zamierza Was wieszać, nikomu na waszej śmierci nie zależy.

Tymczasem dryblas-brunet nadal wskazywał palcem różne punkty na mapie: widocznie pełnił w tem towarzystwie funkcje szefa sztabu.

— Tak, jesteście otoczeni — wciąż powtarzał, wskazując palcem poszczególne miasta i stacje kolejowe.

— Istotnie, Towarzyszu, — zauważył kapitan Jakubowski — koleje są zajęte przez austriaków i Niemców, ale widać z tego, że nie idą całym frontem, lecz zajmują tylko poszczególne miasta, leżące przy torach kolejowych, posuwając się wzdłuż linii kolejowych. Uciekać jest gdzie — a przede wszystkim można cofać się szosami, które są wolne. Nie należy tylko śpieszyć się, trzeba spróbować bronić miasta, gdzie tyle jest zapasów broni, amunicji, składów intendencji. Można więc powoli to wszystko ewakuować koleją, a samym — w razie przegranej — cofać się w głąb kraju pomiędzy linjami kolejowymi.

— Bronić miasta? — rozległo się kilka głosów. — Ale kto będzie bronić? Tu towarzysze tak samo jak w Kamieńcu nie chcą słyszeć o walce. Pójdźcie na dworzec i zobaczcie, co się tam dzieje. Tam szturmem biorą pociągi i wagony, a szosa do Latyczowa jest tak zapchana taborami, że nie można przejechać. Gdzie tu bronić miasta! W tej chwili chodzi tylko o to, czy Rewkom VII armji ma się już dziś w nocy ewakuować, czy jutro rano — tłumaczono nam chórem.

Zrozumieliśmy, że sprawa jest beznadziejna i zaprzestaliśmy sporu. Chciałem przynajmniej wydostać obiecany dynamit i granaty ręczne — zbliżyłem się więc do znajomego komisarza i przypomniałem mu jego przyrzeczenie. Biedak, był wyraźnie zgnębiony.

— Tak, pamiętam. — Ale widzicie sami, Towarzyszu, co się tu dzieje. Przyjdźcie jutro z rana. Utro wieczera mudriemieje!*) — zakończył ze smutnym uśmiechem na swej

*) Ranek mądrzejszy aniżeli wieczór!

szczerej i dobrej twarzy, ściskając mocno nasze dłonie na pożegnanie.

Wyszliśmy na ulicę. Kapitan Jakubowski był milczący i przygnębiony. Nic dziwnego — myślami był ze swoją Brygadą, której sytuacja w tych warunkach stawała się groźną. Królikowski niespokojnie rozglądał się po ulicy.

— Muszę śpieszyć się do Komendy Milicji i zarządzić nocne pogotowie, — zwrócił się do nas — bo w nocy mogą rozpocząć się grabieże. Widzicie, co się dzieje.

Istotnie, w mieście panowało z minuty na minutę rosnące podniecenie. Jak opętani cwałowali na koniach pojedynczy kozacy, turkotały koła wozów, długim sznurem ciągnących ku szosie latyczowskiej. Obok wozów tych szły gromady żołnierzy, szybkim lecz miarowym krokiem ludzi, którzy już się otrzaskali z długimi marszami za taborami wojskowymi. Kupcy żydowscy pośpiesznie zamykali sklepy. Życie w mieście przyczajało się, gdyż ludność czuła, że stoi w obliczu wielkich zmian.

Na widok tego wszystkiego nagle ogarnęła mnie wściekłość.

— Niech diabli wezmą taką sytuację! — wybuchnąłem. — Tam Niemcy, tu Austriacy, a ta banda wieje, jak oszalała ze strachu. I zacząłem kląć po rosyjsku najgorszymi słowami, jakie tylko zna tak przedziwnie bogaty i obfity słownik przekleństw tego narodu. Świadczyło to najwymowniej, że byłem wściekły.

XIII

Najajutrz wczesnym rankiem urządziłem naradę z kapitanem Jakubowskim i Muszkietem-Królikowskim. Ten ostatni stwierdził, że wczorajsze wiadomości były prawdziwe, bowiem austriacy przekroczyli granicę i powoli posuwają się naprzód, unikając jednak wejścia w styczność z wojskami rosyjskimi i ułatwiając im ucieczkę, która rzeczywiście odbywa się w ogromnej panice. Taktyka taka była zrozumiałą. Austriakom nie zależało na jeńcach, lecz na sprzęcie wojskowym, składach i żywności — a to wszystko uciekające oddziały pozostawiały na miejscu, nie usiłując nawet niszczyć.

Byliśmy całkowicie odcięci od szerokiego świata: żadne depesze, ani gazety nie dochodziły. Trudno było zrozumieć, o co chodzi państwow centralnym. Być może chciały okupować tereny przyfrontowe, aby w ten sposób rozkładającą się armję rosyjską odsunąć dalej od swych granic i bez żadnego wysiłku ostatecznie ją zniszczyć, zdobywając jednocześnie ogromne zapasy sprzętu wojennego. Być może jednak, że wojska austriackie szły na życzenie Centralnej Rady Ukrainskiej, aby dopomóc jej obalić władzę sowiecką na Ukrainie i oczyścić ją z wojsk czerwonych. Mało jednak prawdopodobne wydawało się nam, aby państwa centralne odważyły się zaryzykować objęcie okupacją ogromnych obszarów

Ukrainy, co wymagałoby unieruchomienia wielkiej ilości wojska, tak potrzebnego na froncie zachodnim i włoskim.

Być może, była to tylko wojskowa demonstracja, mająca na celu zmuszenie rządu sowieckiego do zawarcia formalnego pokoju. Wszystko to jednak były tylko nasze domysły. Natomiast faktem było, że austriacy lada moment zajmą Płoskirów. Królikowski na podstawie otrzymanych skądś wiadomości, twierdził kategorycznie, że Płoskirów będzie zajęty dopiero następnego dnia zrana, gdy już wszyscy bolszewicy zdążą spokojnie uciec.

Kapitan Jakubowski zauważył, że może istotnie austriacy unikają spotkania z wojskami rosyjskimi — ale właśnie ta paniczna, bezmyślna ucieczka stwarza dla II Brygady bardzo niebezpieczną sytuację, gdyż napewno austriacy będą chcieli otoczyć ją i zmusić do poddania się, aby następnie ukarać za bunt i przejście na stronę nieprzyjaciela. Prawdopodobnie II Brygada szczęśliwie wydobędzie się z tej matni, ale w każdym razie w tych warunkach kapitan Jakubowski uważał, że honor żołnierski nakazuje mu w takiej chwili być razem ze swymi kolegami, i dlatego wspólnie z porucznikiem Roganowiczem dziś jeszcze wyjadą zpowrotem do II Brygady. Trudno było nie przyznać mu racji.

Muszkiet-Królikowski był komendantem Milicji — zbliżały się tedy dla niego poważne chwile, gdyż musiał zapewnić miastu porządek i bezpieczeństwo. Pozostałem więc sam.

Rozumiałem dobrze, że muszę jaknajprędzej opuścić Płoskirów, gdyż inaczej cała moja wyprawa traciła wszelki sens, nie mówiąc już o tem, że niemożliwą było rzeczą, bym w tak małym mieście, jak Płoskirów, mógł ukryć się od austriaków, którzy napewno dowiedzieliby się szybko o moim pobycie i o celu, w jakim tu przyjechałem. Na zapytanie moich kolegów, co mam zamiar robić, wyłuszczyłem swój plan.

Do II Brygady nie miałem po co jechać. Chodziło nam bowiem o stworzenie w Rosji rewolucyjnej armji polskiej, zdolnej do walki z Niemcami. II Brygada znalazła się w tej chwili w sytuacji tak krytycznej, że zdawało się rzeczą wątpliwą, czy uda się jej wydostać z tej matni austriackiej. Jeśli jednak II Brygada zdoła wyjść z opresji obronną ręką i przedostanie się poza sferę okupacji wojskowej państw centralnych, to należy na terenie tym, przygotować grunt dla jej dalszej egzystencji. To było właśnie mojem zadaniem. Należało więc jechać do Kijowa, jak było poprzednio ustalone, a następnie do Moskwy, w razie potrzeby nawet dalej — słowem tam, gdzie już nie będzie ani Niemców, ani Austriaków, a gdzie zacznie powstawać siła zbrojna Sowietów, która będzie zdolna podjąć prawdziwą walkę z wojskami państw centralnych. Tam powinna organizować się i polska armja.

Wierzyłem, że tak będzie. Wiedziałem, że pochód wojsk austro-niemieckich musi wcześniej, czy później zatrzymać się. Sądziłem, że pójdą najdalej do Dniepru, gdyż było rzeczą jasną, że nie mogą okupować całej Rosji, nawet europejskiej, nie mówiąc już o Syberji.

Z drugiej znowu strony byłem przekonany, że Sowiety nie zawrą pokoju z Niemcami. Było sprzeczne z ich ideologją, z naczelnem hasłem rewolucji socjalnej, zawarcie pokoju z najbardziej reakcyjnymi państwami Europy. W ten sposób dopomagaliby istotnie tym państwom, naprawdę imperjalistycznym, w ich walce z demokratyczną Francją i liberalną Anglją. Byłem przekonany, że w głębi Rosji tworzą bolszewicy świeże oddziały, które zastąpią zdemoralizowane, zmęczone wojska z dawnego frontu, i które wkrótce podejmą nanowo regularną wojnę z państwami centralnemi. Gotów byłem przypuścić, że bolszewicy świadomie, jak ongi było z Napoleonem, wciągają wojska niemiecko-austriackie wgłąb kraju, aby następnie łatwiej przejść do kontrofensywy. Wie-

rzylem, że w tych warunkach pomoc polska powinna być chętnie przyjęta, jako współdziałanie tych, którzy chcą tworzyć istotnie rewolucyjną armję polską, nie pod znakiem obrony majątków polskich obszarników, lub „neutralnego“ przetrwania w bezczynności do chwili powrotu do kraju, ale w imię czynnej walki z Niemcami i Austriakami.

Nie wierzyłem wówczas w możliwość rewolucji w Niemczech, lecz byłem pewny — po tem co widziałem przed wyjazdem w Galicji — rewolucji i rozpadnięcia się Austro-Węgierskiej Monarchji. Trzeba było tylko przetrwać do tego czasu.

Z relacji Skrzyńskiego w Antoninach wiedziałem, że koalicja działa jeszcze na terenie Rosji, że jej poselstwa są w Moskwie i że czynią wszystko, aby rząd Lenina i Trockiego nie zawarł pokoju z Niemcami. Domyślałem się również z jego słów, że koalicja da pieniądze na tworzenie armji polskiej w Rosji, tembardziej, że dawała już na istniejące polskie formacje wojskowe. Należało więc tylko przekonać bolszewików o szczerości naszych intencji oraz uzyskać ich zgodę na formowanie armji polskiej w głębi Rosji. Po zawarciu odpowiedniego układu, moglibyśmy ściągnąć na ten teren oddziały I Korpusu i, daj Boże, II Brygadę, po wydostaniu się jej z matni, w której teraz się znalazła. Byłyby to kadry. Materiału zaś ludzkiego z pośród żołnierzy, polaków z armji rosyjskiej, oraz uchodźców i jeńców polaków było pod dostatkiem. Chodziło więc przede wszystkim o zgodę bolszewików na tworzenie armji, potem zaś o wynalezienie terenu, porozumienie się z koalicją w sprawie finansowania i — co najważniejsza — stworzenie zdrowych kadrów organizacyjnych tej armji.

— Zdrada generała Dowbór-Muśnickiego miała tę dobrą stronę — mówiłem — że razem z nim odpadną wszystkie żywioły chwiejne i obojętne, zaś za Dniepr pójdą żywioły zde-

cydowane i chętne do walki, które wspólnie z II Brygadą stworzą doskonale kadry.

Kapitan Jakubowski i Muszkiet-Królikowski całkowicie podzielili moje poglądy.

Rozumowania nasze były logiczne — i dlatego właśnie okazały się myłne.

Wszystko mogłem przypuścić, ale nie to, że Lenin zdecyduje się na zawarcie hańbiącego pokoju z Niemcami, i co gorsza, że lojalnie będzie go wykonywać, ratując w ten sposób „regime“ sowiecki. Również gorzko zawiodłem się, wierząc Skrzyńskiemu, że ugoda generała Dowbór-Muśnickiego z Niemcami skończy się jego obaleniem i przyjściem do władzy i dowództwa ludzi zdecydowanych na prowadzenie walki. Lecz w chwili, gdy referowałem mój plan, tego wszystkiego nie wiedziałem, i gdyby ktokolwiek przypuszczał którąkolwiek z tych możliwości — wyśmiałbym go, jako prawiącego niedorzeczności.

Muszkiet-Królikowski poszedł szukać wozu, którym kapitan Jakubowski mógłby wyjechać z Płoskirowa, ja zaś postanowiłem skierować się do Rewkomu, aby za pośrednictwem komisarza wydostać przyrzeczony dynamit, który miałem oddać Królikowskiemu. Pozatem sądziłem, że uda mi się tak pokierować sprawą, aby komisarz wyjeżdżając z Płoskirowa, zabrał mnie ze sobą. Udałem się więc do lokalu Rewkomu. Wszedłem tam tylko poto, aby przejść się po pustych salach, w których nie było żywej duszy. Nielad, poprzewracane krzesła, porozrzucane papiery na biurkach — wszystko świadczyło o popłochu, w jakim opuszczano lokal. Wściekły wracałem do domu, namyślając się co mam dalej czynić i w jaki sposób wydostać się z miasta. Zbliżając się do domu, gdzie mieszkalem, ujrzałem przed bramą bryczkę, z której wysiadali Barta i Konstanty Skrzyński.

Ogromnie ucieszyłem się na widok Barty. Okazało się,

że przyjechał do Antonin w kilka godzin po naszym wyjeździe. Tam dowiedział się, że jestem w Płoskirowie, po przenocowaniu więc w Antoninach przyjechał tutaj. Skrzyński uważał zupełnie słusznie za wskazane przyłączyć się do niego, aby nie stracić nas z oczu i aby ułatwić skomunikowanie się z nami Rady Międzypartyjnej. Rozumiał on bowiem dobrze, że przyjazd nasz wzmocni sytuację tej organizacji, gdyż — w tym momencie nasze stanowiska polityczne całkowicie się pokrywały.

Opowiedziałem Barcie, jak wygląda sytuacja, oraz zakomunikowałem o swojej decyzji wyjazdu do Kijowa i o całym dalszym planie działania. Całkowicie podzielił mój pogląd i zdecydowaliśmy tegoż wieczora wyjechać, tembardziej, że Barta, jako oficer austriacki, nie miał ochoty spotkać się ze „swoją“ armją.

Gdy zakomunikowałem Skrzyńskiemu o naszej decyzji, oświadczył, że i on jedzie do Kijowa i zaproponował, abyśmy pojechali razem. Chętnie na to przystaliśmy, gdyż na rękę nam było, aby jechał z nami człowiek, który — jako urodzony i wychowany na Ukrainie — doskonale znał stosunki i kraj, a który pozatem po przyjeździe do Kijowa ułatwiłby nam nawiązanie kontaktu z polskimi organizacjami politycznymi.

Skrzyński przyrzekł zająć się sprawą naszego wyjazdu. Po pewnym czasie wrócił i oświadczył, że o wyjeździe kolejną niema mowy, gdyż pociągi nie chodzą, bowiem cofające się wojska zabrały ze stacji wszystkie lokomotywy, Wołoczyska zaś są już w posiadaniu austriaków, więc pociągi stamtąd nie przychodzą; zresztą, jeśli gdzie możemy się natknąć na austriaków, to przedewszystkiem na kolei, gdyż posuwają się wyłącznie wzdłuż toru. Należy więc jechać furmanką, ale że nikt nie chce jechać na noc, obawiając się rabunku uciekających żołnierzy — wobec tego z wielkim trudem i za duże pie-

niądze wynajął wóz na następny dzień rano. Nie było innej rady: trzeba było czekać do rana.

Popołudniu poszedłem pożegnać się z kapitanem Jakubowskim i porucznikiem Roganowiczem, którym Muszkiet-Królikowski wydostał konia z bryczką na własność. Razem z nimi pakował się jakiś jegomość. Okazało się, że był to podporucznik Bartak — również oficer II Brygady, który swego czasu dostał się do niewoli rosyjskiej. Po rewolucji wydostał się z obozu jeńców i zadekował się w Płoskirowie, jako nauczyciel polskiego gimnazjum. Obecnie dowiedziawszy się o przejściu II Brygady i o pobycie kolegów w Płoskirowie przyłączył się do nich, aby — jak przystało na prawdziwego polskiego żołnierza — wrócić do swego pułku, który znalazł się w takiej opresji.

Pożegnałem się tedy z nimi wszystkimi, prosząc o możliwie szybkie nawiązanie kontaktu z Kijowem i o stałe nadysyłanie wiadomości o sytuacji II Brygady. Ze swej strony prosiłem o zakomunikowanie brygadjerowi Hallerowi, że będę informować go o przebiegu naszych z Bartą poczynąń.

Do wieczora austriacy miasta nie zajęli. Jasną było rzeczą, że w nocy tego nie uczynią, mogliśmy przeto spokojnie położyć się spać, — zresztą Królikowski miał nas w razie czego uprzedzić.

Wczesnym rankiem Skrzyński przyjechał po nas wynajętym wozem. Nie był sam: razem z nim był p. Opiola, który jako oficer austriacki, nie chciał wracać do szeregów swej armji, i wobec tego zdecydował się jechać z nami; drugim towarzyszem był p. Kuszal, inspektor szkół Macierzy Szkolnej, który również wracał do Kijowa. Wszyscy ubrani byli w szynale rosyjskie — nie wyłączając Barty, który zaraz po przejściu frontu kupił go sobie. Robiono mi wyrzuty, że zaniedbałem zaopatrzyć się w ten strój, ale odpowiedziałem, krótko, że nie chcę tej maskarady, nie przyznając się wcale:

do przyrzeczenia, które dałem sobie, gdym jechał z ziemianinem z Wiśniowca, a które wydałoby się moim współtowarzyszom wręcz niepoważnem w tych okolicznościach. W głębi duszy przyznawałem im rację — gdyż dotychczasowy pobyt w Rosji przekonał mnie już, jak dalece cywilne ubranie utrudnia swobodę ruchów, tem nie mniej jednak wewnętrzny opór nieopatrznie danego sobie słowa był silniejszy, aniżeli względy praktyczne.

Dom Derewojedów stał przy głównej, szerokiej ulicy, ciągnącej się przez całą długość miasta i znajdował się mniej więcej w środkowej jej części. Gdy wóz ruszył w kierunku drogi prowadzącej do Latyczowa, na przeciwległym końcu ulicy — od strony Wołoczysk — pokazał się konny patrol austriacki, powoli i ostrożnie posuwający się naprzód wśród milczących i zamarłych domów przyczajonego miasta. Skręciliśmy w boczną ulicę i wkrótce byliśmy już na szosie prowadzącej do Latyczowa.

Dzień był ciepły, lecz pochmurny. Zaczął padać deszcz. Droga stawała się coraz bardziej błotnista. Konie z trudem ciągnęły ciężki, wielki wóz.

Dopędziliśmy niebawem wojskowe treny, które ciągnęły dwoma rzędami, zajmując całą szerokość szosy. Nie było mowy o wyminięciu, bo cała droga na kilometr, albo i więcej, była zapchana cofającemi się trenami. Niepozostawało nic innego, jak tylko przyłączyć się do dopędzonego taboru i zastosować się do jego szybkości. Aby ulżyć koniom, szliśmy przeważnie pieszo, gawędząc z żołnierzami.

W pewnej jednak wsi, woźnica oświadczył nam, że droga jest zbyt błotnista i ciężka, że dalej nie może z nami jechać i że stanowczo chce wracać do Płoskirowa. Żadne nasze perswazje, żadne obietnice podniesienia zapłaty, nie wywierały nań najmniejszego wrażenia.

Z decyzji woźnicy skorzystał p. Opiola, który oświad-

czył, że mając żonę we Lwowie, nie chce oddalać się od kraju i wobec tego również wraca do Płoskirowa. Dla mnie z Bartą było rzeczą obojętną, co robi ze sobą p. Opiola, Skrzyński jednak, zgorszony nieco tą decyzją, próbował wpłynąć na niego, lecz ostatecznie machnął ręką.

Trzeba było jednak pomyśleć o wynalezieniu koni do dalszej drogi. Nie pamiętam już, komu z nas przyszedł pomysł zwrócenia się do żołnierzy z trenów, aby zabrali nas ze sobą. Żołnierze przystali na to odrazu, wyrażając jednocześnie chęć wypicia z nami samogonu, co naturalnie chętnie zaprobowaliśmy, zapraszając ich na poczęstunek do jakiejś chałupy, gdzie można było ten szlachetny trunek nabyć i wypić. Zasiedliśmy w chałupie dookoła stołu, na którym znalazła się wielka butla mętnego samogonu i kilka małych szklaneczek. Byłem tak zziębnięty, że z przyjemnością wyciągnąłem rękę po szklaneczkę, gdy przyszła kolej na mnie, i jednym łykiem wlałem w siebie trunek. Za chwilę poczułem, iż jako żyję — nigdy jeszcze nie miałem w ustach czegoś bardziej wstrętnego i cuchnącego. Żołnierze natomiast, gospodarz chałupy i jego żona pili to paskudztwo z ogromnem zadowoleniem.

Wreszcie ruszyliśmy dalej, pozostawiając p. Opiolę z naszym woźnicą. Po pewnym czasie ujrzelśmy, niedaleko od szosy, duży — sądząc z zabudowań — majątek.

Działo się tam coś niesamowitego. Dochodziły stamtąd ludzkie krzyki, przeraźliwe jęki i ryki, rzenie koni. Z głębi ogromnego podwórza otoczonego szeregiem zabudowań, unosiły się w powietrzu gęste kłęby dymu. Kilkunastu żołnierzy z taboru, z którym jechaliśmy, pobiegło tam. Po pewnym czasie wrócili podnieceni i roześmiani.

— Co się tam stało? — pytano ich.

— A no nic — to tylko chłopci z sąsiedniej wsi podpala-
ją ogromną stajnię z zamkniętymi końmi, i czekają zanim
konie się spalą.

— Jak to? Poco palą te konie? — spytałem zdumiony.

— A no, mówią, że hrabia miał te konie do zabawy, nie są one zdadne do roboty w polu, więc chłopci postanowili je spalić.

Nic nie rozumiałem. Dopiero Skrzyński przypomniał, że majątek ten należał do hr. Tolla, który posiadał tu stadninę rasowych koni. Barbarzyński, oburzający wybryk chłopów, wcale Skrzyńskiego nie dziwił, gdyż — jak twierdził — na porządku dziennym było, że chłopci wyrąbывali w pień stare, ogromne parki, równali z ziemią oranżerie, plantacje nasion buraczanych, burzyli cukrownie i gorzelnie — słowem wszystko, czego nie mogli podzielić między siebie. Jednocześnie temu niszczeniu przyświecała myśl, że im bardziej majątek będzie zniszczony, tem mniejszą będzie miał właściciel ochotę wracać. „Trzeba tak niszczyć, aby pisklęta nie mogły później znaleźć nawet miejsca, gdzie było ich gniazdo“ — taką maksymą kierowało się chłopstwo w tem tak swoiście pojętem realizowaniu reformy agrarnej.

Ruszyliśmy dalej, a jeszcze długo dochodziły do nas rozpaczliwe, straszne rżenia nieszczęśliwych zwierząt. Żołnierze śmiali się, dzieląc się wrażeniami, wyraźnie aprobując pomysłowość chłopów w likwidowaniu pańskich zachcianek i zbytków.

Przebywanie w towarzystwie tych dzikusów, stawało się coraz większą męką: budziło wstręt. Gdy dowlekliśmy się do Międzyboża, pożegnaliśmy ich godząc się raczej ze stratą kilku godzin na poszukiwanie koni, aniżeli z pozostawaniem w tem towarzystwie przez dłuższy czas. Szczęśliwie jednak udało się nam szybko wynająć żydowską balagulę.

Droga do Latyczowa również była błotnista i zaniedbana a na bryczce było nas z woźnicą pięciu, nic więc dziwnego, że wlekliśmy się bardzo wolno i do Latyczowa przyjechaliśmy dopiero przed wieczorem.

Latyczów zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie. Ładny renesansowy kościół, oraz liczne domy z charakterystycznymi kolumnami w stylu polskiego neoklasycyzmu z początku XIX stulecia nadawały miasteczku specjalne piętno polskiej kultury i nasuwały porównanie z uroczym Krzemieńcem. Nawet żydowski hotel, w którym zatrzymaliśmy się, mieścił się w takim domku polskim z ładnymi kolumnienkami. Byliśmy brudni, zmęczeni i głodni, postanowiliśmy więc przenocować w Latyczowie, tembardziej, że właściciel hotelu gorliwie się nami zaopiekował, z dumą nadmieniając, iż w jego hotelu zatrzymywało się zawsze okoliczne ziemiaństwo.

Na drugi dzień zaczęło się poszukiwanie koni. Ciężko z tem było, gdyż w tych niespokojnych czasach, nie wielu było amatorów do jazdy.

Wreszcie udało się nam wynająć bryczkę parokonną i ruszyliśmy do Lityna. Szkapę ledwie ciągnęły po fatalnej drodze, więc przeważnie szliśmy pieszo, tem chętniej, że zrobiło się ładnie i ciepło. Czas upływał nam na wzajemnem opowiadaniu i informowaniu o sytuacji zarówno w kraju, jak i w Rosji. Opowiadania Skrzyńskiego całkowicie potwierdzały nasze przypuszczenia: żadnej armji polskiej na Ukrainie nie było, były luźne oddziały, pilnujące dworów. I-szy Korpus dał się wciągnąć do walk z bolszewikami, zupełnie bezcelowych, a które w konsekwencji doprowadziły go do przejścia na stronę Niemców. II-gi Korpus w Sorokach był dopiero w stadium organizacji. Demokracja polska na emigracji odniosła się do idei tworzenia armji negatywnie, zaś Rada Międzypartyjna, nie mając ani wpływów należytych w Rządzie Tymczasowym, ani odpowiednich ludzi, oddała sprawę w ręce starych generałów carskich, bardzo mało liczących się z opinią polityków. Z opowiadań Skrzyńskiego było jasnem, że gdyby należycie wzięto się do tej sprawy od początku rewolucji, jeszcze przy Rządzie Tymczasowym, to zapewne udałoby się

stworzenie silnej, dobrze zorganizowanej i bogato wyposażonej w sprzęt wojenny armji.

Do Lityna dobrnęliśmy wieczorem. W miasteczku panował stan podniecenia, gdyż przyszły wiadomości, że w Winnicy toczy się walka pomiędzy bolszewikami i ukraińcami, i że miasto jest bombardowane. W tych warunkach nie było mowy, aby znalazł się chętny pojechać tam z nami na noc. Musieliśmy więc zanocować. Podczas nocy jednak przyszły uspokajające wiadomości z Winnicy i rano mogliśmy już wynająć wygodny powóz z parą dobrych koni. W godzinach popołudniowych byliśmy w Winnicy, którą zarówno Skrzyński jak i Kuszel dobrze znali, i czuli się już u siebie, gdy jechaliśmy spadzistemi, ładnymi ulicami malowniczego miasta do hotelu „Savoy“, gdzie zatrzymywali się wszyscy polacy. Istotnie „Savoy“ był przepelniony — wszędzie rozlegała się polska mowa.

Po chwili dowiedzieliśmy się hiobowej dla nas wieści: Kijów dwa dni temu został zajęty przez wojska niemieckie.

XIV

Zajęcie Kijowa przez wojska niemieckie pokrzyżowało wszystkie nasze plany. Należało zastanowić się co dalej robić i rozejrzeć się w sytuacji.

W Winnicy było bardzo wielu polaków, nietylko z miejscowego społeczeństwa, ale i uchodźców wojennych z Polski. Polskie społeczeństwo w Winnicy, korzystając z dekretu Centralnej Rady Ukraińskiej o autonomji kulturalno-narodowej, zorganizowało odrębną polską gminę, która posiadała własne szkoły polskie, ochronki, przytulki, szpital i t. d. Wszystkie sprawy i zakładami polskiej gminy w Winnicy kierował Komitet Polski, na czele którego stał powszechnie szanowany i ceniony Stanisław Stempowski, jedna z najpiękniejszych postaci w polskim życiu, wzór prawdziwego społecznika i demokracji.

Wiść o naszym przyjeździe szybko rozeszła się w Winnicy i członkowie Komitetu Polskiego skomunikowali się z nami. Dowiedziałem się przedewszystkiem od nich, że dzięki p. Opiole zostałem rozkonspirowany, a to w sposób następujący: p. Opioła w jednym z ostatnich raportów wysłanych do swoich partyjnych władz do Kijowa, przesłał wiadomość o moim przyjeździe do Płoskirowa i podał treść rozmowy ze mną, nie zastrzegając przytem wcale tajemnicy co do mojego prawdziwego nazwiska. Zatem w Kijowie, Winnicy i Żyto-

mierzu już wiadano o mym przyjeździe na Ukrainę. Narazie było mi to nawet na rękę, bo ułatwiało pracę i wzbudzało większe zaufanie do mej osoby. A więc naprzykład p. Stanisław Stempowski doskonale znał mnie z mej pracy publicystycznej, gdyż był prenumeratorem „Prawdy“ i „Widnokregu“ wydawanych przez W. Rzymowskiego i przeze mnie. Pan Stanisław Stempowski odniósł się więc do mnie z całem zaufaniem i prosił mnie, abym w gmachu szkoły polskiej wygłosił odczyt o sytuacji w Polsce. Zgodziłem się.

Pan Stempowski zastrzegł się, że odczyt odbędzie się konspiracyjnie, wobec niewielkiego grona zaproszonych, aby nie drażnić miejscowych bolszewików. Winnica bowiem była jeszcze w rękę bolszewików, którzy nie czując się jednak pewnie, zachowywali się biernie i nie narzucali się zbyt miastu ze swemi zarządzeniami. Dlatego też życie społeczeństwa polskiego w Winnicy szło swoim własnym trybem, przystosowując się jedynie do zmiennych rządów na Ukrainie.

Na łagodność rządów bolszewickich w Winnicy nie miały wpływ wywierała prawdopodobnie i ta okoliczność, że zarówno w samem mieście, jak i w pobliskich wsiach rozlokowane były poszczególne oddziały 7 pułku ułanów. Pułk ten zaczął się organizować w grudniu 1917 roku z inicjatywy ziemian polskich, a przedewszystkiem Zdzisława hr. Grocholskiego i Franciszka Jaroszyńskiego — właścicieli ogromnych dóbr w okolicach Winnicy, którzy rozkwaterowali formujące się oddziały w swych majątkach — Pietniczany i Dzwonicha — zapewniając jednocześnie ze swych prywatnych funduszy furaz, żywność i pieniądze na pensje dla oficerów i żołnierzy. Liczne te oddziały miały początkowo charakter zupełnie prywatnych zbrojnych straży pałacowych, mających na celu jedynie obronę majątków przed rabunkiem chłopów. Ten charakter magnackich straży, oddziały zatraciły dopiero z chwilą, kiedy dowództwo nad pułkiem objął pułkownik

Kuncman — człowiek cieszący się powszechnym szacunkiem za swą prawość i wybitne zalety żołnierskie. Pułkownik Kuncman wprowadził do pulku należyłą organizację wojskową i karność połączoną z uświadomieniem żołnierzy oraz wytworzeniem solidarności i koleżeńskej atmosfery między oficerami i żołnierzami. Zachowanie się podległych pułkownikowi Kuncmanowi oddziałów w stosunku do ludności wiejskiej było bez zarzutu, tem niemniej jednak ludność ta w dalszym ciągu traktowała je, jako broniące polskich majątków „pańskie wojsko“.

Zaraz po śniadaniu, Barta udał się do pułkownika Kuncmana, ja zaś tymczasem zostałem na dole w restauracji razem ze Skrzyńskim, który zaznajomił mnie z miejscowymi działaczami polskimi.

Barta dowiedział się od pułkownika Kuncmana, że II Brygada szczęśliwie wydostała się z matni austriackiej i przez Mohylów nad Dniestrem forsownemi marszami zmierza do Sorok, aby połączyć się tam z II Korpusem. Wobec kapitulacji I Korpusu, gdzie jak dotychczas u władzy pozostawał nadal generał Dowbór-Muśnicki, była to jedyna słuszna decyzja. Sam zaś pułkownik Kuncman nie wiedział co robić, gdyż dotychczas od generała Michaelisa, któremu podlegał, nie otrzymał żadnych rozkazów. Zdecydowaliśmy więc z Bartą, że do Kijowa nie mamy teraz poco jechać, że, w wytworzonych warunkach, jedyną istotnie niezależną siłą zbrojną pozostał II Korpus w Sorokach, i że wobec tego należy nam udać się tam i dopiero na miejscu zorjentować się, co dalej robić, tembardziej, że blisko była Rumunja, aczkolwiek pobita, ale będąca po stronie koalicji. Skrzyński oświadczył, że również pojedzie do Sorok, gdyż w Jampolu mieszkają jego rodzice. Chętnie zgodziliśmy się na dalszą opiekę naszego „aniola stróża“, bo w ten sposób mieliśmy nadal kontakt z Radą Międzypartyjną.

Kuszel zaś zdecydował nie zmieniać swej marszruty i wracać do Kijowa, gdyż będąc działaczem tylko społecznym obawiać się Niemców nie potrzebował.

Gdy stanęła kwestja dalszej naszej jazdy, Barta proponował zwrócić się do pułkownika Kuncmana, aby dał nam konie do Sorok.

Wieczorem udałem się na zapowiadany mój odczyt o sytuacji politycznej w Polsce. Pierwszy raz w życiu miałem odczyt w podobnych okolicznościach. Odbył on się bowiem w sali wykładowej polskiej szkoły. Sluchacze moi siedzieli na ławkach uczniowskich, ja zaś przemawiałem z katedry nauczycielskiej. Niesamowitość jednak sytuacji polegała głównie na tem, że nie wiedziałem nawet przed jakim i jak licznem audytorjum przemawiam. Ze względów konspiracyjnych bowiem w sali panowała zupełna ciemność. Miałem wrażenie, że przemawiam do pustej sali, gdyż nie widziałem twarzy osób siedzących nawet na najbliższych ławkach. Mówiłem to samo co na zebraniu w Płoskirowie, ale mówiłem bez wiary i przekonania, tak byłem zgnębiony wiadomością o zajęciu Kijowa przez wojska niemieckie. Czułem, że sytuacja staje się coraz mniej odpowiednia dla realizacji naszych planów i zamierzeń.

Stosunek audytorjum do moich wywodów i postulatów niepodległościowych nie był tak nieprzychylny jak w Płoskirowie, zapewne dlatego, że audytorjum składało się z żywiołów demokratycznych. Natomiast wzbudziły zastrzeżenia moje poglądy w sprawie tworzenia armji.

Polski obóz demokratyczny w Winnicy, na którego czele stał, jak już wspomniałem, p. Stanisław Stempowski, wrogo był usposobiony do idei tworzenia armji polskiej na Ukrainie, wychodząc z założenia, że rola oddziałów polskich de facto sprowadziłaby się do pilnowania majątków

i walk z chłopami, co przyczyniłoby się tylko do pogłębienia nienawiści ludu ukraińskiego do narodu polskiego.

Na drugi dzień zrana udaliśmy się z Bartą do pułkownika Kuncmana, który niezwłocznie nas przyjął. Robił on bardzo mile wrażenie. Był to typ prawego i szczerego żołnierza, wzbudzającego zaufanie już przy pierwszym zetknięciu. Uderzyło mnie, że i na jego twarzy malowało się bezgraniczne zmęczenie i smutek. Gdy wyluszczyliśmy mu nasz zamiar udania się jeszcze tego samego dnia do Sorok i prosiliśmy go o ułatwienie dostania się tam, bardzo chętnie zgodził się dać nam konie, które zawiozłyby nas do Dzwonichy, gdzie stał szwadron jego pułku i skąd otrzymalibyśmy konie do dalszej jazdy.

Pułkownik Kuncman nie ukrywał swego zdenerwowania brakiem określonej decyzji. Otrzymał wiadomości, że podobno generał Michaelis oddziałom znajdującym się w Antoninach dał rozkaz udania się do Winnicy, gdzie ma nastąpić koncentracja całego III Korpusu. Co dalej zamierzał czynić generał Michaelis — tego pułkownik Kuncman nie wiedział. Kiedy w toku dalszej rozmowy poruszyliśmy aktualną i obchodzącą nas kwestję, co trzeba dalej czynić i jak należy ustosunkować się do okupacji niemieckiej na Ukrainie, od wypowiedzenia swego zdania w tej sprawie pułkownik Kuncman zupełnie wyraźnie uchylił się. Wogóle z całego jego zachowania wynikało, że był on lojalnym oficerem, który przyzwyczaił się słuchać swej władzy i ściśle wykonywać otrzymane rozkazy.

Żegnając się z nami pułkownik Kuncman przyrzekł, że konie będą czekać na nas przed hotelem w porze obiadowej. Do Dzwonichy było około trzydziestu kilometrów, więc zajęchalibyśmy tam pod wieczór.

Przed wyjazdem napisałem do organizacji P. P. S. w Kijowie kartkę, w której zawiadamiałem o swoim przyjeździe

na Ukrainę z ramienia Centralnego Komitetu P. P. S., oraz o tem, że wobec zajęcia Kijowa przez Niemców powziąłem decyzję udania się do Sorok; jednocześnie prosiłem o możliwie szybkie skomunikowanie się tam ze mną. Kuszel uprzejmie podjął się dostarczyć kartkę Władysławowi Korsakowi, który wówczas stał na czele kijowskiej organizacji P. P. S., a który znał mnie osobiście.

Po obiedzie ruszyliśmy w drogę. Pułkownik Kuncman dał nam bardzo wygodną bryczkę, zaprzęzoną w parę dobrych koni. Jechaliśmy jednak powoli, gdyż wskutek ciepła i deszczów, droga była błotnista.

Był już zmrok, kiedy dotarliśmy do miasteczka Tywrów. Mimo późnej godziny na rynku miasteczka panował wielki ruch, zwłaszcza uderzała wielka ilość koni. Miało się wrażenie, że odbywa się jarmark koni — choć czasy nie były wcale odpowiednie po temu. Skrzyński, doskonale mówiący po ukraińsku, zaczął rozpytywać się o powód tego zbiegowiska. Okazało się, że wojskowe oddziały bolszewickie pośpiesznie rozprzedawały z licytacji swoje konie.

Nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, wyjechaliśmy z Tywrowa i skręciliśmy w boczną drogę prowadzącą do Dzwonichy, położonej sześć kilometrów dalej. Niemal w kilka minut zapadła noc, tak ciemna, że nie widać było naszych koni. Po pewnym czasie poczuliśmy, że zgubiliśmy drogę. Wysiedliśmy z bryczki i zaczęliśmy szukać traktu. Widocznie zmyliliśmy drogę dość dawno, bo nie mogliśmy znaleźć żadnych śladów. Tem większa była nasza irytacja, iż czuliśmy, że jesteśmy niedaleko Dzwonichy. Wreszcie Barta zdecydował pójść pieszo do Dzwonichy i stamtąd przysłać nam pomoc. Za chwilę wysoka jego postać zginęła w mroku ciemnej nocy. Skrzyński z żołnierzem zdecydowali puścić konie swobodnie, by same znalazły drogę. Żołnierz zszedł z siedzenia, przywiązał lejce, i konie podjędzone ba-

tem ruszyły przed siebie. Po pewnym czasie, czując brak kierownictwa zaczęły konie coraz bardziej skręcać w lewo. Szliśmy za bryczką, ciekawi co z tego wyniknie. Nagle konie zatrzymały się jak wryte. Pośpieszyliśmy naprzód — konie stały na brzegu stromego urwiska. Z głębi dochodził dziwnie jednostajny huk. Zrobiliśmy ze Skrzyńskim ostrożnie parę kroków naprzód. Na dnie jaru ujrzeliśmy światelka. Za chwilę rozległo się stamtąd zaciekle ujadanie psów.

— To młyn zapewne — zauważył Skrzyński. — Widocznie tam w dole płynie Boh.

— Tak, istotnie to młyn — przytaknałem.

Ten dziwny hałas, mący ciążę nocy, teraz stał się zrozumiałym i znajomym: to turkotały koła pracującego młyna, którym wtórował huk spadającej wody.

— Może Pan tu zaczeka — zwrócił się do mnie Skrzyński — zejść na dół, by dowiedzieć się, gdzie jesteśmy.

Ostrożnie zaczął schodzić na dół. Kamienie usuwały mu się z pod nóg i staczały z hałasem. Psy czując zbliżanie się obcego człowieka, czekały coraz zajadlej. Rozległ się jakiś głos. Psy zaczęły zwolna milknąć — spełniły zadanie czujnych stróży. Wreszcie umilkły zupełnie: widocznie Skrzyński spotkał się z kimś z młyna. Znowu zapanowała cisza, z którą nie kłócił się miarowy, daleki turkot młyna.

Ciemno było — tak ciemno, że z trudem mogłem rozróżnić sylwetkę żołnierza i koni, trzymanyh przez niego za uzdy.

Ileż czaru i uroku miała ta cicha noc wiosenna. Pusto i tajemniczo było wokoło. Gęsty, nieprzenikniony mrok otaczał mnie ze wszystkich stron. Zdawało mi się, że jestem sam w tym bezbrzeżnym stepie. A jednak płonące w dole małe jasne ognie świadczyły, że mieszkają tam ludzie, których życie płynie zapewne takim samym miarowym trybem, jak

bieg wody, swym monotonnym hukiem świadczącej, że również jest zaprzęgnięta do codziennej współpracy z ludźmi.

— Kto wie — myślałem, patrząc na światelka — czy ci ludzie mieszkający w tym jarze wiedzą nawet, że obok szaleje rewolucja, że kraj rozdzierany wojnami domowymi opalowują w tej chwili obce wojska, którym drogę wskazują ci, co jeszcze wczoraj z nimi walczyli.

Z dołu zaczęły dolatywać mnie odgłosy kroków i rozmowy. Po pewnym czasie ujrzałem Skrzyńskiego w towarzystwie parobka z młyna.

— Zjeżdżamy na dół — odezwał się Skrzyński. — Właścicielem młyna jest polak. Właśnie są u niego goście, między innymi kilku oficerów z oddziału w Dzwonisze, z którymi razem będziemy mogli pojechać. Gospodarz zaprasza nas na kolację. My z Panem zejdziemy wprost urwiskiem, a parobek wskaże drogę naszemu woźnicy.

— Dobrze. Ale czy to wypada robić najście na nieznajomy dom i przeszkadzać ludziom w zabawie? — zauważyłem.

— Ależ co Wy mówicie? — oburzył się Skrzyński. — Wiedocznie nie znacie polskiej gościnności na Ukrainie. Mogę Was zapewnić, że nie tylko nas życzliwie przyjmą, ale będą napewno bardzo zadowoleni. Chodźmy.

Zaczelśmy się spuszczać dość stromym urwiskiem. Psy znowu podniosły alarm. Stanowczy głos przywoływał je do porządku. W kilka minut później staliśmy już na ganku małego dworku wiejskiego, gdzie czekał na nas gospodarz domu.

— Proszę, proszę Panów tędy — mówił prowadząc nas przez sień. — Proszę rozebrać się. Niech Panowie nie tłumaczą się i niczem nie krępują. Naprawdę będziemy z żoną radzi gościć Panów u siebie. Gość w dom — Bóg w dom. Właśnie w tej chwili siedzimy przy stole, a Panowie są napewno głodni z drogi.

Był to młody, przystojny mężczyzna, słusznego wzrostu o szczerzej, sympatycznej twarzy.

Weszliśmy do dużego pokoju, gdzie przy stole siedziało kilkanaście osób, wśród nich kilku oficerów polskich. Pani domu, przystojna brunetka, witała nas miłym i szczerym uśmiechem.

Nastąpiła ogólna prezentacja i po chwili siedzieliśmy przy suto zastawionym stole. Po kilku już minutach czułem się jak w domu bliskich i starych znajomych: tyle było serdeczności i prostoty w obejściu i stosunku do nas gospodarzy i ich gości. Nie pytano nas zbyt, kto i skąd jesteśmy, tembardziej, że Skrzyński jednego z oficerów znał nieco z czasów szkolnych.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że był to dzień imienin pani domu. Złożyliśmy więc życzenia, naprawdę szczerze. Przy stole panowała miła i wesoła atmosfera, która i nam wkrótce się udzieliła. Pani domu podsuwała nam troskliwie półmiski z bigosem, kielbasą, pieczenią. Gospodarz, podchodząc, obejmował mnie w pół, przyjaźnie się uśmiechając i raz po raz napelniał mój kieliszek starką; twierdził przytem, że musimy dopędzić resztę towarzystwa, które istotnie było już dobrze podochoczone. Nie kazałem bardzo się prosić i chętnie wyrównywałem zaległe kolejki, tembardziej, że gorliwie dotrzymywał mi towarzystwa mój sąsiad — dobroduszny wojskowy lekarz. Coraz weselej i huczniej robiło się w tym pokoju o niskim pułapie. Ogólna wesołość i mnie się udzieliła. A że mocna, aromatyczna domowa wiśniówka, która zwłaszcza trafiła mi do przekonania, uderzyła do głowy i słodko mroczyła — więc po chwili zapomniałem o swej podróży, o tem, że jestem tu przypadkowo, że wkrótce zmuszony będę opuścić ten gościnny dom, aby już tu nigdy nie wrócić. Zdawało mi się, że przyjechałem na imieniny do starych, kochanych przyjaciół, u których wiele razy byłem, i że nieraz jeszcze zawitam w ich gościnne progi.

Oprócz gospodyni było jeszcze kilka innych pań, wśród których wyróżniała się urodą siostra solenizantki — młoda, przystojna brunetka. Zwłaszcza jej wielkie czarne oczy przykuwały spojrzenia mężczyzn: tak były piękne, wyraziste i zalotne, jednocześnie kryjące w głębi dziwną zadumę.

Obecność pań — jak wszędzie zresztą w Polsce — nadawała tej uczcie w zagubionym wśród jarów ukraińskich futorze, swoisty urok polskiej szarmanterji. Panie — nie byłyby polkami, gdyby bezwiednie nie kokietowały mężczyzn, którzy jak każdy polak, chcieli paniom podobać się, więc sypali komplementami, dowcipami a nawet wbrew swej woli, rywalizując nieco, wzajemnie docinali, nie pozwalając sobie jednak ani na brutalność, ani na płaskość lub wulgarność. Krzyżowały się więc zdania, parowano docinki, opowiadano wesołe historie i przygody. A że gospodarz stawiał coraz nowe butle z nalewkami, więc czas płynął coraz szybciej, coraz weselej. A że wiśniówka była słodka i mocna, więc coraz bardziej kręciło mi się w głowie, coraz częściej szukałem spojrzenia ślicznych czarnych oczu pięknej panny. Po kolacji zaczęliśmy tańczyć przy gramofonie. Panów było więcej niż pań — więc tańce nie ustawały. Słodkie melodyjne tony wiedeńskiego walczyka, jeszcze bardziej potęgowały nastrój wesołej, beztroskiej zabawy. Coraz częściej prosiłem do tańca śliczną pannę i wirując w takt walca, patrzyłem w jej oczy, mówiąc miłe, śmieszne komplementa, słowa żalu, że za chwilę opuszczę ten dom, który jak meteor oświecił mrok nocy, by za chwilę zgasnąć i pograżyć w jeszcze bardziej ciemną i zimną noc.

Zalotnie śmiała się panna, niedowierzająco kiwała śliczną główką, słuchając tych słów zachwytu. Chwilami karciła wyrazem lub spojrzeniem, gdy słowa me stawały się zbyt gorące, ale oczy czarne i wyraziste jakgdyby mówiły: nie zwracaj uwagi na te nakazy konwenansu, mów, mów miłe kom-

plemety, bo czyż jest taka kobieta, której nie sprawiałaby radości słowa zachwyty i podziwu. A słowom tym i spojrzeniom wtórowały i jeszcze większy urok i słodycz nadawały melodyjne dźwięki nieśmiertelnego walca strausowskiego.

Nagle zrobił się rumor. Jak przez sen słyszałem, że przysłano po nas żołnierzy z Dzwonichy, że czas już wracać. Zaczęliśmy się żegnać. Brzęczały ostrogi oficerów, chylących się do rąk pań. Rozlegały się cmokania panów, całujących się z dubeltówki. I ja całowałem ręce pań, zwłaszcza pani domu, dziękując za ten miły nieoczekiwany wieczór, serdecznie ścisnąłem się z gospodarzem i innymi panami, ostatni raz zanurzałem spojrzenie w ciemnej głębi oczu ślicznej panny.

Znaleźliśmy się na podwórzu. Koło naszej bryczki kręciło się na koniach kilku ułanów, parobkowie podprowadzali konie oficerów. Razem ze mną i Skrzyńskim ulokował się w naszej bryczce dobroduszny lekarz. Wesole okrzyki, ostatnie pożegnania, przestrogi dawane woźnicom, kędy należy jechać, parskanie koni, zawzięte ujadanie psów, turkot koła schowanego w cieniu młyna i huk wodospadu — wszystko to wydawało mi się dalszym ciągiem wesołej zabawy.

Świeże powietrze jeszcze bardziej odurzyło mnie. Dopiero teraz poczułem, że jestem dobrze wstawiony. Wszystko wirowało mi w oczach. Nagle przykuł moją uwagę wąsaty wachmistrz, który kręcił się na koniu, wydając zdecydowanym głosem rozkazy i zapewniając rotmistrza, iż może być spokojny i pewny, że wszystko dobrze załatwi. Rotmistrz, który również dopiero na świeżem powietrzu zaczynał odczuwać ilość wypitej starki, chętnie oddał komendę nad tą całą niesforną kawalkadą w ręce wachmistrza, o którym nasz miły gospodarz również nie zapominał, ale któremu alkohol dodał tylko większej pewności siebie.

Z pijackim uporem zacząłem przyglądać się temu wachmistrzowi.

— Do stu djabłów! — mruzczałem — ależ ja tego wása-
cza skądś znam — och, jak dobrze znam. Ale skąd? Boże —
jak mi się kręci w głowie. Gdybym mógł dobrze zebrać myśli,
to napewno bym sobie przypomniał. Zaraz... zaraz — ależ ja
tutaj już kiedyś byłem. To szczekanie psów, te konie, turkot
koła młyńskiego. Zaraz... zaraz... No tak, toż to futor, gdzie
Bohun uwięził kniaziównę, która również miała śliczne aksa-
mitne oczy... Zagłoba... Wołodyjowski...

— A może ten futor — to ten, gdzie Zagłoba pił na umor
i tańczył na weselu hożej bondarówny. Ale ten wachmistrz
wąsaty? Zaraz, zaraz...

— Już wiem! — zawołałem uradowany. Toż Soroka! —
jak Boga kocham, to stary wachmistrz Soroka — wołałem na
cały głos, dając wyraz swej pijackiej radości.

Tak — był to Soroka. Światło z okien padało wprost na
niego, oświetlając silną postać typowego żołnierza polskiego.
Jasne, długie wąsy jeszcze bardziej podkreślały zawadzącką
odwagę i żołnierską fantazję jego wspaniałej sylwety.

— Soroka! — jak Boga kocham — wachmistrz Soroka! —
wołałem w pijackim zachwycie. — Ale gdzież Kmicic? Gdzie
Kmicic do stu tysięcy jasnych piorunów? — darłem się, na-
próżno chcąc zagłuszyć ogólny hałas.

— Jestem tu, jestem kochany panie — mówił, nachy-
lając się do mnie z konia i śmiejąc się porozumiewawczo, je-
den z oficerów.

Ostatnie pozdrowienia i pożegnania.

— Wachmistrzu, ruszamy! — pada okrzyk.

— Rozkaz, panie rotmistrzu. Bacność! Ruszać za mną!
Ja będę prowadził i wskazywał drogę — słyszę dzwieczny głos
wachmistrza.

Ruszamy. Noc ukraińska troskliwie otula mnie swym
ciemnym, ciepłym płaszczem. Kochany Soroka, on zna drogę

do Dzwonichy. Można spokojnie drzemać i słuchać nadal dźwięczącej w uszach i wirującej w głowie melodji walca.

Znowu byłem smutnym wędrowcem, idącym w ciemną noc ku nieznanemu jutru. Ale przed chwilą zabłysnął promienny meteor wesolości i beztroski. Zgasł, lecz pozostała po nim na ciemnem niebie jasna smuga, którą goniłem wdzięcznem spojrzeniem pamięci przez cały czas mej wędrówki po Rosji.

XV

Jakże wielki panował kontrast między Dzwonichą a małym, przyczajonym na dnie jaru futorem. Tam—życie spokojne ludzi pracy z codziennymi troskami i radościami, tu—pustka i martwota. Pałac robił wrażenie zupełnie opuszczonego. Szliśmy przez szereg ciemnych i zimnych sal. Wreszcie weszliśmy do dużego pokoju, gdzie ujrzelśmy Bartę w towarzystwie dwu oficerów ze szwadronu kwaterującego w Dzwonisze.

Barta dość długo błędził nim trafił do Dzwonichy, dlatego tak późno wysłano ułanów na poszukiwanie nas. Zmęczony drogą i jeszcze niezupełnie wytrzeźwiony, byłem senny, usiadłem więc w głębokim fotelu i milcząco przysłuchiwałem się rozmowie, której tematem były przeżycia i wspomnienia wojenne.

Zauważyłem, że zawsze gdy zbierali się oficerowie polacy, walczący podczas wielkiej wojny we wrogich armjach, ulubionym tematem ich rozmów było sprawdzanie, czy przypadkiem nie byli na tych samych odcinkach przeciwległych frontów, dzielenie się wrażeniami, kontrolowanie, jaki wywarł efekt na przeciwległą stronę ten czy inny atak lub manewr. Było to tak zrozumiałe, jak zrozumiałą jest dyskusja graczy w szachy, po skończonej partji, dlaczego zrobiło się to, a nie inne posunięcie. Obecnie również toczyła się rozmowa na temat minionej wojny, padały nazwy miejscowości i oddziałów. Nie

bardzo orjentując się w tych szczegółach, raczej obserwowałem oficerów aniżeli przysłuchiwałem się rozmowie.

Obaj, jak się później dowiedziałem od Barty, byli oficerami dawnego pułku kirasjerów gwardji rosyjskiej — jednego z najbardziej sławnych pułków dawnej armji carskiej, w którym służyli członkowie najstarszych arystokratycznych rodów rosyjskich. Dobrze pamiętałem jeszcze z czasów studenckich w Petersburgu typ wytwornego światowca, jakim był oficer gwardji rosyjskiej. Był to typ oficera, który jednako dobrze czuje się w polu, jak i w salonach arystokratycznych lub na balach dworskich. Obserwując naszych gospodarzy znowu zauważyłem, że na ich twarzach malował się ten sam smutek i zmęczenie, które widziałem już na twarzach generała Leśniewskiego, pułkownika Kuncmana i innych oficerów polaków z armji rosyjskiej. Zwłaszcza przykuwał mą uwagę gospodarz tego pokoju, w którym znajdowaliśmy się. Z wdziękiem wytwornego światowca bawił nas rozmową, śmiał się, żartował — a tymczasem z pod maski uprzejmości wyzierał bezdenny smutek. Fotel, na którym siedziałem, stał obok jego łóżka. Po drugiej stronie, na nocnym stoliku stała duża fotografia. Było to artystyczne zdjęcie pięknej, wytwornej pani w wieczorowej sukni ze sznurem perel na szyi. Wielkie jej oczy, pełne zadumy milcząco patrzyły na mnie.

Gospodarz spostrzegł moje spojrzenie skierowane z nieklamany zachwytem na fotografię. Smutny uśmiech zakwitł na chwilę na jego zmęczonej twarzy, by zaraz zginąć pod maską światowej oglady. Piękne oczy wytwornej pani patrzyły na mnie jakgdyby z wyrzutem — zdawało się mówily: poco nieznany, obcy przybyszu wdzierasz się i naruszasz ciszę naszych długich, niemych rozmów, poco chcesz posiąść ich tajemnicę? Miałem wrażenie, że naprawdę słyszę, przyczajone w zakątkach tonącego w półmroku pokoju, ciche echa szeptów miłości i tęsknoty, rozmów bez słów, które w długie, samotne i bez-

senne noce prowadził smutny oficer z tą, którą przypominała mu fotografia. Rozumiałem bezgraniczny smutek, który malował się na twarzy oficera. Ten, kto miał prawo postawić przy swem wezglowiu podobiznę tak pięknej kobiety musiał być smutny i pożerany tęsknotą i rozpaczą.

Nie śmiałem, nie miałem prawa zapytać, co się z nią dzieje i gdzie teraz przebywa. Poco zresztą pytać. Czulem, że w tej fotografii zamknęło się całe życie człowieka. Być może, była ona jedyną nicią, która łączyła go ze światem, dawała siłę wytrwania w tej strasznej zawierusze, podniecała nadzieję powrotu szczęśliwych dni.

Dni szczęścia... Szedłem myślą w tropy ich przeszłości. Widziałem zapatrzonych w siebie w tańcu na balu w wielkiej, wspaniałej sali pałacowej. Gonilem ich wzrokiem, gdy jechali konno alejami wysp petersburskich, opromienieni zachodzącem słońcem, owiani czarem subtelnego aromatu delikatnej wiosny północy. Słyszałem szczęśliwy ich śmiech w cichy lipcowy wieczór na werandzie starego domu w rodowym majątku na Podolu.

Jakże inaczej musiały patrzeć te oczy, gdy płynęli oni w noc księżycową kanałami Wenecji, lub przytuleni do siebie błakali się po celach klasztoru Św. Marka we Florencji.

Jak mi ciebie żal, mój smutny, wytworny żołnierzu. Spojrzałem na niego. Był jak ten piękny łabędź, którego zła, wściekła burza wypłoszyła z rodzinnych stawów, gdzie razem ze swą towarzyszką spokojnie sunął po lustrzanej tafli cichych wód, śpiących w cieniu starych drzew. Znękany, poszarpany zimnemi wichrami rozszalałej zawieruchy znalazł łabędź tu chwilową przystań i wypoczynek, ale niemyym krzykiem miłości i tęsknoty wołał tę, z którą zły los go rozdzielił.

Niema pono bardziej pięknej i wzruszającej miłości, jak miłość łabędzi.

Na drugi dzień wtaliśmy wcześniej, aby jeszcze za dnia dotrzeć do Szpikowa, gdyż mimo niewielkiej odległości — bo zaledwie kilkudziesięciu kilometrów — wiosenne roztopy czyniły komunikację bardzo uciążliwą.

W świetle dnia pałac w Dzwonisze wywierał jeszcze smutniejsze wrażenie. Szwadron rozlokowany był w zabudowaniach dworskich — tu zaś w wielkim opuszczonym przez właściciela pałacu mieszkało tylko kilku oficerów.

Mimo wczesnej godziny, dowódca szwadronu wyszedł, by się z nami pożegnać. Był tak samo wytworny i smutny jak pałac, na stopniach którego stał.

Dziwna melancholja tchnęła z tej epoki, na mych oczach rozplywającej się we mgle historii. Nie należałem do warstwy ziemiańskiej, przeciwnie, moje przekonania społeczne nakazywały mi patrzeć na nią, jako na szkodliwy przeżytek przeszłości, ale pomimo to ogarniał mnie smutek, gdym widział na własne oczy, jak znikają jedna po drugiej te wyspy polskiej kultury ze swoim nietylko bogatym i beztrudnym życiem, ale i ze swoimi bibliotekami, archiwami, zbiorami wspaniałych dzieł sztuki, z racjonalną gospodarką rolną i przemysłową. Wyspy te ginęły teraz w odmęcie barbarzyństwa, ciemnoty i nienawiści społeczno-narodowej.

Dano nam i tym razem doskonałą, wygodną bryczkę, zaprzęzoną w parę rosnących, silnych koni. Żołnierz-woźnica, ubrany w zwykły szynel rosyjski, bez żadnych polskich odznak, miał wygląd prawdziwego „czubaryka“.

Droga była fatalna. Wiosna była w pełni. Na niebie ani jednej chmurki. Czarna ziemia parowała, niemal na oczach stając się miękką i tłustą. Konie z trudem ciągnęły wóz, którego koła głęboko wrzynały się w rozmokły czarnoziem. Cicho i pusto było na polach: jeszcze nie przyszła pora wiosennych zasiewów.

Upłynęło dwie godziny, a przejechaliśmy zaledwie 5—6 kilometrów. Nagle dziwny widok przykuł naszą uwagę. Droga szła koło jakiegoś majątku. Zdała widać było dworskie zabudowania i park. Coś złego tam się działo. Wiatr niósł zapach tłącego się pogorzeliska. Na polach przed dworem błąkały się samotne woły i spłoszone konie.

— Dziś nad ranem chłopci rozgromili ten folwark — odezwał się żołnierz.

Skrzyński zaczął rozpytywać, do kogo należał ten majątek, lecz żołnierz nie wiedział.

Dreszcz zgrozy wstrząsnął mną na widok tego jeszcze jednego dowodu barbarzyństwa.

Tak nam dziś płaci naród ukraiński — myślałem ze smutkiem — za to, że trzysta lat temu wzgardziliśmy nim, odepchnęliśmy go od Rzeczypospolitej, nie daliśmy mu miejsca wśród wolnych z wolnymi, równych z równymi. Poskąpiliśmy praw i przywilejów szlacheckich dla wolnych, rycerskich kozaków. Zakuliśmy ten bratni naród w kajdany poddaństwa, wyzysku i ciemnoty. Za grzechy i samolubstwo przodków — krwawą daninę płacili teraz potomkowie. Za małość i ślepotę Sejmów XVII stulecia płacił dziś naród polski swoją niewolą...

Konie dalej wlokły się krok za krokiem. Wjechaliśmy wkrótce do dużej wsi. Panowało tu wielkie ożywienie. Błoto na wiejskiej ulicy, przez którą szedł trakt, było tak wielkie, że koła nieomal tonęły w niem: konie z trudem ciągnęły bryczkę. Chłopi dziwnie podnieceni, ze złym błyskiem w oczach i wyraźną podejrziwością obserwowali nas.

— Zapewne ta wieś rozgromiła folwark. Stąd takie podniecenie — zauważył Skrzyński.

Zmęczone konie stanęły odpocząć. Zwolna wokoło bryczki, zebrał się tłum kilkudziesięciu chłopów, wrogo i nieufnie nas obserwujący.

— Skąd jedziecie? — zagadnął jeden z chłopów po ukraińsku.

— Z Tywrowa — również po ukraińsku odpowiedział Skrzyński.

— A co tam słyhać?

— A no nic, wszystko spokojnie.

— A polskich wojsk tam nie było?

— Nie, nie widzieliśmy.

— Ładne macie panowie konie — odezwał się inny chłop, — wyzywająco i bezczelnie patrząc na nas.

— Tak, dobre konie — odparł Skrzyński.

— A może tak nam je sprzedacie?

— Jak to sprzedać? Widzicie sami, że nie na sprzedaż je prowadzimy, a jedziemy niemi.

— A dokąd to panowie jadą?

— Jedziemy do Szpikowa — wmieszał się Barta.

Powiedział to z tak wybitnie cudzoziemskim akcentem, że dałem mu znak oczyma, aby milczał. Również i ja milczałem, gdyż nie znając języka ukraińskiego, wolałem, by Skrzyński prowadził rozmowę.

— Dobrze, dobre konie. Musicie nam je sprzedać — coraz bardziej natarczywie nastawał chłop.

— Mówię wam, że nie do sprzedania! — protestował Skrzyński niepewnym głosem.

— Jak nie sprzedacie, to siłą weźmiemy, bo kto wie czy nie jesteście panami — rzucił hardo natarczywy chłop.

Sytuacja stawała się groźna. Istotnie, pomimo swych szyneli ani Barta, ani też Skrzyński nie wyglądali na prawdziwych „towarzyszy“. Moje cywilne ubranie urągające modzie rewolucyjnej — właśnie ze mnie robiło osobę, mającą najbardziej czyste sumienie i wywołującą najmniej podejrzenia.

— Tak, tak! to napewno „pany“! — rozległy się głosy

z tłumu. Trzeba ich zaprowadzić do gminy i sprawdzić papiery.

— Racja bratcy! — odezwał się chłop, domagający się koni. — Pokażcie no wasze paszporty, jeśli je macie!

— A jakże, mamy — skwapliwie odpowiedział Skrzyński — zaraz pokażę, — i sięgnął ręką do zanadru szynelu.

Instynktownie poczułem, że sprawa może źle się dla nas skończyć. Przytrzymałem rękę Skrzyńskiego, aby nie wyciągał papierów.

— A tobie, taka i owaka twoja mać — warknąłem, zwracając się do chłopu po rosyjsku — co do tego, czy mamy paszporty? Starostą wsi jesteś?

— Nie, nie jestem — zmieszał się chłop, zaskoczony moją znajomością subtelności rosyjskiej mowy.

— A jak nie jesteś starostą, to czego się tu pchasz, sobaczy synu? Widzieliście go — paszport? A ty taki owaki (i tu nastąpiły epitety, niestety nie do powtórzenia) masz paszport? Dawaj mi zaraz swój paszport!

— Ja nic... ja tak sobie... — mamrotał ogłupiały i oniesmielony atakiem chłop.

— Widzieliście go? paszporty? Będzie tu zaczepiał spokojnych ludzi. Koni mu się zachciało. To jedź sobaczy synu do Tywrowa i kup tam konie! — przypomniałem sobie nagle, w jakimś natchnieniu, że wczoraj była tam licytacja koni.

— Zostaw ich — odezwał się któryś z tłumu półgłosem do atakowanego przezemnie chłopu. — Istotnie czego się czepiasz spokojnych ludzi? Widać to kupcy koni, którzy wracają z Tywrowa.

— O, widać odrazu mądrego człowieka — uczepiłem się uradowany tej wersji. Rozumie, że sami kupujemy konie, a ten — sprzedaj mu. Piechotę mamy iść do Szpikowa, czy co? Widzicie, jaki mądrała.

— A co, czy już rozprzedane konie w Tywrowie? — zapytał ktoś z tłumu.

Poczulem, że niebezpieczeństwo minęło.

— A tak, już rozprzedano wszystkie konie. Odrazu rozchwymano. Niestety, spóźnił się. Jedziemy teraz do Szpi-kowa. Tam też podobno odbywa się licytacja.

— Tak, mówią, że tam wojsko rozprzedaje konie — odezwały się głosy.

— No to jedźmy już! — zwróciłem się po rosyjsku do woźnicy. Zostańcie z Bogiem.

— Zostańcie z Bogiem! — odezwały się głosy z tłumu.

Konie ruszyły.

— Wyszliśmy cało z opresji — zauważył Skrzyński.

— No, niewiadomo jeszcze — odezwał się Barta. — To dopiero początek wsi. Ale jak się to Wam udało! — zwrócił się do mnie. Dziwny naród: dopiero jak zaczęliście besztać ostatnimi słowami, to uspokoił się.

— A czemu nie miało się udać? Będzie mi bydle od „panów“ wymyślać. Jeszcze brakowało, aby mnie, socjalistę, chłopie aresztowali. Nie ma co mówić: ładna rewolucja! — odparłem zirytowany.

— I to racja — zaśmiał się Barta.

— To nie rewolucja, a zwykła anarchja — zauważył Skrzyński.

— Ale moi Panowie — zwróciłem się do Barty i Skrzyńskiego — proszę Was bardzo, pozostawcie mnie rozmowy z chłopami. Bo jak Wy, Barta, zaczniecie popisywać się swym wiedeńskim akcentem, to nic dobrego z tego nie wyjdzie. I Pan, panie Skrzyński, też niech milczy, bo chociaż zna Pan język ukraiński, ale panicz polski wyłazi z Pana wszystkimi porami.

— Dobrze, dobrze! — zaśmiali się obaj.

Konie człapały powoli i miesiły błoto. Nie widać było końca wsi. Chłopi, wygrzewający się na słońcu, badawczym okiem obserwowali nas. Prosiłem woźnicę, by nie zatrzymywał się, mimo, że konie z trudem ciągnęły bryczkę.

Nareszcie zbliżyliśmy się do końca wsi. U wylotu wsi był mały placyk, przy którym mieścił się duży dom. Była to gmina, jak to oznajmiał wielki szyld „Wołosnoje uprawnienie“ (zarząd gminy). Na ganku gminy znajdowało się liczne towarzystwo. Gdy nas zobaczyli zrobiło się poruszenie. Dałem znak woźnicy, by zatrzymał konie.

— Skąd jedziecie? — rozległo się pytanie z ganka.

— Z Tywrowa — odpowiedziałem. — Jeździliśmy na licytację kupować konie, ale już zapóźno przyjechaliśmy. Kupiliśmy tylko parę — wskazałem na nasze konie.

— A co słyszać w Tywrowie?

— Nic — odrzekłem — spokojnie.

— A polaków tam niema?

— Nie, nie widzieliśmy. Może tam gdzie we dworach pańskich stoją oddziały, ale w Tywrowie tylko nasi.

— A dokąd jedziecie?

— Do Szpikowa. A czy tam spokojnie? — zapytałem ze swej strony.

— Spokojnie — bez obawy możecie jechać.

— A może tak dokumenty sprawdzić — spytał ktoś półgłosem jegomościa rozmawiającego ze mną.

— E, nie warto, to nasi — odrzekł.

— No, to bywajcie zdrowi — odezwałem się.

— Jedźcie z Bogiem! — odpowiedział mój rozmówca.

Ruszyliśmy. Za chwilę minęliśmy ostatnie opłotki i znaleźliśmy się znowu w polu, gdzie droga była znośniejsza.

— No chwała Bogu! Wydostaliśmy się szczęśliwie — powiedział Skrzyński.

— Ale zapewne będą jeszcze wsie — odezwał się Barta. Lepiej mieć broń w pogotowiu.

Wyciągnął z kieszeni szynelu mauzer, zrepetował i zpowrotem schował. To samo zrobił Skrzyński i ja.

Zaledwie odjechaliśmy kilometr, gdy ujrzeliśmy dość szybko jadący na nasze spotkanie wielki wóz, zaprzężony trójką koni. Mijając się zauważyliśmy siedzących na wozie około dziesięciu drabów z karabinami w rękach, z minami zawadjackimi i wyraźnie podchmielonych.

— Dobra banda — zauważyłem.

Wtem doszły nas krzyki: hej tam, stój! Obejrzałem się. Wóz stał. Kilku drabów krzyczało i dawało znaki, abyśmy się zatrzymali.

— Proszę zatrzymać się — odezwałem się do woźnicy, sam zaś stanąłem i zwróciłem się twarzą do nich.

— A co tam? — zawołałem głośno po rosyjsku.

— Skąd jedziecie?

— Z Tywrowa.

— A co tam robiliście?

— Handlujemy końmi. Była tam licytacja wojskowych koni, więc jeździliśmy kupować.

— A czy spokojnie tam?

— Czemuż nie miałoby być spokojnie? — odparłem.

— A polskich ułanów nie widzieliście tam, lub po drodze?

— Nie, nigdzie ich nie widzieliśmy.

— Trzeba ich aresztować — dość głośno odezwał się któryś na wozie.

Sytuacja nieoczekiwanie stała się groźna.

— Jak zejść z wozu — to ja będę strzelać do ich koni, a wy strzelajcie do tych, którzy będą się do nas zbliżać — szeptem dawał dyspozycje Barta.

Skinąłem głową na znak zgody, jednocześnie kładąc rękę do kieszeni palta. To samo uczynił i Skrzyński. Widocznie draby zauważyli nasze ruchy. Było nas czterech, a w tych czasach, gdy każdy był dobrze uzbrojony, przedstawialiśmy dość pokaźną siłę. Pozatem do wsi było dość daleko. Chwilę więc naradzali się półgłosem. Widocznie wahali się co robić.

— T a k z n a c z y t n i c z e w o ? — odezwał się nagle do mnie herszt bandy, urwisowsko mrugając okiem i znacząco wskazując głową w kierunku Tywrowa.

— T a k n i c z e w o — odezwałem się tym samym porozumiewawczym tonem i tak samo łobuzersko mrugnawszy okiem.

— To nasi — zaśmiał się.

Zaśmiałem się i ja znacząco.

— Bywajcie zdrowi — zawołał salutując ręką. — P o s z o ł ! (jazda) — krzyknął.

Trójka doskonałych koni ruszyła z kopyta i szybko zaczęła się oddalać.

— No moi panowie — odezwałem się, sadowiąc się na swem miejscu — teraz naprawdę wyszliśmy obronną ręką z ciężkiej opresji.

— Ale powiedźcie — pytali zdumieni Barta i Skrzyński — co znaczyła ta wasza wymiana krótkich nic nie znaczących zdań z tym drabem? Dlaczego raptem zostawił nas w spokoju i powiedział „to nasi“?

— Bardzo wiele znaczyło — odpowiedziałem, śmiejąc się. Nie ulega wątpliwości, że wieś ta brała udział w pogromie folwarku, obok którego przejeżdżaliśmy. Teraz obawiają się, że przyjdzie polski oddział sprawić im lanie. Te draby uzbrojone jadą zapewne im z pomocą, ale też mają stracha. Obawiali się, czy nie jesteśmy wysłani na zwiady przez oddział polski, który może już zbliża się do wsi. Nic nieznaczące je-

go słowa były ilustracją grymasu twarzy, którym pytał, czy naprawdę niema polaków. Ja zaś mrugnięciem oczu odpowiedziałem mu, że nie mają się czego obawiać i że może mi ufać, gdyż jesteśmy z jednego korca maku. Nie wiem czy uwierzył mi, że jestem taki sam ananas jak on, czy też poprostu wolął nie zaczepiać w tych czasach, przytem w polu, nieznanych mu czterech osobników.

Pomimo szczęśliwego wydostania się z opalów, nie mieliśmy dobrego humoru. Przeciwnie, stawaliśmy się coraz bardziej pochmurni i milczący. Nie można było się nawet temu dziwić. Zdawaliśmy sobie wszyscy dobrze sprawę, że w razie dojścia do konfliktu z chłopami walka będzie nierówna i niemal dla nas beznadziejna. W polu jeszcze jako tako, chociaż błotnista droga wyłączała możliwość szybkiej jazdy — natomiast we wsi byliśmy w razie zatargu skazani na zagładę. Chłopi byli uzbrojeni i — gdyby ujawnili zamiar aresztowania nas my zaś odpowiedzielibyśmy strzałami — wystrzelaliby nas, kryjąc się sami za chatami, jak kaczki domowe na stawie. Pozwolić zaś siebie aresztować — to dobrowolnie oddać się w ręce rozwydrzonego tłumu na poniewierkę i tortury.

Im bardziej zbliżaliśmy się do następnej wsi, tem większe panowało w naszym małym gronie przygnębienie. Nikt z nas nie zdradzał się ze swemi myślami, pełnemi obaw, ale czułem, że każdy z mych towarzyszy przeżywa to samo co ja.

Wreszcie wjechaliśmy w ulicę dużej wsi. Było już dobrze popołudniu, więc ziemia prażona słońcem, tak rozmokła, że robiła wrażenie rzadkiego ciasta. Konie z coraz większym trudem ciągnęły bryczkę. Nie mogliśmy nawet wysiąść, by ulżyć koniom — tak wielkie było błoto. Ze zdziwieniem zauważyliśmy, że ulica wiejska była zupełnie pusta. Od czasu do czasu tylko widać było w głębi podwórza za chatą krzątające się kobiety.

— Dziwnie pusto — zauważyłem.

— Zapewne „towarzysze“ całą wsią wybrali się gromić sąsiedni folwark — rzucił z przekąsem Skrzyński.

Cisza ta i pustka jeszcze bardziej podniecały nerwy. Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy wsi pochowali się w chatach i przez małe ciemne okienka podejrzliwie nas obserwują. Miałem uczucie, że przeszywają nas złe i ponure spojrzenia przyczajonych chłopów, którzy za chwilę rzucają się znienacka na nas z krzykiem i przekleństwami. Rękę trzymałem w kieszeni — ściskając kurczowo brauning. — Jedźmy szybciej — miałem ochotę krzyknąć, lecz słowa grzęzły w gardle, gdyż wiedziałem, że konie są tak zmęczone, iż ledwo ciągną.

Tymczasem końca wsi nie było widać. Wreszcie ostatnie opłotki. Odetchnąłem z ulgą — niestety nie nadługo. Nie odjechaliśmy bowiem kilkuset metrów i zaczęła się nowa wieś — jeszcze większa, a więc z jeszcze dłuższą ulicą. I znowu to samo. Znowu straszliwe błoto, w którym tonęły koła bryczki, znowu ta sama cisza i pustka we wsi.

Świadomość, że trzeba znowu kilka kilometrów jechać przez wieś, budziła taki niepokój i obawę, że doprowadzała nerwy do najwyższego napięcia. Zdawało się, że wyrafinowana dłoń kata, nawija każdy nerw z osobna na niewidzialną szpulę.

Biedne, zmęczone konie z coraz większym trudem ciągnęły bryczkę.

— Czy już nigdy nie będzie końca tej przekłętej wsi — myślałem z rozpaczą.

Ostatnim wysiłkiem woli, być może powodowany również wstydem wobec mych towarzyszy, powstrzymywałem się, aby nie wyskoczyć z bryczki i nie uciekać między opłotkami w szczerę pole. Chwilami chciałem krzyczeć: dość już tego czajenia się! — strzelajcie dranie! rzucajcie się na nas z drągami i mordujcie, bo żywcem się nie damy!

Tymczasem wieś wciąż była pusta i cicha. Coraz większą,

coraz bardziej niesamowitą grozę budziła we mnie ta cisza i pustka — tak rażąca w porównaniu ze wzburzonym tłumem pierwszej wsi.

Kilka razy śmierć mnie brała w swoje objęcia, wiele razy zaglądało mi w oczy niebezpieczeństwo, a jednak nigdy w życiu — ani przedtem, ani potem — nie poznałem tak głęboko i wyraźnie podłego uczucia strachu, jak podczas jazdy przez te nieskończenie długie, zdawałoby się, wymarłe wsie.

Zwykle niebezpieczeństwo trwa krótko, pozwala na natychmiastową obronę, przystosowanie się lub odmianę sytuacji. Tu zaś niemożliwość obrony w razie napadu, konieczność odbycia całej tej drogi, powolne krok za krokiem posuwanie się naprzód — wszystko to razem, rozciągało niebezpieczeństwo na nieskończenie długi szereg przeżyć psychicznych tego samego rodzaju. Miało się jedynie świadomość całkowitej bezbronności i zwierzęcego strachu. Jakież to podle wstrętne uczucie — ten strach! Miałem wrażenie, że stopniowo i powoli rozlewa się po całym mem jestestwie cuchnąca, lepka ropa, która zapelnia wszystkie komórki mej duszy, woli i świadomości. Czulem coraz większy wstręt do siebie, nie tylko niemogąc przezwyciężyć tego obrzydliwego uczucia, ale widząc jak ono z minuty na minutę rośnie i potęguje się we mnie.

Milczeliśmy wszyscy. Zapewne i moi towarzysze podróży również przeżywali podobne uczucia.

Nareszcie ostatnia chata. Jakgdyby przez ironję, w podwórzu przy studni, samotna kobieta płukała spokojnie bieleznę. Jeszcze kilka minut i byliśmy w szczerem polu.

Jakże inaczej teraz się czulem. Można było ogarnąć wzrokiem szeroki horyzont. Można było zawczasu ujrzeć każdego zbliżającego się ku nam, przygotować i ułożyć plan obrony. Cicho jednak i pusto było w polu. Również pusto było na

gościńcu. Zdaleka zaczęły zarysowywać się kontury zabudowań jakiegoś osiedla. Był to Szpików.

Tuż pod Szpikowem uderzył nas niesamowity widok. W polu porzucone stały dziesiątki armat i jaszczyków z amunicją. Żywej duszy wokół.

Tak tragicznie kończyła się wojna w tym kraju. Dla nieprzyjaciela pozostawiono jedynie trud zabrania sprzętu wojennego.

— A co Barta? — odezwałem się. — Nie mówiłem Wam, że można stworzyć tu armję, gdzie każdy żołnierz mógłby być uzbrojony nietylko w karabin maszynowy ale i armatę?

Barta nic nie odpowiedział, tylko zdziwionem okiem artylerzysty patrzył na łup wojenny zwyciężkiej anarchji. Myślał zapewne w tej chwili o „samowarkach“ legionowych Brzozy, o tym trudzie z jakim wydostawała legionowa artylerja prawdziwe, nowoczesne armaty, takie same, jakie tu porzucono setkami na łaskę losu.

Jeszcze pół godziny jazdy i stanęliśmy w Szpikowie przed bramą polskiej cukrowni, która miała nam dać przytulek. Nie myślałem o tem, że jest to cytadela kapitalizmu i wyzysku społecznego. Ogarnęło mnie uczucie szczerej radości i zupełnego bezpieczeństwa, gdy za nami zamykały się bramy cukrowni, która w tej chwili była dla nas samotną redutą polskości, otoczoną ze wszech stron wrogim żywiołem wzburzonego chłopstwa ukraińskiego.

XVI

Cukrownia w Szpikowie robiła wrażenie małej fortecy. Należał do niej cały zespół budynków, zajmujących dużą przestrzeń, otoczonych ze wszystkich stron wysokim murem. Cukrownia nie pracowała, lecz posiadając znaczne zapasy cukru, stanowiła przedmiot pożądań okolicznych włościan i włóczących się resztek oddziałów wojskowych. Większość jednak urzędników i robotników w cukrowni stanowili polacy, którzy zorganizowali z pośród siebie dobrze uzbrojoną milicję, skutecznie broniącą cukrownię przed rozgromieniem.

Dyrektor cukrowni p. Grzebski — o ile mnie pamięć nie myli co do nazwiska — pozostał również na swem stanowisku. Był sam, gdyż rodziny wszystkich urzędników oddawna zostały wysłane do większych miast. Powitał on nas uprzejmie, zapraszając jednocześnie na kolację do swego ogromnego mieszkania, pustego i smutnego w tej chwili.

Zamknięty w cukrowni — jak w otoczonym przez wroga forcie — pozostawał odcięty od świata, ciekaw więc był nowin i ostatnich wiadomości. Gdy dowiedział się, że przyjechaliliśmy z Bartą z Polski, skwapliwie zaczął nas wypytywać o sytuację w kraju. Gawędziliśmy do późnej nocy. Między innemi opowiedzieliśmy mu o naszej przygodzie z chłopami.

— Ach, moi Panowie! — śmiał się gospodarz — dziwicie się, że chcieli zabrać Wam konie. Oni wszystko chcą zabrać. Naprzykład nasza cukrownia nie daje im spokoju. Co noc, ta czy inna banda skrada się i tylko czujność naszej milicji chroni nas od pogromu. I tej nocy zapewne usłyszycie Panowie strzelaninę, ale nie przejmujcie się tem zbyt, gdyż jesteśmy dobrze uzbrojeni, a przytem i obecność Niemców w okolicy, działa na chłopów również uspokajająco.

Z dalszych opowiadań gospodarza dowiedzieliśmy się, że Niemcy trzymają się tylko linii kolejowych, nie zajmując nawet miasteczek leżących kilka kilometrów od toru. Dlatego też i w Szpikowie Niemców nie było, mimo że miasteczko to odległe jest zaledwie kilkanaście kilometrów od wielkiej linii kolejowej Kijów — Odesa, którą już od paru dni zajęły oddziały niemieckie. Jednakże sam fakt zjawienia się tych oddziałów na liniach kolejowych wywołał panikę wśród wojsk rosyjskich, licznie rozkwaterowanych w tych okolicach.

— Niemcy chwycili się bardzo sprytnego sposobu — mówił dyrektor. — Ogłosili szeroko przez swych agentów, że wszyscy żołnierze z armji rosyjskiej mogą swobodnie wracać do domu pod warunkiem, że nie będą posiadać przy sobie broni. Każdego zaś spotkanego z bronią w rękę będą rozstrzeliwać. Posunięcie było niezwykle sprytne. Armaty w polu, o których mi Panowie opowiadali, porzucone, zostały na skutek tych pogłosek. Żołnierze rzucają broń i masowo uciekają. A cóż mówić o wielkich składach lub ciężkiej broni, jak na przykład artylerja. Dzieją się nawet rzeczy wręcz zabawne. W okolicy stało kilka pułków kawalerji i kozaków. Wielu z nich sprzedaje konie za bezcen, obawiając się, że koń może być uznany za broń lub poprostu odebrany przez Niemców. Dlatego wołać wiać raczej na piechotę. W tym samym Szpikowie można kupić za kilkanaście rubli ładnego konia z siodłem lub wozem — co kto woli. Ale,

co tam konie! — śmiał się gospodarz. — Jak Panowie będą jechać do Tomaszpola, to po drodze, w szczerem polu, zobaczą kilkanaście porzuconych aut. Stała tu w okolicy automobilowa kolumna sanitarna. Szoferzy urządzili wiec i zdecydowali, że niemcy mogą uznać sanitarki za broń, wobec czego postanowili popsuć motory i zostawić auta w polu, do domu zaś wracać pieszo. Tak też uczynili.

Ze zdziwieniem słuchaliśmy tych opowiadań. Byliśmy świadkami ciekawego zjawiska masowej psychozy krzewiącej się na tle zmęczenia wojną, rozluźnienia dyscypliny i psychicznego załamania się pod wpływem nowych i oszałamiających hasel wysuniętych przez rewolucję. Słuchając tych opowiadań, zaczynaliśmy rozumieć dlaczego władza sowiecka rozpoczęła rokowania pokojowe. W tych warunkach każdy rząd musiałby szukać pokoju i kapitulować. Bolszewicy chcieli przynajmniej szachować przeciwnika groźbą wywołania rewolucji socjalnej i w jego krajach.

Gdy znalazłem się sam w pokoju wyznaczonym mi na nocleg, długo nie mogłem zasnąć. Zbyt silne były wrażenia, które przeżyłem tego dnia, abym mógł odzyskać wewnętrzny spokój. Wciąż majaczyły mi przed oczyma chciwe, ponure twarze chłopów, ich oczy płonące złym, nienawistnym ogniem. Wzdrygnąłem się na myśl, że następnego dnia trzeba będzie znowu jechać poprzez zrewoltowane wsie, znowu przeżywać tą samą mękę podłego, upokarzającego strachu.

— A czemuż nie kupić wierzchowców? Dyrektor mówi, że uczynić to bardzo łatwo: dość pójść do miasteczka — pomyślałem nagle.

Myśl ta podobała mi się bardzo. Jazda konno miałaby zgoła inny charakter. Czulibyśmy się pewniej. Moglibyśmy nawet omijać wsie. Zresztą jazda konno nawet przez ulicę wiejską zupełnie inaczej wyglądałaby: każdej chwili

moglibyśmy rzucić się między opłotki, rewolwerami torując sobie drogę.

— Tak, stanowczo jutro będę namawiał Bartę i Skrzyńskiego, aby każdy z nas kupił sobie konia — pomyślałem.

Uspokojony tą decyzją zasnąłem.

Zrana, gdy zszedłem do jadalnego pokoju na śniadanie, zastałem przy stole gospodarza oraz obu moich towarzyszków podróży.

— Naradzamy się z panem dyrektorem — odezwał się Skrzyński — czy nie opłaciłoby się nam kupić konie i dalszą drogę odbyć konno.

Roześmiałem się wesolo.

— Czego Pan się śmieje? — pyta zdziwiony Skrzyński. — To wcale dobra myśl. Chyba, że Pan nie umie jeździć konno.

— Co do tego bądźcie spokojni. W Turkiestanie, gdzie dzieciństwo i młodość spędziłem, każdy umie konno jeździć. Nieraz po 70 — 100 kilometrów dziennie robiłem... Śmiałem się dlatego, że właśnie idąc na śniadanie, chciałem zaproponować Panom to samo.

— No to doskonale się składa — ucieszył się Skrzyński. — Wobec tego idę do miasteczka na wywiad.

Zasiadłem do śniadania. Gospodarz pytał mię, czy słyszałem strzelaninę w nocy. Przyznałem się, że spałem tak mocno, iż nic nie słyszałem.

Nie zdążyłem skończyć śniadania, gdy wpada do pokoju rozpromieniony Skrzyński.

— Mam już konia! — woła zdaleka. — Za 35 rubli kupiłem na rynku dobrego konia razem z siodłem. Przeprowadziłem go już do cukrowni i oddałem do stajni. Istotnie na rynku kozacy sprzedają konie dziesiątkami. Duży jest nawet wybór.

— Wobec tego chodźmy kupować — zawołał Barta.

Wyszliśmy we trójkę do miasteczka, które zaczynało się tuż za cukrownią. Nie uszliśmy kilkudziesięciu kroków, gdy zobaczyliśmy kozaka jadącego na dobrym, karym koniu.

— Ej, towarzyszu, a może tak sprzedacie konia? — zagadnąłem kozaka.

— A czemu nie. Można!

— Ile chcecie?

— Dwadzieścia pięć rubli.

— Z siodłem?

— Tak z siodłem.

— Zgoda. Dawajcie konia!

Kozak zeskoczył z konia. Wyciągnąłem dwudziestopięciorublowy papierek i wręczyłem kozakowi, który uderzył silnie swoją dłońią po mojej, zostawiając w niej cugle. Za chwilę kozak dziwnie śmiejąc się, jakgdyby mu było nieco wstyd, a być może trochę żal konia, poszedł zpowrotem w stronę miasteczka. Koń był mój. Stało się to wszystko tak niespodzianie i nagle, że i ja również czułem się nieco głupio, gdyż cała ta transakcja kupna konia za bezcen od deztertera miała mimo wszystko pewien niemiły posmak.

Barta ze Skrzyńskim poszli dalej, ja zaś zawróciłem z koniem do cukrowni, aby również oddać go pod opiekę służby stajennej.

Po pewnym czasie wrócili Barta ze Skrzyńskim, prowadząc ładną i dużą białą klacz.

Barta, mając duży wybór, dość długo szukał takiego konia, któryby mu odpowiadał. Kupił wreszcie klacz za pięćdziesiąt czy siedemdziesiąt rubli.

W ten sposób byliśmy gotowi do dalszej drogi.

Dyrektor cukrowni zaproponował nam zostać na obiedzie, słusznie twierdząc, że konno szybko dojedziemy do Tomaszpola. Chętnie przyjęliśmy zaproszenie, tembardziej, że po przejściach poprzedniego dnia nie bardzo kwapiliśmy się znowu brnąć poprzez rozhukany żywioł chłopski. Konie otrzymały dobre porcje owsa, my zaś poszliśmy na obiad

Podczas obiadu miałem znowu całą przeprawę o mój strój cywilny. Towarzysze podróży z dużą dozą słuszności twierdzili, że dość dziko będę wyglądał na koniu w cywilnem ubraniu. Mój upór tembardziej ich dziwił, że kupno na rynku miasteczka szynelu i długich butów byłoby kwestją kilku minut.

Przyznałem im rację, jednakże upierałem się, że pojedę w swem cywilnem palcie. Taki już kawał drogi odbyłem w niem, że nie chciałem kapitulować przed samym sobą. Nie miałem innego argumentu, jak ten, iż dałem sobie słowo, że nie włożę rosyjskiego szynela. Widząc mój upór, Barta i Skrzyński przestali nalegać. Na szczęście z mego umundurowania legionowego, pozostały mi w plecaku owiaki austriackie, które zastąpiły mi długie buty.

O godzinie czwartej popołudniu wyruszyliśmy w dalszą drogę, aby jeszcze tego samego dnia dotrzeć na nocleg do polskiej cukrowni w Tomaszpolu.

Jakże inaczej czuliśmy się jadąc konno. Przedewszystkiem mieliśmy poczucie swobody, świadomość możności szybkich ruchów i decyzji. Konie były dobre, mogliśmy więc na nich polegać. Pozatem jechaliśmy skrajem drogi, gdzie było bardziej sucho, popędzaliśmy tedy konie i często jechaliśmy klusem.

W odległości kilku kilometrów od Szpikowa ujrzeliśmy w pustem polu kilkanaście porzuconych aut. Wogóle po drodze nie spotykaliśmy nikogo.

Wreszcie zbliżyliśmy się do toru kolejowego, który musieliśmy przeciąć. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie — wjeżdżaliśmy bowiem na terytorjum okupacji niemieckiej. Ale, jak okiem sięgnąć i w prawo i w lewo wzdłuż toru kolejowego była kompletna cisza i pustka.

Wkrótce wjechaliśmy w jakąś wieś. Przy chatach na zapieckach siedzieli chłopci, ciekawie nam się przyglądając. Widocznie jednak mieliśmy miny tak pewne siebie, że nikt nie odważył się nas zaczepiać.

Istotnie czulem się pewnie. Na przegubie dłoni zwiślał mi mocny nahaj kozacki, w bocznej kieszeni palta miałem zarepetowany brauning, nic też dziwnego, że nawet wyzywająco spoglądałem na obserwujących nas chłopów.

Widocznie chłopci wyczuwali tę naszą pewność siebie i woleli nie zaczepiać. Byś może, zresztą, widząc naszą postawę, brali nas za dygnitarzy sowieckich. Bez żadnych przeszkód i w doskonałych humorach szybko posuwaliśmy się naprzód.

Krajobraz powoli zaczynał zmieniać się: raz po raz mijaliśmy jary, zbliżaliśmy się bowiem do Dniestru.

...Jary nadniestrzańskie!...

I znowu coś znajomego, jakieś wspomnienie zaczęło we mnie nurtować. Prawda, toż tą samą drogą, tak samo konno jechali Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian, by wyrwać kniaziównę z rąk Bohuna. Przecież byliśmy na tym samym co i oni szlaku, również zdążając do Jampola.

Nietylko jechaliśmy tą samą drogą, ale i w podobnych okolicznościach.

To samo, jak i wówczas, wzburzone pospólstwo, ta sama żądza krwi i rabunków „czerń“ — jak mawiał Zagłoba — jak wówczas tak i dziś paląca i niszcząca mienie nienawistnych „panów-lachów“. I gdy tak mijaliśmy te wsie ukraińskie, gdy obserwowaliśmy te twarze tak ponure, zło-

wrogie, trudno było pozbyć się przeświadczenia, że takie same pochmurne i nieufne spojrzenia spoczywały na Wołodajowskim i Zagłobie.

Konie spokojnie szły stępą, zlekka ocierając się o siebie, jak gdyby szukały równania i wspólnego kroku. Milczeliśmy, ulegając urokowi wczesnego zmroku, który ciicho i powoli mgłą przejrzystą ogarniał bezludny i bezkresny step ukraiński.

Tak samo zapewne — pomyślałem — milczeli Zagłoba i Wołodajowski zatroskani o los swej kniaziówny.

Zaśmiałem się niemal głośno, gdy uprzytomniłem sobie, że myślę wciąż o tych kochanych bohaterach cudnej „Trylogji” Sienkiewicza, jak o ludziach realnych, którzy naprawdę kiedyś tam żyli, naprawdę kiedyś tą samą drogą jechali. A przecież to tylko postacie wyimaginowane przy biurku, zrodzone z fantazji potężnego talentu wielkiego pisarza.

A jednak wbrew logice, wszystko się we mnie buntowało: zdawało mi się, że widzę na drodze ślady kopyt koni Zagłoby i Wołodajowskiego. Nie, to niemożliwe. Ci ludzie naprawdę żyli, naprawdę tą drogą jechali i tak samo jak my ulegali czarowi wiosny w tym stepie szerokim!

Dlaczego właśnie Sienkiewicz — myślałem — osiągnął ten cud, że bohaterowie z jego „Trylogji” — Wołodajowski, Skrzetuski, Zagłoba, Podbiłęta, Bohun, Kmicic, Soroka — żyją w świadomości narodu polskiego, stali się postaciami realnymi, niemal historycznymi narówni z królem Janem Kazimierzem, Wiśniowieckim, Chmielnickim? Dlaczego?

Bo Sienkiewicz był Tkaczem, który szarą nić smutnej rzeczywistości narodu powiązał ze złotą nicią przeszłości polskiej i zaczął tę złotą nić wplatać w duszę budzącego się z wiekowego letargu chłopca polskiego, wiązać nią ser-

ce robotnika polskiego mocnymi węzłami z historją narodu, od której chciano go zupełnie oderwać, ucząc, że proletarjat niema nigdzie ojczyzny i że winien kroczyć ku nowemu ustrojowi społecznemu drogą kosmopolityzmu. Dla warstw zaś oświeconych, dla tych wszystkich epigonów dawnej szlachty, wegetujących za ladą lub przy biurku, „Trylogja“ stała się cudotwórczym eliksirem, który obudził w każdym z nich atawistyczne instynkty, sprawił, że żywiej zaczęła krążyć krew w zwiotczących żyłach, wydobywając na powierzchnię duszy z najgłębszych pokładów zamarłe, zapomniane i lekceważone tradycje przodków.

Wspomnienie tej dalekiej przeszłości obudził Sienkiewicz właśnie w pokoleniu, któremu trzeźwy rozum i hasło wzbogacenia się dyktowały, aby odwrócił się od tej przeszłości i zapomniał o niej.

Sienkiewicz potęgą swego talentu przypomniał swemu pokoleniu tę przeszłość, jak się przypomina dawny sen, który się śniło, a którego po przebudzeniu nie pamięta się, chociaż tkwi podświadomie gdzieś tam na dnie duszy.

Lecz to nie był sen, jeno zapomniana rzeczywistość, którą każdy nosił w sobie biorąc ją w spadku od przodków razem z krwią, która jak z kielicha do kielicha z pokolenia w pokolenie się przelewała.

I oto każdy po przeczytaniu „Trylogji“ zaczynał odczuwać, że tkwi w nim wspomnienie tamtych minionych czasów, że krążą w żyłach jego te same krople krwi, które krążyły ongi w żyłach tych, którzy tamtych czasów byli uczestnikami lub świadkami. I dlatego dziś w każdym z nas właśnie „Trylogja“ budzi wspomnienie uniesień, wad i przeżyć naszych przodków, które nanowo tak realnie uczyniamy psychicznie przeżywać.

Każdy z nas będąc nawarstwieniem minionych pokoleń, potrochu odnajduje samego siebie w każdym z boha-

terów Sienkiewicza. Któryś tam z naszych pradziadów nie ustępował Zagłobie w ilości wypitych garnców miodu, inny znowu mógł być wzorem cnót nawet dla Skrzetuskiego.

Dlatego też wszyscy ci wyimaginowani talentem Sienkiewicza bohaterowie są w naszej świadomości realnymi postaciami, bo są to portrety i życiorysy naszych przodków, bo takimi byli oni w rzeczywistości — a że byli takimi, a nie innymi zaświadcza nam o tem nasza własna krew w spadku po tych przodkach w nas krążąca.

...Konie idą wciąż tym samym miarowym krokiem. Moi towarzysze podróży nadal milczą. Niech milczą — po co zakłócać ciszę pięknego wieczora. Tak się dobrze myśli i marzy w tej ciszy. O czemże myślałem przed chwilą? Ach tak, o Sienkiewiczu. Ogarnia mnie nagle fala dalekich wspomnień.

...Żar popołudniowy zalewa swemi gorącemi falami ogromne podwórze. Puste jest ono — jak gdyby wymarłe, bo kto żyw chroni się w cieniu. Ludzie siedzą w zasłoniętych okienicami półmrocznych pokojach, psy drzemą w cieniu, przez sen opędzając się od dokuczliwych much; nawet kury pochowały się pod krzakami pobliskiego ogrodu, gdzie zarywszy się w piasek wachlarzem rozpostarły swoje pstre skrzydła i szeroko otwartym dziobem ciężko wdychają powietrze.

Z wozowni wychodzi ośmioletni chłopak, trzymając w ręku książkę. Wielka wygodna bryczka podróżna, przystosowana do jazdy setek kilometrów, była ulubionym miejscem chłopca dla czytania, gdyż w wozowni w największe nawet upały zawsze było świeżo i przewiewnie. Chłopak właśnie skończył czytać „Ogniem i mieczem“. Mruży oczy przed ostre promienie słońca, które jakgdyby chciały go obudzić z zadumy, przypomnieć, że jest w dalekiej Azji. Chłopiec bowiem myślał na Litwie Świętej, ziemi oj-

ca i dziadów swoich, tak umiłowanej i wyidealizowanej, a nigdy jeszcze nie widzianej. Nie czuł żaru słońca Turkestanu. Zdawało mu się, że słyszy szum odwiecznych, czasy Jagiellonów pamiętających, lasów Ziemi Nowogrodzkiej, że widzi je oczyma ojca swego, kórego tyle razy prosił o tej ziemi dalekiej opowiadać.

Nagle chłopiec ocknął się, rozejrzał się wokół — wszędzie pusto, niema nikogo. Kładzie książkę na ziemi, bierze jakiś patyk, jeszcze raz rozgląda się wokół i zaczyna zażartą walkę na szable z niewidzialnym wrogiem. Naciera, cofa się, wypada, zasłania się. Jest w tej chwili Wołodyjowskim i walczy z Bohunem.

Dlaczego Wołodyjowskim?

Być może dlatego, że sam jest małego wzrostu, że jest najmniejszym wśród swych rówieśników, że wyśmiewany i przezywany „korniszonem“ z racji swego wzrostu, musi staczać nieustanne bójkę w obronie obrażonej ambicji. A może dlatego, że pomimo swego małego wzrostu jest znanym zabijaką, urwisem, utrapieniem służby nie tylko w domu, lecz i wszystkich sąsiadów.

Mijają lata. Czwartoklasista w gimnazjum, gdzie niemal jeden musi wśród tych obcych rosjan, kirgizów, chińczyków na dalekich krańcach cywilizacji europejskiej reprezentować dobre imię polaka, — Skrzetuskim jest wówczas niezłomnym, poważnym w spełnianiu swych obowiązków.

Mija kilka lat. Ukradkiem, ciemnymi ulicami śpiącego miasta banda urwisów pod wąsem sunie do szynku, gdzie ma zarezerwowany dla siebie osobny pokój. Właścicielem tego szynku jest stary polak-powstaniec 1863 roku, szewc z Warszawy — świetny szewc, u którego „sam gubernator“ i wszyscy eleganci buty zamawiali. Dorobił się kapitaliku, warsztat oddał synowi, a sam postanowił utrzymywać się z małego szynku, widząc w tem dobry interes, chociażby

dlatego, że przedtem zbyt wiele przepijał w cudzych szynkach — wolał więc sam, jako przedsiębiorca, zarabiać na sobie, jako pijaku. Wyszedł na tem jeszcze gorzej, bo przepijał we własnym szynku uzbierany kapitałik wspólnie z przyjaciółmi, podejmując ich darmo ze szczerą staropolską gościnnością i rozpijając się w ten sposób do reszty.

Lubił sztubaków, więc dawał nam kredyt nieograniczony. Był ogromnego wzrostu, łysy, miał wąsy sumiaste i ogromny nos płonący wszystkimi odcieniami tęczy. Zagłobą go zwaliśmy — on nas swymi synalkami. I gdy pijany szłał ogarniał smarkacza, gdy nieco się wstyd robiło, wówczas wesóły, rubaszny śmiech naszego „pana Zagłoby“ dolatujący z szynku, jak gdyby rozgrzeszał, i — zdawało się — gdzieś z kąta wśród oparów dymu i wina wylaniała się twarz Zagłoby, który porozumiewawczo i zachęcająco mrugał swem jednym okiem i jak gdyby mówił tem mrużeniem: pij, pij synku, polakowi gorzalka nie szkodzi.

I znowu minęło kilka lat. Mały chłopak uwielbiający Wołodyjowskiego stał się dorosłym młodzieńcem. I nadal niewiedzieć poraz który rozczytuje się w „Trylogii“. Teraz bohaterem jego jest Bohun. Dlaczego? Być może dlatego, że Bohun imponował mu swoją zuchwałą odwagą, żądzą przygód, że umiał mocno kochać i nienawidzić.

Ale i po dziś Bohun jest ulubioną przeze mnie postacią „Trylogii“. Być może dlatego, że i w moich żyłach płynie krew „kresowca“, że i w mojej duszy panoszy się duch niepokoju, który każe mi szukać przygód, nęci urokiem niebezpieczeństwa, upaja czarem i rozkoszą ryzyka.

A być może i dlatego, że ten watażka nad wszystko kochał swoją sławę mójca, więcej niż życie miłował swój honor żołnierski, a gdy zewsząd otoczony znalazł się, zdawałoby się, w matni bez wyjścia, umiał torować sobie drogę ku wolności, tworząc dla siebie i swych żołnierzy gro-

blę z rzuconych w błoto futer sobolich, dywanów perskich i jedwabnych namiotów tureckich...

— Nic dziwnego, że tak lubię Bohuna — myślałem — widocznie dobrze wyczuli we mnie tego ducha niepokoju, który gnał Bohuna aż pod mury Stambułu, ci, którzy mnie tu wysłali i kazali włóczyć się po kraju, objętym pożogą i buntem.

Spojrzałem na moich towarzyszków. Każdy był gdzieś daleko myślami. Ręce bezwładnie spoczywały na łuku siodła. Konie nie czując kierownictwa wlokły się krok za krokiem.

— Panowie dość tej drzemki! Już późno! — zawolałem. — Jazda!

Za chwilę wypoczęte konie szły dobrym kłusem.

Była już prawie noc, gdy stanęliśmy w Tomaszpolu. I tu cukrownia sprawiała wrażenie otoczonej murami fortecy, tembardziej, że ogromny jej dziedziniec był dosłownie zapchany armatami i jaszczykami artyleryjskimi.

W cukrowni Tomaszpolskiej panowały coprawda inne porządki, aniżeli te, które widzieliśmy w Szpikowie, — ale w istocie rzeczy były to tylko pozory. Dyrektor cukrowni opuścił swoje stanowisko, przekazując władzę komitetowi delegatów robotników cukrowni. Na czele tego komitetu stał jeden z urzędników administracji cukrowni p. Adam Niemojewski — obecny redaktor „Myśli Niepodległej“. Gdy dowiedziałem się z rozmowy z nim, że jest synem Andrzeja Niemojewskiego, powiedziałem mu swoje prawdziwe nazwisko, które znał, gdyż czytywał „Prawdę“ i „Widnokrąg“ z memi artykułami. Zapanował tedy między nami odrazu stosunek wzajemnego zaufania. Pan Adam Niemojewski przyznał mi się, że wobec nacisku miejscowych władz bolszewickich należało uciec się do utworzenia komitetu robotniczego, ale że faktycznie wszystko i nadal po-

zostaje w ręku administracji, gdyż robotnicy cukrowni to polacy — bardzo krytycznie usposobieni wobec rewolucji bolszewickiej i nowej władzy.

Skrzyński czuł się w tych okolicach jak w domu. Nieopodal stąd był majątek jego ojca, zdecydował tedy po kilku godzinach odpoczynku ruszyć na noc do Jampola, gdzie wówczas mieszkali jego rodzice. My zaś z Bartą mieliśmy przyjechać tam następnego dnia. Zrana gdy znowu spotkałem się z p. Niemojewskim szczerze wyznałem mu cel naszej podróży. Pan Niemojewski należał w tym okresie do obozu demokratycznego polskiej emigracji, więc do sprawy tworzenia armji polskiej w Rosji był ustosunkowany dość sceptycznie, pomimo to jednak oddawał pewne usługi II korpusowi w Sorokach. Między innemi, naprzykład, jako Prezes Komitetu Robotniczego zachęcił żołnierzy z artylerji, która stała w Tomaszpolu, aby poszli sobie do domów, zostawiając na przechowaniu w cukrowni za jego pokwitowaniem armaty i sprzęt. Oczekiwano tylko odpowiedniej sposobności, aby te armaty przekazać II Korpusowi. Pozatem dekował się tu przez czas dłuższy oddział polskich żołnierzy. Oddział ten na kilka dni przedtem udał się do Sorok, zaś w cukrowni bawił dowódca tego oddziału, kapitan Erenberg, który przyjechał tu służbowo i miał jeszcze tego samego dnia wracać do Sorok.

Pan Niemojewski przyrzekł zapoznać nas z nim i prosić aby zabrał nas tam ze sobą, ułatwiając nam w ten sposób drogę. Kapitan Erenberg chętnie zgodził się, zapowiadając, że zaraz popołudniu wyjedziemy, aby na wieczór być w Sorokach.

Wkrótce wyruszyliśmy w drogę do Jampola, którą odbyliśmy bez żadnych przeszkód.

W Jampolu zajechaliśmy do pp. Skrzyńskich, którzy

poinformowani przez syna, oczekiwali z obiadem i przyjęli nas bardzo gościnnie.

Jampol poprzedniego dnia przeżył wielką emocję, której powodem był przemarsz przez miasto i przeprawa przez Dniestr II Brygady. Przemarsz ten — oczywista — wzbudził wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców całego miasteczka, ludność zaś polska przyjmowała wiarusów z Żelaznej Brygady z wielkim entuzjazmem.

Brygadjer Haller obiadował u pp. Skrzyńskich, którzy wyraźnie byli dumni, że mogli gościć u siebie w tej chwili tak popularnego żołnierza, okrytego nie tylko sławą wojkową, ale i urokiem rozpoczętej tułaczki. Cieszyłem się, słuchając opowiadań o tem, jak świetnie wypadła defilada przed generałem Stankiewiczem, jak legioniści podhili serce wszystkich swoją wesołością, a jednocześnie wielką karnością i ładem panującym w ich szeregach.

Po obiedzie ruszyliśmy w dalszą drogę do Sorok, położonych kilkanaście kilometrów od Jampola po drugiej stronie Dniestru. Jechaliśmy znowu we trójkę z kapitanem Erenbergiem, gdyż Skrzyński pozostał u rodziców, obiecując przyjechać następnego dnia rano.

Wkrótce stanęliśmy nad brzegiem Dniestru, aby przeprawić się promem na drugą stronę.

Na brzegu uwijało się sporo legunów. Okazało się, że prom od rana był zajęty przeprawianiem przez rzekę taborów legionowych, których część jeszcze pozostała na tym brzegu. Uderzyła mnie beztroska wesołość taborytów. Czekać na prom śpiewali wesołe piosenki legionowe, niektórzy grali na wozach w karty, inni prali na brzegu bieliznę, inni znowu mizdrzyli się do dziewczyn.

— Chłopcy! Kto jeszcze z was nie dał listów do „feldpost“, niech daje tu szybko, bo muszę już oddawać! — usłyszałem nagle wołanie sierżanta z którym rozmawiała po

polsku jakaś młoda pani — widocznie z miejscowego polskiego społeczeństwa.

Do sierżanta zbliżyło się kilku żołnierzy oddając mu pocztówki wojskowej poczty austriackiej. Sierżant trzymał w ręku całą masę tych pocztówek i listów.

— Pani będzie tak dobrą — jak przyjdą do Jampola te sakramenckie dziady austriackie, dowiedzieć się gdzie będzie „feldpost“ i dać tam te listy, a te durne austriaki dalej to pošlą — mówił sierżant, wręczając jej paczkę listów. Ze szczerym zachwytem obserwowałem tę scenę. Prawdziwa, przysłowiowa leguńska zaradność i czelność — obarczać wojskową polową pocztę austriacką dostarczeniem listów wysłanych przez „buntowników“ do ich krewnych i bliskich w kraju!

Zacząłem gawędzić z legunami. To, co przewidywałem w Kamieńcu, sprawdziło się. Brygada pomimo forsownych marszów z Kamieńca do Jampola potrafiła „zafasować“ pewną ilość taborów, których przeprawa zajęła prawie cały dzień.

Wkrótce przyszedł prom, na który wladowaliśmy się z naszymi końmi pomiędzy gęsto ustawione taborowe wozy legjonowe. Na brzegu jeszcze pozostało kilka wozów. Słońce zachodziło, złocąc swemi ostatnimi promieniami powierzchnię malowniczej rzeki.

Prom cicho odbił od brzegu — sunąc powoli ku środkowi rzeki.

Stałem u burty promu.

Długo, bardzo długo było słyhać w ciszy wiosennego wieczoru odgłosy wesolej piosenki legjonowej śpiewanej przez taborytów czekających na brzegu na swoją kolejkę.

Gdy wyładowaliśmy się na przeciwnym brzegu zaczynał się zmierzch.

• Ruszyliśmy w dalszą drogę. Szybko zapadała ciemna

noc. Odczuwało się odrazu, że jesteśmy w innym kraju. Noc bowiem na tej ziemi besarabskiej była tak ciepła, jak gdyby było już tu lato.

Droga była zupełnie sucha. Konie wesoło parskając szły dobrym klusem.

Milczeliśmy, rozkoszując się ciszą, ciepłem i nieprzeniknionym mrokiem południowej nocy.

Nagle przed nami nieco w dole zajaśniały setki małych światełek. Były to Soroki.

XVII

Zbliżając się do Sorok, zdecydowaliśmy z Bartą, że niezwłocznie zameldujemy się u generała Stankiewicza, dowódcy II Korpusu.

Kapitan Erenberg uprzejmie podjął się wskazać nam drogę do gmachu Dowództwa Korpusu i ułatwić otrzymanie audjencji.

Istotnie, gdy kapitan Erenberg w adjutanturze wyjaśnił w jakim charakterze przyjechalśmy, zostaliśmy niezwłocznie przyjęci przez generała Stankiewicza.

Powitał nas bardzo niechętnie, oświadczając na wstępie, że nie zajmuje się polityką, gdyż należy to do kompetencji Komitetu Wykonawczego Związków Wojskowych Polaków, do którego radzi nam się zwrócić.

General Stankiewicz — siwy, małego wzrostu staruszek — był typowym rosyjskim generałem starej daty; źle mówił po polsku, nie orjentował się wcale w stosunkach politycznych w Polsce, nie zdradzał najmniejszej chęci dowiedzieć się od nas o sytuacji w kraju — poprostu, nie interesowało go to wszystko. Sprawiał wrażenie człowieka zmęczonego, wykołajonego, nie mogącego należycie przystosować się do nowej sytuacji i roli dowódcy polskiej formacji.

Ze zrozumiałem zainteresowaniem zaczęliśmy rozpyty-

wać go o II Brygadę, o wrażenie, jakie wywołało jej przyjście na oficerów i żołnierzy Korpusu.

Ze skąpych odpowiedzi generała Stankiewicza stwierdziłem z przykrością, że czyn II Brygady nie budził w nim zbyt wielkiego zachwytu. Przeciwnie, w odpowiedziach generała Stankiewicza przebijała wyraźna niechęć do II Brygady, źle ukrywany gniew, że zjawieniem się swem komplikuje sytuację, wytwarza zamieszanie i wywołuje widmo konfliktu z wojskami austriackimi, — wówczas gdy Korpus chce być neutralnym.

Widocznem było, że generałowi Stankiewiczowi daleką i obcą była myśl stworzenia armji polskiej w Rosji dla walki z wojskami państw centralnych.

W trakcie rozmowy, przybierającej coraz przykrzejszy obrót, wszedł do gabinetu oficer, którego całe zachowanie świadczyło, że mimo młodego wieku i rangi kapitana, traktuje generała Stankiewicza jako swego podwładnego. Miało się wrażenie, że jest komisarzem bolszewickim, obdarzonym dużą władzą.

Był to kapitan Leon Bobicki — prezes Komitetu Wykonawczego Związków Wojskowych Polaków frontu rumuńskiego.

Średniego wzrostu brunet, zlekka szpakowaty, miał w sobie coś z japończyka. Czarne, żywe oczy patrzyły przenikliwie — sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie, bardzo energicznego i rzutkiego. Stanowił rażące przeciwieństwo apatycznego generała Stankiewicza. Widać było, że między tymi ludźmi niema wzajemnego zaufania, w zachowaniu się zaś generała Stankiewicza przebijała źle ukrywana niechęć do młodego kapitana.

Wiadomość o tem, w jakim charakterze i poco przyjechaliliśmy do Sorok, nie wywołała zbyt wielkiego entuzjazmu w kapitanie Bobickim — raczej również odczuliśmy w za-

chowaniu się jego w stosunku do nas, a zwłaszcza do mnie, pewien odruch niechęci, jako do intruzów, którzy przyjeżdżają przeszkadzać w pracy.

Z rozmowy kapitana Bobickiego z generałem Stankiewiczem wynikało, że przyjechał on właśnie z Jass, przywożąc stamtąd jakieś bardzo ważne wiadomości, którymi nie chciał dzielić się z generałem w naszej obecności.

Widząc to, pożegnaliśmy się, ustalając, że następnego dnia w południe odbędziemy konferencję z Komitetem Wykonawczym Związków Wojskowych Polaków, który również zjechał in corpore z Jass do Sorok.

W adjutanturze dowództwa zajęto się bardzo uprzejmie sprawą naszego noclegu.

Barta wyraźnie był zgnębiony. Nie dziwiłem się mu wcale, gdyż jako oficer polski, legitymujący się mandatem reprezentanta I Brygady Komendanta Piłsudskiego, mógł spodziewać się innego przyjęcia. O ile chodzi o mnie, to po zetknięciu się z polskimi oddziałami w Dunajowcach, w Kamieńcu, w Antoninach, byłem przygotowany właśnie na takie przywitanie. Wszystkie te polskie formacje wojskowe w Rosji powstawały bowiem pod hasłem skupiania się, w celu możliwie szybkiego zbiorowego powrotu do kraju. My zaś odwrotnie — byliśmy zbiegami z kraju, twierdzącymi, że co im, zmęczonym wojną i znękanym tęsknotą za ojczyzną i rodzinami wydaje się rajem, jest w istocie piekłem. Nie dziwiłem się już tedy, że samo nasze przybycie wywoływało w tych ludziach podświadomą reakcję i niechęć do nas.

W pokoju, przeznaczonym mi na nocleg, stał duży stary fotel. Wygodnie usadowiłem się w nim i długo siedziałem bez ruchu, zatopiony w swych myślach.

Znowu los łaskawy pozwolił mi być świadkiem dalszych aktów wielkiego dramatu, który rozgrywał się w dziejach narodu polskiego.

Oto tu na obcej ziemi spotkali się synowie Polski, dzieci dwóch dzielnic. Jakże odmienne były drogi, które zaprowadziły ich do tego zakątka ziemi besarabskiej.

Jedni — wiarusy Żelaznej Brygady — poszli z własnej woli do walki z Rosją, jednak nienawiść do niej umieli przez czas dłuższy ująć w karby lojalnej współpracy z Austrią.

Drudzy przez kilka lat pokornie krwawili się w szeregach armji rosyjskiej, znajdując w walce z niemcami usprawiedliwienie swej służby w szeregach zaborcy i wroga śmiertelnego Polski. Obecnie pierwsi wyruszyli w świat, wybuchła bowiem w nich do starej zdradzieckiej monarchji Habsburgów wzgarda, silniejsza ponad nieufność do Rosji rewolucyjnej. Drudzy, zmęczeni wojną bezowocną, poniewierką i ofiarą, złożoną za sprawę Rosji carskiej, która wojnę z Niemcami przegrała, pełni coraz większej niechęci dla rewolucji, separowali się od niej i w skrytości ducha wyczekiwali przyjścia wojsk austriackich i niemieckich, jako siły zbrojnej tych państw, które proklamowały Niepodległość Polski, powołały do życia Radę Regencyjną, tworzyły kadry armji polskiej. W piersiach tych znękanym długą wojną żołnierzom, oderwanym przez tyle lat od kraju i rodzin, narastało coraz wyraźniejsze uczucie ufności i sympatji dla wczorajszych wrogów.

Odwieczna polska tragedia rozdarcia duszy narodu!

Jedni, nie mogąc pogodzić się z uciskiem okupantów, opuszczali Polskę, aby salwować swój honor żołnierski. Pomocy do walki o Niepodległość szukali w rewolucyjnej Rosji. W rewolucji rosyjskiej widzieli swego sojusznika w walce o obalenie władzy zaborców i najeźdźców. — Drudzy od tej rewolucji separowali się, zdążali do kraju, widząc w okupantach tę siłę, która zatrzymała fale rewolucji i anarchji u bram Polski. Wierzyli bowiem, że ci okupanci pozwolą im, zmęczonym tułaczom na zasłużony wypoczynek przy ogniskach rodzinnych w atmosferze ładu i porządku społecznego. Jedni

i drudzy synowie tego samego narodu, jedni i drudzy miłujący swój kraj ojczysty, ale jakże odmiennemi drogami kroczący ku lepszej przyszłości. Tymczasem los nielitościwy skrzyżował ich drogi.

Co dalej? Kto okaże się silniejszy, kto narzuci swoją wolę, kto każe drugiemu zawrócić z dotychczasowej drogi i dalej już wspólną drogą iść razem.

Wiedziałem, że II Brygada nie ulegnie fali zmęczenia i nostalgji i nie zawróci ze swej drogi, aby iść pospołu z tymi, którzy odruchowo zdążają ku Polsce.

Ale czy potrafi II Brygada te tłumy wykolejńców, zmęczonych wojną, sponiewieranych przez żołdactwo, przeżartych tęsknotą za krajem, poderwać do dalszej walki o Niepodległość, zawrócić z drogi upokarzającego marszu do kraju, opanowanego przez wroga, który powita ich, jako nowe zastępy dobrowolnie zgłaszających się, niezbędnych niewolników do opustoszałych fabryk i kopalń w Niemczech?

A jak nie uda się? — Jeśli pomimo wszystko w szeregach II Korpusu uczucie tęsknoty za krajem, hypnoza rzekomej potęgi Niemiec okażą się silniejsze, aniżeli świadomość obowiązku wobec Ojczyzny i dumy narodowej, mocniejsze aniżeli honor żołnierski i poczucie solidarności wobec swych kolegów, skazanych na tułaczkę? Co będzie, jeśli pozostawia ich samych swemu losowi, aby nie zamknąć i sobie drogi i możliwości powrotu do kraju z łaski i zezwolenia potężnych okupantów?

Takie oto myśli i obawy dręczyły mnie, szarpały mi nerwy, budziły przerażenie w sercu moim. Nie, nie! To niemożliwe — to byłoby czemś tak potwornem, tak ohydny, że na samą myśl o tem otwierała się przede mną otchłań rozpacz i wstydu.

Jakże inaczej wszystko będzie wyglądać, jeśli II Brygada swoją wiarą zapali i szeregi Korpusu, jeśli te dwie formacje

zleją się razem w jedną całość, jeśli ich spotkanie się tu na obczyźnie stanie się faktycznem zjednoczeniem ducha, serc i uczuć dzieci dwóch dzielnic, prowadzących przez te kilka lat ponurą walkę bratobójczą.

Nie, nie! To niemożliwe, aby rozeszły się ich drogi, aby kochane leguny nie potrafiły swoim patryotyzmem, cnotą żołnierską i tak dobitnym własnym przykładem porwać i tych ludzi, rozpalić w ich sercach ogień dumy narodowej, obudzić świadomość konieczności pozostania nadal na obczyźnie, aby wykuwać tu miecz wolności i niepodległości narodu.

Tak pocieszałem siebie, dodając sobie otuchy i snując coraz radośniejsze plany.

Soroki — myślałem — idealnie nadają się na miejsce takiej kuźni, gdzie spokojnie będzie można organizować siłę zbrojną Narodu.

Soroki leżały bowiem po drugiej stronie Dniestru, zdala od głównych szlaków, któremi posuwały się na wschód wojska państw centralnych, nieopodal frontu rumuńskiego, na którym jeszcze trwały walki.

W Jassach znajdował się rząd rumuński i posłowie państw koalicji, co stwarzało łatwą możliwość nawiązania z nimi kontaktu i zdobycia środków dla organizacji armji.

Soroki położone były w kącie między Dniestrem a Prutem, co dawało możność obrony przed wojskami austriackimi, gdyby te zechciały atakować. Przytem, znając stan moralny i bojowy tych wojsk, można było spodziewać się, że nie będą one same szukały zaczepki, zwłaszcza, że Soroki leżały zboku od tych głównych rosyjskich magistrali kolejowych, które wojska państw koalicyjnych zajmowały na Ukrainie. Chodziło o przetrwanie kilku miesięcy, gdyż byłem święcie przekonany, że koniec Austrii zbliża się szybkimi krokami.

Położenie Sorok miało tę jeszcze dobrą stronę, że stam-

tąd niedaleko było zarówno od Bukowiny, jak i Galicji — co dawało możność w razie wypadków w Austrii, szybkiego wkroczenia na jej terytorjum.

Takie snuł plany niepoprawny, wieczny optymista. Marzyłem o tem, że w tych samych Sorokach stworzymy przedstawicielstwo z delegatów wszystkich stronnictw, którzy dadzą akcji wojskowej sankcję polityczną, nadadzą jej przez to charakter sprawy ogólnonarodowej.

Zagłębiany wygodnie w starym fotelu, widziałem oczyma mej wiary, jak Soroki — małe, nikomu nieznane miasteczko, staje się chwilową stolicą Polski Niepodległej. Tu będzie powstawać niezależna armja polska, świetnie uzbrojona, ożywiona wiarą w zwycięstwo, która da podstawy do prowadzenia poważnej akcji dyplomatycznej, zmusi państwa kalicji poważnie liczyć się z Polską. Stąd będzie kierowana, podsykana i zasilana cała działalność konspiracyjna obozu niepodległościowego w kraju. Miesiąc, tylko miesiąc czasu wytchnienia, możności pozostania w Sorokach — szeptałem, zapatrzony w wizję przyszłości — a już później nikt nas stąd nie ruszy.

Istotnie, niech tylko rozejdzie się po kraju wiadomość, że Brygada połączyła się z II Korpusem i obwarowała się w Sorokach, że bawią tu i pracują przedstawiciele I Brygady i P. O. W., a pociągną tu tłumy żołnierzy z I Brygady, zagnanych na front włoski lub dekujących się w kraju. P. O. W. da nam tylu instruktorów politycznych i wojskowych, ile będziemy potrzebować, aby zorganizować należycie kadry. A wówczas, tworząc prawdziwie demokratyczne i ideowe wojsko, będziemy przyciągać do niego i zasilać jego szeregi najlepszym elementem z pośród setek tysięcy żołnierzy i uchodźców, którzy tułają się dziś po całej Rosji.

Tylko miesiąc czasu, wytchnienia i pozostania na miejscu!

Rzeczywistość jednak z jakąś fatalną wytrwałością i zawziętością niweczyła wszystkie te plany i nadzieje.

Zrana poszliśmy z Bartą do sztabu Dowództwa Korpusu. Przyjął nas pułkownik Sollohub — szef sztabu Korpusu — przystojny, słusznego wzrostu brunet, zewnętrznie wyglądający na rumuna lub francuza z południa. Pułkownik Sollohub bardzo źle mówił po polsku. Rozmowa tedy z pułkownikiem Sollohubem nie wyszła poza zdawkową towarzyską wymianę uwag; natomiast od innych oficerów sztabowych dowiedzieliśmy się, że Rumunja została zmuszona zawrzeć pokój z państwami centralnemi, co siłą rzeczy, nie może nie zaważyć na dalszej sytuacji Korpusu, a tembardziej II Brygady.

Zgnębieni tą wiadomością, wróciliśmy z Bartą do siebie, aby naradzić się, co nadal robić.

Wywiązała się między nami dość drażliwa rozmowa. Barta uważał, że pomimo wszystko, II Korpus wspólnie z II Brygadą stanowią już pewną siłę, na której warto się oprzeć. Podzielałem zasadniczo pogląd Barty, mimo pewnych obaw, czy II Korpus nie stoi ideowo na tej samej płaszczyźnie, co spotkane już przez nas oddziały III Korpusu. Natomiast zaznaczyła się między nami pewna różnica poglądów na to, jak należy nam postępować. Ja uważałem, że przedewszystkiem powinniśmy porozumieć się z brygadjerem Hallerem i jego ludźmi, aby wobec Dowództwa i Komitetu Wykonawczego II Korpusu występować solidarnie, jako jednolity obóz legjonowy, w którym obecnie, po przejściu II Brygady przez front, niema żadnych politycznych różnic, Barta natomiast twierdził, że dobrze znając brygadjera Hallera i jego otoczenie, jest pewny, iż będzie w II Brygadzie nadal panować duch frondy w stosunku do Komendanta i że brygadjer Haller nawet w obecnej sytuacji nie będzie chciał uznać jego moralnego zwierzchnictwa nad sobą, a tembar-

dziej podporządkować się instrukcjom faktycznie go zastępującego w kraju pułkownika Rydza-Śmigłego. Dlatego Barta uważał za bardziej wskazane porozumieć się z generałem Stankiewiczem i domagać się od niego dla siebie stanowiska szefa sztabu Korpusu. Tłumaczyłem mu, że o ile orjentuję się w sytuacji, generał Stankiewicz jest pionkiem, zaś faktycznie kieruje wszystkim kapitan Bobicki, z którym raczej należy rozmawiać w tej sprawie, ale że wątpię, aby z tego coś wyszło. Inaczej wyglądałaby nasza sytuacja jeszcze kilka tygodni temu, gdy nie było faktu przejścia przez front II Brygady: wówczas byliśmy jedynymi reprezentantami idei legionowej. Obecnie zaś może ubiegać się Barta o szefostwo sztabu Korpusu jedynie za zgodą brygadiera Hallera, bo inaczej nikt nie zrozumie, dlaczego należy to stanowisko oddawać reprezentantowi rozwiązanej I Brygady, nie zaś będącej na miejscu II Brygady, tembardziej, że nikt nie orjentuje się tu w naszych domowych, legionowych tarciach i że złe stanie się, jeśli w tak trudnej chwili zlewania się II Brygady z Korpusem wprowadzimy i na ten teren nasze brygadowe animozje i swary. Bartę zbytnio nie przekonałem, zgodził się jednak ze mną, że należy nam pójść razem do brygadiera Hallera, aby zorjentować się, co on myśli i zaofiarować mu naszą lojalną współpracę.

W południe udaliśmy się na konferencję z Komitetem Wykonawczym.

Szczerze mówiąc, siedłem na zebranie zgóry niechętnie usposobiony do tego Komitetu.

Przyzwyczajony do tego, że zarówno w Legionach, jak i w P. O. W. panowała surowa hierarchja wojskowa, wyłączająca wszelkie zbiorowe komitety, uprzedzony do członków Komitetu Wykonawczego, widziałem w tej instytucji przejaw ducha bolszewickiego, który, jak to na własne oczy stwierdziłem, przy pomocy różnych komisarzy, rad i komite-

tów żołnierskich zdemoralizował i zlikwidował armję rosyjską. Skłonny byłem widzieć w Komitecie Wykonawczym również nieco zbolszewiczące towarzystwo de facto przeszkadzające w organizowaniu Korpusu.

Pierwsze już jednak zetknięcie się z członkami tego Komitetu rozwiało wszystkie moje wątpliwości i uprzedzenia. Nareszcie bowiem miałem przed sobą grono ideowych oficerów, ożywionych jak najlepszymi chęciami, szczerze pragnących stworzenia polskiej siły zbrojnej, widzących jej zadanie nie w obronie majątków magnatów kresowych i nie w biernym oczekiwaniu na możliwość spokojnego powrotu do kraju ze swym dobytkiem, lecz w aktywnej walce o Niepodległość. Oprócz kapitana L. Bobickiego, poznałem tam D-ra B. Nakonecznikowa, D-ra Sobańskiego, delegata Naczelu, podporucznika Rupniewskiego, podporucznika B. Sikorskiego, podporucznika Birnbauma, sekretarza komitetu Wł. Piotrowskiego. Większość z nich byli to ludzie o demokratycznych i lewicowych przekonaniach, więc odrazu znaleźliśmy wspólny język, zwłaszcza, gdy dowiedzieli się, iż jestem delegatem nie tylko P. O. W., lecz i Centralnego Komitetu P. P. S.

Zreferowaliśmy im sytuację w kraju, wskazując jakie nadzieje społeczeństwo pokłada na armji polskiej, powstałej w Rosji, której znaczenie i siłę, jak widzimy, niestety, tak tam wyolbrzymiono i przesadzono.

Z pierwszej już wymiany zdań przekonaliśmy się, że ci ludzie całą duszą oddani są tej samej co my sprawie, rozumieją znaczenie armji polskiej w Rosji, połączenie się zaś II Korpusu z II Brygadą jest dla nich dniem największej radości.

Odrazu stało się dla nas jasnem, że członkom Komitetu nawet przez myśl nie przechodzi taka ewentualność, aby mogli II Brygadę pozostawić swemu losowi, przeciwnie, w niej

widzą te istotne kadry, które umożliwią już należyłą organizację II Korpusu.

Niestety jednak, sytuacja ogólna przedstawiała się fatalnie. Rumunja została zmuszona zawrzeć odrębny pokój z państwami centralnemi. Otrzymała w nagrodę Besarabję, ale pod warunkiem, że na swoim terytorjum nie będzie tolerowała istnienia żadnych wrogich państwom centralnym formacyj wojskowych.

Za kilka dni Soroki będą zajęte przez wojska rumuńskie, więc Korpus musi wycofać się z Besarabji za Dniestr.

Wiadomość ta była tem przykrzejszą, że Komitetowi Wykonawczemu udało się w Jassach zawrzeć układ z posłami państw koalicji przy rządzie rumuńskim. Państwa koalicyjne, widząc, że armja rosyjska rozsypuje się, czego konsekwencją było zawarcie przez Rosję Sowiecką odrębnego pokoju, i obawiając się, że to samo może uczynić Rumunja, zaczęły szukać ratunku. W tych warunkach zwrócono uwagę na II Korpus w Sorokach, przedtem raczej lekceważony przez sfery wojskowe koalicji.

Obecnie posłowie i szefowie misyj wojskowych koalicji przy rządzie rumuńskim, bawiącym w Jassach, rozpoczęli pertraktacje z Komitetem Wykonawczym, który również tu miał swoją stałą siedzibę.

Fakt przejścia II Brygady przez front i przyjazd do Jass kapitana Gniadego z ramienia brygadiera Hallera, wywarł na przedstawicielach kolicji wielkie wrażenie.

Trzeba przyznać, że Komitet Wykonawczy mistrzowsko rozegrał grę dyplomatyczną. Kapitan Bobicki, który prowadził pertraktacje, oświadczył, że stanowisko koalicji w sprawach Polski jest niejasne, zaś opublikowane przez rząd sowiecki dokumenty świadczą, iż rządy koalicji zawarły z rządem carskim tajne układy, w których stwierdzały, że sprawa polska jest sprawą wewnętrzną rosyjską. Nic więc dziwnego,

że Polacy nie kwapią się w tych warunkach do walki po stronie koalicji. Inaczej będzie wyglądała sytuacja, jeśli posłowie państw koalicyjnych w imieniu swych rządów złożą wiążącą deklarację w sprawie Niepodległości Polski.

Rezultatem tych pertraktacyj była słynna deklaracja z dn. 2 marca, złożona w Jassach przez posłów koalicji na ręce kapitana Bobickiego i kapitana Gniadego.

Była to pierwsza wyraźna deklaracja koalicji w sprawie Polski. Deklaracja ta, będąc politycznym sukcesem Komitetu Wykonawczego, była jednocześnie moralnem zwycięstwem żołnierza polskiego, który Magdeburgiem, Benjaminowem, Szczypiorną, przejściem przez front II Brygady, dawał świadectwo tej prawdzie, że naród polski jest w stanie wojny z państwami centralnemi o swoją Niepodległość.

Niestety, deklaracja ta nie pociągnęła za sobą praktycznych skutków. gdyż przyszła zapóźno, bowiem koalicja nie mogła przeszkodzić Rumunji w zawarciu odrębnego pokoju z państwami centralnemi.

Jedyną satysfakcją II Korpusu w tych warunkach było to, że posłowie państw koalicyjnych przy rządzie rumuńskim, szykując się do opuszczenia Jass, oddali się pod opiekę II Korpusu i w najbliższych dniach mieli przyjechać do Sorok. aby stąd pod ochroną polskiej kawalerji udać się dalej w kierunku Moskwy.

Słuchając tych smutnych relacyj, zaczynaliśmy rozumieć, że niema mowy o dalszem pozostawianiu II Korpusu w Sorokach. Jakież były dalsze plany, jakąż powzięto decyzję?

Z odpowiedzi, udzielanych nam, dowiedzieliśmy się, że Komitet zdecydował wymarsz Korpusu w kierunku Dniepru, aby po przejściu na drugi brzeg Dniepru i posuwając się na północ, nawiązać łączność z I Korpusem, a następnie wspólnie z nim ustalić plan dalszej akcji.

Niezależnie od dalszego rozwoju wypadków, sam fakt przejścia przez Dniepr i nawiązania łączności z I Korpusem, miał te dodatnie skutki, że następowałaby koncentracja formacyj polskich na jednym obszarze. Należało bowiem spodziewać się, że i oddziały III Korpusu wobec takiej decyzji II Korpusu, zaczęłyby wycofywać się z Ukrainy w tym samym kierunku, co siłą rzeczy zmusiłoby zarówno państwa centralne, jak i „bolszewików“ poważnie liczyć się z skoncentrowaną w jednym miejscu polską siłą zbrojną.

Wiadomość o takiej śmiałej decyzji, jedynie słusznej i realnej w tych warunkach, jeśli II Korpus chciał nadal istnieć, jako samodzielna polska siła zbrojna, powitaliśmy naturalnie z największą radością i uznaniem.

Rodziło się jednak pytanie, jak tę decyzję Komitetu — jedyną możliwą dla II Brygady — przyjmie ogół oficerów i żołnierzy II Korpusu, w którym powszechne jest pragnienie powrotu do kraju.

Na zapytanie o tem otrzymaliśmy odpowiedź, że, jeśli chodzi o generała Stankiewicza, to plan ten został przez niego zaakceptowany. Być może uczynił to nieszczerze, ale na razie nie miał innego wyjścia z wytworzonej sytuacji. Gdyby sam miał decydować, to musiałby również maszerować na Ukrainę, aby tam nawiązać kontakt z III Korpusem i wtedy dopiero, idąc w ślady generała Dowbór-Muśnickiego, nawiązać rokowania z Niemcami na tych samych, co on zasadach, to znaczy zapewnienia istnienia i neutralności Korpusu. Rumunowie bowiem kategorycznie oświadczyli, że Korpus rozbroją i zabiorą sobie cały jego sprzęt wojenny i dobytek.

Naturalnie, ani generałowi Stankiewiczowi, ani nikomu w Korpusie nie uśmiechała się taka jego likwidacja, bowiem oznaczałaby pozostanie na łasce losu, gdy przebywanie w Korpusie, jako jednostce wojskowej, zapewniało pensje oficerom, utrzymanie żołnierzom. Dlatego mogą odpaść poszcze-

gólni oficerowie, mający swoje własne pieniądze lub możność znalezienia gdzieś przytulku, i z tego należy tylko cieszyć się, gdyż odpadną jednostki najslabsze i najgorsze pod względem ideowości i patriotyzmu. Korpus zaś, jako całość, w tych warunkach, — nie ulega wątpliwości — wymaszeruje z Sorok bez sprzeciwu, tembardziej, że Komitet o tyle był ostrożny, iż większość posiadanych funduszków nie oddał generałowi Stankiewiczowi, lecz zatrzymał do swego rozporządzenia, deponując je w sztabie II Brygady. Kwestja zaś, czy generał Stankiewicz i pewna ilość oficerów nie załame się psychicznie, wypłynie dopiero później, gdy trzeba będzie wyraźnie przeciwstawić się wszelkim próbom ugody z niemcami i zdobyć się na decyzję wejścia na terytorjum, pozostające w sferze wpływów władzy sowieckiej.

Do tego czasu spodziewano się jednak o tyle już przy pomocy II Brygady zreorganizować i opanować sytuację w Korpusie, że gdyby generał Stankiewicz chciał wyłamać się, to Komitet wówczas da mu dymisję i przekaże władzę brygadjerowi Hallerowi.

Z tych wynurzeń było jasne, że istotna władza spoczywa w rękach Komitetu. Wskazałem zupełnie szczerze na to, że II Brygada nie jest przyzwyczajona do takiej formy władzy, jak Komitet, że może to wnieść dezorganizację w jej szeregi w razie konfliktu między Komitetem a generałem Stankiewiczem, w którym ogół żołnierzy II Brygady, przyzwyczajony do subordynacji wojskowej, będzie widzieć faktycznego dowódcę Korpusu. Dlatego radziłem Komitetowi z tą psychologją liczyć się i nie próbować tworzyć podobnego komitetu z pośród oficerów i żołnierzy II Brygady, a pozostawić tam dotychczasowy stan organizacyjny, to znaczy w niczem nie ograniczać w II Brygadzie władzy brygadjera Hallera.

Widziałem, że takie postawienie sprawy nie odpowiadało przekonaniom wszystkich członków Komitetu. Większość

jednak w toku dyskusji starała się wytłumaczyć mi warunki, które złożyły się na istniejący w Korpusie stan rzeczy, godząc się najzupełniej z moim poglądem na nienormalność tego dualizmu władzy i szukając możliwości takiego rozwiązania, któreby było po myśli sformułowanych przeze mnie postulatów.

Tłumaczono mi, że jeśli Komitet powstał w imię potrzeby przystosowania się do metod organizacyjnych, które zapanowały w wojsku rosyjskim po rewolucji, to z drugiej znowu strony trzeba było na czele Korpusu postawić generała, gdyż w Komitecie najstarsi rangą byli kapitanowie, nie mogący mieć autorytetu wśród tych tłumów oficerskich, które napłynęły do Korpusu. Jeśli jednak okaże się, że brygadjer Haller zdobędzie autorytet w całym Korpusie — wówczas na porządku dziennym, siłą rzeczy, stanie kwestja objęcia przez niego władzy nad całą formacją, a tem samem i likwidacji Komitetu. Narazie jednak komitet musi istnieć. Naturalnie, że nie tylko uszanuje odrębność organizacyjną II Brygady, ale wzmocni ją innemi najlepszymi oddziałami, zaś swój stosunek do brygadjera Hallera ureguje w ten sposób, że uprosi go, aby mianował do Komitetu swych przedstawicieli. Zaznaczono poza tem dość stanowczo, że Komitet ma spełniać rolę politycznego przedstawicielstwa Korpusu, gdyż Korpus stanowczo nie pójdzie pod rozkazy tych, czy innych obozów politycznych.

Wyrażnie było to skierowane pod moim adresem.

Odpowiedziałem na to, że wszelkie rozmowy na temat stosunku do tego lub innego obozu politycznego w tej chwili uważam za bezprzedmiotowe, gdyż teraz należy myśleć przede wszystkim o tem, aby wyjść z obecnej matni, skończyć z wędrówką, znaleźć terytorjum, na którym spokojnie można byłoby przystąpić do organizacji wojska. Życzeniem obozu niepodległościowego w Polsce jest, aby taka armja tu po-

wstała, a kto będzie jej politycznym wyrazicielem, to kwestja przyszłości, tem bardziej, że sam brygadjer Haller musi ustosunkować się do kierunków politycznych w kraju, gdyż dotychczas szedł po linii, reprezentowanej przez Radę Regencyjną, której obóz niepodległościowy nie uznaje za władzę naczelną narodu polskiego.

— Co do mnie osobiście, to wogóle nie mogę żadnej politycznej działalności rozpoczynać zanim uda się mi nawiązać łączność z P. P. S. i innemi polskimi ugrupowaniami niepodległościowemi w Rosji, oraz ustalić z nimi wspólną platformę dalszego działania.

Takie postawienie sprawy przeze mnie uspokoiło członków Komitetu, którzy szczerze wyznali nam, że zostali nie mile zaskoczeni, gdy u brygadjera Hallera wyczuli wyraźnie niechętny stosunek do Komendanta Pilsudskiego, którego w swej pracy wśród oficerów i żołnierzy w Korpusie przedstawiali dotychczas jako wodza naczelnego Legjonów — jako całości.

Wyjaśniłem wszystkie różnice, które nas dzieliły dotychczas, ale które upadły z chwilą przejścia II Brygady przez front. Wyraziłem przekonanie, że pułkownik Rydz-Śmigły nawiąże łączność z brygadjerem Hallerem i że ustali z nim wspólną linię postępowania, wyjaśniłem ponadto, że zadaniem Barty będzie ułatwić nawiązanie tego stosunku i być stałym łącznikiem między P. O. W. w Polsce, a formacjami wojskowemi w Rosji. Właśnie w tym celu przystępujemy do organizowania P. O. W. na Ukrainie, a następnie i w Rosji.

Barta zbytnio mnie nie podtrzymywał, — widać było, że pomimo wszystko, tkwiła w nim nieufność do brygadjera Hallera. Po pewnym czasie szepnął mi, że chce omówić z kapitanem Bobickim ściśle wojskowe sprawy. Zrozumiałem, że widząc, iż generał Stankiewicz istotnie jest pionkiem, a faktyczna władza spoczywa w rękach prezesa Komitetu, chce

z nim omówić sprawę swej roli w Korpusie. Wiedziałem, że Barty od jego zamiaru nie odwiode, więc nie protestowałem.

Posiedzenie Komitetu skończyło się.

Barta poszedł z kapitanem Bobickim, ja zaś pozostałem, aby prywatnie porozmawiać z niektórymi z członków Komitetu.

Zacząłem rozpytywać o historję powstania II Korpusu. Dowiedziałem się, że wziął początek z IX armji rosyjskiej, stojącej na Bukowinie. W pierwszym okresie cały wysiłek szedł w kierunku zakładania Związków Wojskowych Polaków w poszczególnych pułkach i oddziałach. Przy pomocy tych Związków prowadzono wśród żołnierzy patryjotyczną propagandę, przeciwdziałając akcji bolszewickiej. Ludzie, którzy skupili się przy Komitecie, sympatyzowali z Legjonami. Wydali cały szereg broszur, między innemi broszurę W. Sieroszewskiego o Komendancie Piłsudskim, którą znaleźli w jednej z księgarni na Bukowinie.

Formowanie Korpusu zaczęło się dopiero w grudniu 1917 r. — zaś Soroki stały się punktem zbornym w styczniu 1918 r.

Z opowiadań członków Komitetu stawało się jasnem, że skupiła się przy nim garść młodych, ideowych oficerów, przeważnie powołanych z rezerwy. Stanowili oni jednak mniejszość wśród ogółu oficerów polaków, zupełnie politycznie niewyrobionych, często bardzo zrusyfikowanych, którym bynajmniej nie uśmiechała się dalsza wojna z Niemcami.

Dlatego Komitet faktycznych swych zamiarów nie ujawniał i nie przeciwstawiał się wyraźnie tym, którzy organizowali Korpus pod znakiem powrotu do kraju z możliwie największym dobytkiem wojennym.

Wobec tych nastrojów, nie mogło być — oczywista — mowy o tem, aby Komitet na czele Korpusu postawił kogoś ze swego grona. Dlatego też zostali sprowadzeni generałowie

Stankiewicz i Glass, którzy dla tej masy oficerskiej stanowili rękojmię, że Korpus będzie organizowany na modłę dawnych „dobrych“ wzorów armji carskiej.

Niestety i w danym wypadku w okresie rewolucji postawienie na czele formacji wojskowej generała starej daty, nienawidzącego tej rewolucji, musiało wydać fatalne skutki. Korpus stał się de facto przytułkiem wykolejonych, wypędzonych z pułków przez zrewoltowanych żołnierzy, oficerów-polaków, którzy starali się zebrać w korpusie jak największą ilość taborów, koni, artylerji, amunicji i t. d. — aby to wszystko złożyć u stóp Najdostojniejszej Rady Regencyjnej. Natomiast w Korpusie nie było prawie żołnierzy, gdyż tknięci propagandą bolszewicką, stronili od formacji, w której oficerowie chcieli utrzymywać ducha dawnej carskiej armji, a jednocześnie obawiali się tych żołnierzy, podejrzewając ich o „bolszewizm“. Dlatego Korpus pod względem organizacyjnym, liczbowym i dyscypliny przedstawiał się bardzo źle.

W toku rozmowy zrozumiałem, jak wielkie możliwości były zmarnowane, jak ogromne perspektywy rozwoju miał Korpus, jaką mógłby stać się siłą, gdyby dowództwo objął wódz, mający zaufanie żołnierzy, wierzący w słuszość i realność swego dzieła, umiejący wykorzystać sytuację. A sytuacja była wspaniała. Front rumuński również rozpadał się, ale trzymał się najdłużej, gdyż, będąc daleko od Rosji, powoli ulegał propagandzie bolszewickiej. W Jassach były misje wojskowe koalicji, które uczyniłyby wszystko, aby dopomóc zorganizowaniu się polskiego korpusu, gdyby wiedziały, że będzie on dalej walczył z wojskami państw centralnych.

Niestety, Komitet nie miał tego autorytetu, gdyż musiał z jednej strony walczyć z wpływami bolszewickimi, z drugiej łamać opór dowództwa rosyjskiego, niechętnie patrzącego na wydzielanie się polaków w osobną formację. Wreszcie Komitet musiał prowadzić propagandę wśród żołnierzy, aby wstę-

powali do Korpusu. Organizacja zaś samego Korpusu pod względem technicznym i wojskowym była pozostawiona fachowcom, którzy robili ją źle, bez wiary i zapалу.

W trakcie naszej rozmowy przyniesiono odezwę do Korpusu, tylko co wydaną przez Komitet w związku z sytuacją, wytworzoną przez dwa fakty, które się zbiegły: przyjście II Brygady i zawarcie pokoju przez Rumunję. Odezwa ta z dn. 8 marca, jest dziś powszechnie znana, więc nie będę jej przytaczał, zaznaczając jedynie, że pozostanie ona jednym z najpiękniejszych dokumentów w dziejach formowania polskiej siły zbrojnej w Rosji, jako świadectwo żołnierskiej cnoty, godności narodowej i rozumu politycznego tych, którzy stanowili Komitet Wykonawczy Wojsk Polskich frontu rumuńskiego.

Na obiad poszliśmy do kasyna wojskowego, które mieściło się w dużym, jednopiętrowym gmachu. Rojno i gwarno tam było. Rozglądając się po sali, wypełnionej oficerami, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jestem w rosyjskim klubie oficerskim: taka sama panowała tu atmosfera, tak samo tłoczyli się oficerowie przy bufecie, wychylając po kilka kieliszków wódki... Ze zdziwieniem zauważyłem, że przy wielu stołach siedziały panie, czasami dolatywały mnie stamtąd odgłosy rozmowy, prowadzonej po rosyjsku. Jak mi wyjaśniono, bardzo wielu oficerów przybyło do Korpusu razem z swymi rodzinami, zaś wśród żon oficerskich sporo było rosjanek.

Oglądając to mieszane towarzystwo, tę ogromną liczbę oficerów różnych rang i różnego wieku, trudno było pozbyć się wrażenia, że cały Korpus był jakgdyby rodzajem pospolitego ruszenia i obozowiskiem, gdzie ludzie, uciekając od anarchji rewolucji, szukali tylko schroniska i przytułku.

W jednej z bocznych sal jadł obiad w towarzystwie swych oficerów brygadjer Haller. Zbliżyłem się do niego, aby przywitać się i zapytać, o której godzinie moglibyśmy z Bar-

ta być przyjęci przez niego. Prosił przyjść do jego kwatery o godzinie czwartej po południu.

Wychodząc z kasyna, spotkałem się ze Skrzyńskim, który tylko co przyjechał z Jampola. Żadnych wiadomości z I Korpusu nie miał, nie mógł więc powiedzieć, czy Zdziechowskiemu udała się akcja obalenia generała Dowbór-Muśnickiego.

O umówionej godzinie udaliśmy się z Bartą do brygadjera Hallera. Kwatera jego znajdowała się w jakiejś wsi, odległej o kilka kilometrów od Sorok. Mając czas, poszliśmy piechotą.

Po drodze Barta opowiedział mi o swojej rozmowie z kapitanem Bobickim, który, jak spodziewałem się, oświadczył, że w sytuacji, która wytworzyła się, mianowanie nikomu nieznanego Barty szefem sztabu byłoby rzeczą niemożliwą, nawet gdyby na to zgodził się brygadjer Haller, natomiast proponował Barcie objęcie dowództwa pułkiem piechoty lub artylerji. Barta tę propozycję odrzucił. Pochwaliłem go za to, robiąc jednocześnie uwagę, że sam teraz przekonał się, iż należy mu porozumieć się przede wszystkim z brygadjerem Hallerem.

Brygadjer Haller przyjął nas bardzo uprzejmie, ale zarówno w jego zachowaniu się, jak i w postawie kilku, obecnych przy naszej rozmowie oficerów z jego sztabu, wyczuwała się wyraźna wobec nas rezerwa, a nawet nieufność, zwłaszcza w stosunku do Barty.

Barta odrazu zaznaczył, że przyjazd jego do Rosji został postanowiony przez pułkownika Rydza-Śmigłego już dawno, niezależnie od faktu przejścia przez front II Brygady, zadaniem zaś, które postawił mu Rydz-Śmigły, jest nawiązanie łączności z polskimi formacjami wojskowymi przy pomocy P. O. W., która rozciągnie swoją działalność na Ukrainę i Rosję.

Brygadjer Haller, pomimo naszych prób, wyraźnie uchylił się od określenia swego stosunku do Rydza-Śmigłego, a nawet od stwierdzenia swego moralnego i ideowego podporządkowania się Komendantowi, jako twórcy Legjonów. Tłumaczył się, że teraz musi całą swoją uwagę skupić na tem, aby wyprowadzić Korpus z matni i zapewnić mu stały punkt oparcia, zaznaczając jednocześnie zupełnie otwarcie, że Korpus, jako taki, nie przedstawia żadnej bojowej wartości i że tylko on przy pomocy Brygady potrafi go zreorganizować. Dopiero po dokonaniu tej pracy i zapewnieniu Korpusowi dalszego bytu, zajmie się nawiązaniem łączności z krajem. Swoją zaś linię polityczną uzależnia od sytuacji w Polsce, gdzie w związku z pokojem brzeskim zajdą wielkie zmiany, bo podobno Rada Regencyjna rozwiązała się.

Na nasze zapytanie, czy zamierza udać się z Korpusem na terytorjum, objęte władzą sowiecką, również dał odpowiedź ogólnikową, uzależniając dalsze swoje postępowanie od sytuacji na Ukrainie i nastrojów wśród innych Korpusów.

Ze słów brygadjera Hallera wyraźnie przebijała wielka pewność siebie, nieukrywana wiara, że właśnie on jest powołany do tego, aby stanąć na czele armji polskiej w Rosji, gdyż jego nazwisko będzie tym magnesem, koło którego skupią się wszystkie formacje.

Wogóle z całego przebiegu rozmowy dawało się wyczuć raczej, że brygadjer Haller oczekiwał oświadczenia z naszej strony, iż wobec tych możliwości brygadjera Hallera, pułkownik Rydz-Śmigły i kierowana przez niego P. O. W. podporządkują się jemu, jako przyszłemu wodzowi armji polskiej w Rosji.

Naturalnie, takiej deklaracji dać nie mogliśmy; nie mieliśmy zresztą po temu żadnych pełnomocnictw.

Zacząłem bardzo ostrożnie i delikatnie kierować rozmowę tak, aby brygadjer Haller sam zaproponował Barcie po-

zostanie w Korpusie, ofiarowując mu to, czy inne stanowisko.

Brygadjer Haller i jego oficerowie szybko zrozumieli o co mi chodzi i gorąco zaczęli chwalić znaczenie P. O. W. na Ukrainie, oświadczając, że powinien być podział pracy między nami w ten sposób, iż Barta z przysłanymi przez Rydza-Śmigłego oficerami będzie organizować P. O. W., II Brygada zaś zajmie się organizowaniem regularnej armji.

Zrozumiałem, że z mojej akcji pośredniczącej nie będzie, że antagonizmy brygadowe są tak jeszcze silne, iż od razu ich nie przełamie, i że Barta miał rację, twierdząc, iż brygadjer Haller nawet i tu na obczyźnie w nowej sytuacji, idąc de facto w ślady Komendanta, nie uzna nad sobą nawet moralnego zwierzchnictwa Więźnia Magdeburgskiego.

Zresztą z rozmowy z brygadjerem Hallerem było jasne, że wysokie jego mniemanie o sobie nie idzie w parze ani z wyraźnym programem działania, ani nie płynie z wielkości ducha i mocy charakteru.

Widząc wyraźną nieufność i niechęć do współpracy z nawemu, jak i brygadjerowi Hallerowi lojalnie i szczerze zaodnie z naszymi charakterami i poczuciem moralnej siły tego obozu, którego tu byliśmy reprezentantami, oświadczyliśmy, iż istotnie naszym zadaniem jest poświęcić wszystkie siły sprawie organizacji P. O. W. Wyraziliśmy nadzieję, że tworzona przez brygadjera Hallera armja, wkrótce już będzie mogła korzystać z wydatnej naszej pomocy.

Byliśmy w porządku. Zarówno Komitetowi Tymczasowemu, jak i brygadjerowi Hallerowi lojalnie i szczerze zaoferował Barta współpracę wojskową I Brygady i P. O. W., której był w tej chwili na tym terenie reprezentantem. Tej współpracy nie przyjęto — w dalszych naszych decyzjach mieliśmy zatem wolną rękę.

Nie dziwiłem się wcale, że kapitan Bobicki odrzucił

ofertę Barty — człowieka nieznanego mu, przedstawiciela rozwiązanej Brygady, gdy w Sorokach znajdowała się II Brygada, która tak samo reprezentowała ideę legionową.

Natomiast szczerze dziwiłem się, obserwując brygadjera Hallera i słuchając jego wykrętów i niedomówień, zmierzających do tego, aby dać nam do zrozumienia, że nie mamy tu nic do roboty.

Stanowisko, zajęte przez brygadjera Hallera w stosunku do Barty i mnie świadczyło o małości i próżności tego człowieka. Prawdziwy wódz i mąż stanu w podobnej sytuacji odwrotnie, nie tylko proponowałby, ale dążyłby za każdą cenę do tego, aby zatrzymać nas przy sobie. Chodziło w danym wypadku przecież nie o nas jako jednostki, ale o reprezentantów obozu niepodległościowego. Barta dawał łączność z Rydzem-Śmigłym, I Brygadą i P. O. W., ja zaś ze wszystkimi partjami, które należały do obozu niepodległościowego.

Zatrzymując nas przy sobie, wzmacniał brygadjer Haller swoją pozycję tak samo wewnątrz Korpusu, jak i nazewnątrz, i to zarówno w stosunku do polskich obozów politycznych na emigracji, jak i w stosunku do „bolszewików“, dla których obecność w sztabie brygadjera Hallera przedstawiciela Centralnego Komitetu P. P. S. musiałaby wiele mówić i zmuszałaby ich do traktowania II Brygady w zupełnie innej płaszczyźnie aniżeli inne formacje polskie, zajęte obroną majątków polskiej magnaterji. Zbyteczne poza tem mówić, jak dalece nasza obecność w sztabie brygadjera Hallera ułatwiłaby mu nawiązanie kontaktu z krajem, jak podniosłaby jego osobisty autorytet i wzmocniłaby zaufanie do niego w obozie niepodległościowym, który jedyny w kraju aprobował „szalony“ czyn II Brygady.

Niestety, brygadjer Haller tego wszystkiego nie rozumiał, bo silniejsze było w nim poczucie fałszywej ambicji,

manji wielkości, strach przed nawiązaniem łączności z I Brygadą i koniecznością wyraźnego ustosunkowania się do Komendanta, któremu przez tyle czasu przeciwstawiał się i którego autorytetu nie chciał uznać. A tembardziej teraz, gdy tamten był obezwładniony w dalekim więzieniu, a tu aureola bohaterskiej determinacji, swoboda działania i decyzji wśród chaosu i rozgardjaszu organizacyjnego formacyj wojskowych, które pozbawione istotnych autorytetów i dowódców, szukały i tęskniły za prawdziwym wodzem.

Cóż wobec tych możliwości znaczyliśmy my dwaj samotni tułacze, których wódz był w niewoli, koledzy zaś bądź za drutami w obozach jeńców, bądź w rozsypce na dalekim froncie włoskim, bądź prześladowani kryli się w podziemiach nielegalnej roboty. Reprezentowaliśmy tylko moralną siłę obozu niepodległościowego, którego znaczenia i roli brygadjer Haller, niestety, nigdy ani przedtem, ani potem nie umiał należycie ani zrozumieć, ani ocenić.

Pozegnaliśmy brygadjera Hallera, oświadczając, że będziemy starali się stale podtrzymywać z nim łączność i informować go o naszych zamiarach i pracach.

Po wyjściu od brygadjera Hallera, odeszliśmy parę kroków i stanęliśmy przy jakimś płocie. Oboje długo milczeliśmy. Każdy z nas przeżywał to samo uczucie bezwiednego żalu i niesmaku wobec tak małosłkowej ambicji. Nie chcieliśmy mówić głośno o tem, co myśleliśmy oboje — że odepchnięto nas, wzgardzono naszą pomocą. Barta nawet nie tryumfował, jakkolwiek przebieg naszej rozmowy z brygadjerem Hallerem całkowicie potwierdził słuszność opinii, którą niejednokrotnie wypowiedział Barta o nim.

Po dłuższej chwili milczenia, zwraca się do mnie Barta:

— Tak, kochani, nie mamy co tu robić. Zapamiętajcie moje słowa, że Haller zmarnuje Korpus, nie starczy mu odwagi, aby zdobyć się na przejście na terytorjum bolszewickie,

nie da poza tem rady z masą oficerską II Korpusu. Widzieliście ich w kasynie — toż wszyscy palają nienawiścią do „bolszewików“, którzy dali się im tak we znaki i od których właśnie schronili się oni do Korpusu. A tu nagle każą im iść znowu pod opiekę bolszewików. Nie, Haller nie przełamie tego oporu, a sam z Brygadą nie zdobędzie się na samotny marsz. Skończy się tem, że rozpuści Brygadę i każe wstępować do zorganizowanej tu przez nas P. O. W. Nie mamy co tu robić! Musimy jechać do Moskwy, tam rozpocząć rokowania z rządem sowieckim i otrzymać od niego zgodę na tworzenie armji polskiej gdzieś nad Wolgą — tam kraj żyzny, tam spokojnie będziemy mogli przeprowadzić pracę organizacyjną.

Ze zdziwieniem słuchałem już wówczas tych słów Barty. Uderzyła mnie u tego człowieka, nieznającego Rosji, trafność koncepcji, należyty wybór miejsca.

Dziś z tem większym podziwem wspominam tę rozmowę, gdyż przyszłość udowodniła, jak sprawiedliwą była ocena przez Bartę dalszego postępowania brygadjera Hallera. Dzieje zaś formacyj czeskich w Rosji, które odegrały taką rolę w powstaniach nad Wolgą, potwierdziły słuszność koncepcji Barty wyboru tego terytorjum, jako miejsca koncentracji.

Zgodziłem się całkowicie z Bartą, nie ukrywając swej radości, że przekonał się sam, iż tu na Ukrainie, opanowanej przez państwa centralne, nie ma mowy o tworzeniu realnej polskiej siły zbrojnej. Zdecydowaliśmy z Bartą, że wyjedziemy konno razem z Korpusem, któremu towarzyszyć będziemy aż do czasu, gdy wydostaniemy się na takie terytorjum, gdzie koleje nie będą już we władaniu wojsk niemiecko-austriackich, a wówczas dalej udamy się pociągiem do Moskwy.

Gdy wróciliśmy do miasta, zastaliśmy w Dowództwie Korpusu wielki ruch. Przed gmachem stało dużo aut zaku-

rzonych i zabłoconych, co świadczyło o przebyciu przez nie dalekiej drogi. Okazało się, były to auta poselstw i misyj wojskowych państw koalicyjnych przy rządzie rumuńskim, które przybyły tu z Jass.

Rumunja podpisała pokój o kilka dni wcześniej, aniżeli spodziewano się, wobec czego poselstwa te musiały przyspieszyć swój wyjazd. Zgodnie z zapowiedzią, przybyły one do Sorok, aby pod ochroną polskiej kawalerji przebyć przez terytorjum Ukrainy, zajętej przez wojska państw centralnych.

W Dowództwie Korpusu dowiedzieliśmy się, że wobec podpisania pokoju przez Rumunję, przyspieszono wymarsz z Sorok, który już rozpoczął się i, że przeprawa przez Dniestr będzie trwała całą noc, zaś sztab korpusu opuści Soroki zrana, gdyż wojska rumuńskie zapowiedziały na następny dzień swoje tu wejście.

Wobec tych wiadomości, musieliśmy i my wyjechać następnego dnia zrana. Rozpoczęliśmy poszukiwania naszych koni.

Pomimo najbardziej usilnych starań i poszukiwań przez oficerów ze sztabu dowództwa konie nie znalazły się — po prostu zaginął ich ślad. Konsternacja wśród oficerów była dość znaczna. Zaproponowali, że dostarczą nam bryczkę z parą koni, z której będziemy korzystać póki nie wsiądziemy na kolej.

Następny ranek przyniósł zmianę naszej decyzji. Nad ranem przyjechał z Kijowa Kazimierz Domosławski, który na skutek mego listu z Winnicy wysłany został przez kijowską organizację P. P. S. do Sorok celem nawiązania kontaktu z mną.

Kazimierz Domosławski zakomunikował mi, że organizacja P. P. S. prosi mnie, abym przyjechał do Kijowa, gdyż Niemcy utrzymując w Kijowie tylko niewielką załogę miastem faktycznie nie rządzą, i do życia politycznego wcale nie wtrącają

się; władza cywilna należała do Centralnej Rady Ukraińskiej, której urzędy znowu zaczęły działać, Domosławski zaś był wysokim urzędnikiem jednego z Komisarjatów Centralnej Rady więc przywiózł ze sobą dla mnie i dla Barty odpowiednie dokumenty. Chodziło bowiem również o to, aby i Barta udał się do Kijowa. Poza tem Domosławski zakomunikował nam, że do Kijowa przyjechał z Warszawy Bogusław Miedziński z kilku innymi oficerami legionowymi i ze swej strony tak samo prosi nas o przybycie do Kijowa.

Wiadomość ta bardzo nas ucieszyła, gdyż w ten sposób Kijów stawał się dla nas punktem oparcia, którego nam dotychczas brakowało. Naturalnie, że wobec przywiezionych przez Domosławskiego wiadomości zdecydowaliśmy natychmiast jechać do Kijowa. Mieliśmy końmi dojechać do Wapniarki, a stamtąd koleją do Kijowa.

Postanowiliśmy wyjechać w południe. Poszliśmy pożegnać się z członkami Komitetu. Zastaliśmy ich w toku gorączkowych przygotowań do drogi. Podporucznik Rupniewski i podporucznik Birnbaum zajęci byli pakowaniem polowej drukarni, zaś sekretarz Komitetu, Piotrowski, zwykły żołnierz, ale jeden z najbardziej ideowych i aktywnych jego członków, z dziwnym spokojem i systematycznością pakował swoje archiwum i kancelarję.

Zastaliśmy tam Dra B. Nakoniecznikowa i Dra Sobańskiego, którym zakomunikowaliśmy o naszej decyzji udania się do Kijowa, jednocześnie przyrzekliśmy, że stamtąd nawiążemy z Komitetem łączność, obiecując stale informować go o sytuacji w kraju i o naszych zamierzeniach. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie, wzajemnie ozuając, że nawiązała się między nami nić ideowa, która będzie nas coraz bardziej ze sobą łączyć.

Gdy wróciliśmy do Dowództwa, obiecana bryczka już czekała na nas. Zaczęliśmy szykować się do odjazdu. Nagle

w chwili, gdy już siadaliśmy do bryczki zbliża się do nas zadyszany Skrzyński.

— Panie Tadeuszu! — woła zdaleka do mnie — mam ważną sprawę do Was. Proszę tu na chwilkę.

Wysiadłem z bryczki.

— Taka jest sprawa — mówi Skrzyński biorąc mnie pod rękę i prowadząc w kierunku skąd przyszedł — że przyjechali tu delegaci Międzypartyjnej Rady pp. Berezowski i Wierczak i chcieliby koniecznie z Panem się widzieć. Właśnie to oni — wskazał mi na dwóch panów, stojących kilkanaście kroków dalej.

Przywitaliśmy się.

— Proszę Pana — zaczął Berezowski — przyjechaliśmy tu, aby porozumieć się z Panem, gdyż jak widzimy stanowisko lewicy niepodległościowej w kraju całkowicie pokrywa się ze stanowiskiem Rady Międzypartyjnej. Sądzę, że moglibyśmy zawrzeć odpowiednią umowę, która wytworzyłaby wspólny między nami front i pozwoliłaby nam odpowiednio oddziaływać na dalszą sprawę formowania armji.

Zaskoczony byłem nieco takim obcesowem postawieniem sprawy.

— Muszę zaznaczyć — oświadczyłem — że sprawa jest zbyt poważna abym wogóle sam mógł ją tu decydować bez nawiązania kontaktu z polskimi partjami lewicowymi w Rosji i bez zaznajomienia się z ich stanowiskiem w tej sprawie. Poza tem, jak widzą Panowie, Korpus wycofuje się i my wyjeżdżamy do Kijowa, więc najlepiej będzie, jak się tam spotkamy. W obecnej zaś sytuacji tu w Sorokach niema ani czasu, ani odpowiednich warunków na konferencję.

— Ale Pan wie, że Niemcy są w Kijowie i my tam nie możemy jechać — odpowiedział Berezowski, — tembardziej, że nikogo z członków Rady Międzypartyjnej tam już niema.

— To trudno — ale ja muszę jechać do Kijowa i dopiero po nawiązaniu łączności z organizacją P. P. S. w Rosji będę mógł wogóle na ten temat prowadzić rozmowy!

Widząc moją zdecydowaną postawę Berezowski nie nalegał, prawdopodobnie w głębi duszy przyznając mi rację.

Pożegnaliśmy się.

Więcej z Berezowskim już nigdy nie spotkałem się. Zrobił na mnie wrażenie bardzo dodatnie, człowieka dużej miary, o wielkiej inteligencji, silnej woli i szczerego ideowca. Śmierć jego przedwczesna była bezwątpienia wielką stratą dla Narodowej Demokracji.

Czas naglił z wyjazdem, gdyż coraz mniejszą była ilość wozów i furmanek zdążających w kierunku Dniestru, coraz bardziej pustoszały ulice miasteczka.

Gdy tak powoli posuwaliśmy się w sznurze wozów, wśród których na wielu siedziały kobiety z dziećmi — widocznie rodziny oficerów — nagle zaczęły dolatywać do nas dźwięki orkiestry grającej marsza wojskowego. Po chwili ujrzelśmy maszerujący oddział piechoty rumuńskiej. Zczerniałe, wycieńczone twarze źle ubranych żołnierzy, świadczyły o długim wyczerpującym pobycie na froncie.

Jeszcze raz pozwolił mi los na własne oczy ujrzeć strzępek tych ogromnych przeobrażeń i paradoksów, które dokonywały się podczas tej wielkiej wojny.

Oto Rumunja, która przegrała wojnę, została zmuszona zawrzeć upokarzający pokój, jednocześnie realizowała część swego programu narodowego, zajmując Besarabję — prowincję wczorajszego swego sojusznika.

Przeprawiliśmy się na drugi brzeg Dniestru. Przez pewien czas jechaliśmy tą samą drogą, co tabory II Korpusu, wkrótce jednak drogi nasze rozeszły się. Myśmy jechali w stronę Wapniarki, — II Korpus zaś zmierzał w kierunku północno-wschodnim na Berszady.

I znowu los rozdzielił mnie z II Brygadą, znowu smutnem okiem goniłem oddalający się coraz bardziej wąż taborów, ni-
knący powoli w mgłę rozległej równiny ukraińskiej. Nie mia-
łem już jednak uczucia tego niepokoju o Brygadę jak wtedy
gdy wyjeżdżałem z Kamieńca. Teraz kochane leguny nie były
same, wzmocniły się znacznie ich szeregi, związały się dwie
formacje wspólnym losem żołnierskim, razem poszły na dołę
i niedolę tułaczki tak znanej polskim bojownikom o Wolność.
Byle tylko zdążyć przejść przez Dniepr, a wówczas idąc w kie-
runku Mohylowa i Bobrujeka nawiążą łączność z I Korpusem.
Inny wtedy duch wstąpi i w szeregi I Korpusu: wypowie on
upokarzającą ugodę z Niemcami i połączy się z tymi, którzy
wolność i honor żołnierski wyżej stawiają aniżeli wygodną bier-
ność i neutralność.

W Wapniarce nie czekaliśmy długo. Na stacji stał pociąg
wojskowo-towarowy, który szedł w kierunku Żmerynki. Nie-
wiele myśląc i nikogo nie pytając o pozwolenie załadowaliśmy
się do pustego wagonu-stajni, gdzie było trochę siana po ko-
niach. Barta z wrodzoną mu flegmą i przyzwyczajeniem żoł-
nierskiem natychmiast ułożył się do snu i spał do samej Żme-
rynki, my zaś z Domosławskim gawędziliśmy wzajemnie udzie-
lając sobie informację.

W Żmerynce wykupiliśmy bilety trzeciej klasy i bez żad-
nych przeszkód spokojnie na rano zajęliśmy do Kijowa.

Na dworcu żadnych formalności; nikt nie żąda okazania
paszportów lub przepustek. Niemców ani śladu. Przypomniały
mi się dworce w Warszawie, gdzie nie tylko pełno było żandar-
mów niemieckich, ale gdzie odbywała się i rewizja bagażów,
zwłaszcza w poszukiwaniu wszelkich prowiantów.

Wsiedliśmy do dorożki. Jadąc ulicami ciekawie rozgląda-
łem się. Miasto robiło wrażenie żyjącego normalnem codzien-
nem życiem.

Dopiero w centrum miasta na wielkim placu przed ja-

kimś gmachem ujrzełszy oddział piechoty niemieckiej — widocznie przyszedł na zmianę warty. Był tak mały, że gubił się na wielkim placu, gdzie panował ożywiony wielkemiejski ruch.

— Zamało coś was przyjaciele! — pomyślałem czelnie patrząc na oddział.

— Jesteście wy tu, ale jesteśmy i my. Zobaczymy kto dłużej pozostanie.

Spojrzałem na Bartę. Zimny, spokojny błysk jego stalowych oczu również zawisł nad tym oddziałem.

Orzeł szybujący w przestworzach krążąc nad zabłąkanem w stepach samotnem stadem owiec takim samym spojrzeniem przebija wybraną zdobycz.

XVIII

W Kijowie Barta zamieszkał początkowo u Józefa Bromirskiego, a następnie u Stefana Bienieckiego — członka „Naczpolu“, a jednocześnie jednego z wybitniejszych działaczy niepodległościowych na Ukrainie. Mnie zaś Domosławski ułokował w mieszkaniu Jana Libkinda — jednego z najczynniejszych działaczy P. P. S. w Rosji.

Jana Libkinda poprzednio nie znałem. Szybko jednak wytworzyła się między nami atmosfera przyjaznej ufności i szczerości. Libkind okazał się człowiekiem głęboko ideowym, wielkim pryncypjalistą, zdecydowanym marksistą, fanatycznie przywiązanym do partji, ale jednocześnie gorącym patriotą, całą duszą oddanym sprawie Niepodległości. Z radością przekonałem się, że nie ulega wcale czarowi rewolucji bolszewickiej, przeciwnie patrzy na ten ruch trzeźwo i daleki jest od chęci nie tylko zlania z nim, ale nawet podporządkowania mu P. P. S.

Z rozmów z nim dowiedziałem się o stanie organizacji P. P. S. w Rosji.

P. P. S. od pierwszych dni rewolucji marcowej zaczęła odgrywać tu wybitną rolę. Rewolucja dała wolność ogromnej ilości pepesowców, którzy przebywali na katordze, w więzieniach i na zesłaniu na Syberji, a którzy stanowili zastęp ludzi, stworzony w drodze „naturalnego doboru“ do

konywanego w ciągu tylu lat przez „ochranę“ moskiewską z pośród najlepszych, najbardziej ideowych i energicznych działaczy P. P. S. Głębokie przywiązanie do własnego kraju i narodu, oddanie sprawie Niepodległości uchroniło tych ludzi od zrozumiałego i naturalnego, zdawałoby się, w podobnych warunkach rzucenia się w wir rewolucji rosyjskiej i całkowitego roztopienia się w jej falach, zwłaszcza, że znaczenie i rola odegrywana np. przez Ceretellego lub Czcheidzego świadczyły o tem, jak wielkie możliwości osobistej, zawrotnej kariery stwarzała rewolucja rosyjska dla tych, którzy chcieli uznać ją za swoją własną.

W ogromnej jednak większości działacze P. P. S. tą drogą nie poszli — przeciwnie z wielkim zapalem przystąpili do stworzenia własnej, samodzielnej organizacji P. P. S. w Rosji. Materiału ludzkiego, któryby mógł być ujęty w ramy organizacyj, było pod dostatkiem: w Petersburgu, Moskwie, Charkowie, jeszcze przed wojną było bardzo wiele robotników polaków; podczas wojny ewakuowano z Kongresówki cały szereg fabryk, których robotnicy również wyjechali w ślad za swemi warsztatami pracy; pozatem kozacy, w czasie cofania się, nahajami wypędzili liczne zastępy t. zw. „uchodźców“ ze wschodnich powiatów Kongresówki i Litwy; kilkaset tysięcy polaków przebywających w szeregach armji rosyjskiej, wreszcie dziesiątki tysięcy jeńców polaków z armji austriackiej i niemieckiej — wszystko to stanowiło wielki rezerwoar ludzki, wśród którego można było zbudować silną organizację P. P. S. Praca nad stworzeniem organizacji P. P. S. prowadzona w poszczególnych środowiskach polskich od pierwszych dni rewolucji tak dalece posunęła się, że w Czerwcu 1917 r. została zwołana w Petersburgu pierwsza konferencja P. P. S. w Rosji. Do Centralnego Komitetu Wykonawczego P. P. S. w Rosji zostali wybrani: Aleksander Prystor, Jan Libkind, Kazimierz Pużak, Bronisław Si-

wik i Stanisław Pławski. Komitet Wykonawczy rozwinął energiczną działalność — wydawał własne pismo, ulotki, broszury, zakładał sekcje i t. d.

P. P. S. w Rosji na pierwszej swej konferencji zupełnie wyraźnie stwierdziła swoją wierność hasłu Niepodległości Polski, uznała siebie za organiczną część P. P. S. w Polsce, podporządkowując się całkowicie władzy i deryktywom Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. w kraju.

Tu jednak zaszło tragiczne nieporozumienie, które pchnęło P. P. S. w Rosji na fałszywe tory, o czym dowiedziałem się niebawem po przyjeździe na zebraniu wybitniejszych działaczy P. P. S., przebywających w Kijowie. Na zebraniu tem oprócz Jana Libkinda i Kazimierza Domoślowskiego byli obecni Władysław Korsak, Władysław Fedecki, Władysław Czyżewski, człowiek wielkich zdolności, dziś, niestety, nieżyjący, oraz jeszcze kilku, których nazwisk nie pamiętam.

Zreferowałem zebraniu stan rzeczy i sytuację polityczną w kraju, informując o tej ewolucji, którą odbył obóz niepodległościowy, a przede wszystkim P. P. S. w związku z rewolucją rosyjską.

Oświadczyłem więc w sposób najbardziej stanowczy, że P. P. S. jest w stanie otwartej walki z państwami centralnymi i szyskuje się wspólnie z P. O. W. do wywołania w odpowiedniej chwili zbrojnego powstania przeciwko okupantom. W tych warunkach powstanie w Rosji demokratycznej armji polskiej, mogącej w chwili rozpoczęcia tej walki wkroczyć na terytorjum Polski, miało by ogromne, być może nawet rozstrzygające znaczenie

Nie zapomnę nigdy tego przygnębienia, które zapanoowało wśród moich słuchaczy, gdy skończyłem mój referat.

Sprzeczność pomiędzy treścią moich wywodów, a tem, co stanowiło o postawie, zajętej przez P. P. S. w Rosji wobec rozgrywających się wydarzeń, była tak wielka, że dopiero

w toku dalszych rozmów tego i następnych dni zdołałem uświadomić sobie cały tragizm sytuacji.

Ponieważ wiadomości te miały decydujące znaczenie dla dalszego mego postępowania, zmusiły bowiem poddać rewizji plan wykonania instrukcyj, otrzymanych przeze mnie w kraju, pozwolę sobie nieco dłużej zatrzymać się nad ogólną charakterystyką stanu rzeczy, który zastałem, oraz rozważyć okoliczności, które na ten stan rzeczy się złożyły.

Ś. p. Włodzimierz Kunowski, który w Tymczasowej Radzie Stanu zasiadał z ramienia P. P. S., podczas swego pobytu w Sztokholmie w maju 1917 roku, widząc się tam z Bronisławem Siwikiem, delegatem P. P. S. w Rosji, oraz z innymi działaczami niepodległościowymi z terenu rosyjskiego dał wręcz bałamutne instrukcje. Oświadczył on bowiem, iż obóz niepodległościowy, a przede wszystkim P. P. S. w kraju nadal stoją po stronie państw centralnych i że rewolucja rosyjska w niczem nie zmieniła dawnego stanowiska obozu niepodległościowego w stosunku do Rosji. Wychodząc z tego założenia, Kunowski, w sposób najbardziej katerygoryczny przeciwstawił się idei tworzenia armji polskiej w Rosji, zalecając, aby zwolennicy obozu niepodległościowego wszelkimi siłami przeciwdziałali formowaniu tej armji. Instrukcje te były sprzeczne nawet już z ówczesnemi nastrojami P. P. S. w kraju, nie mówiąc już o ustosunkowaniu się P. P. S. do państw centralnych po aresztowaniu Komendanta Piłsudskiego. Świadczy o tem fakt, że właśnie 2 maja, gdy Kunowski odbywał w Sztokholmie konferencję z polskimi działaczami niepodległościowymi w Rosji, Centralny Komitet P. P. S. w Warszawie uchwalił wycofać Kunowskiego z Tymczasowej Rady Stanu, dając tem samem dowód swej niewiary w możność dalszej współpracy z państwami centralnemi.

Uchwałę tę partja nie opublikowała odrazu, aby nie utrudnić sytuacji Kunowskiego w Sztokholmie.

Po powrocie Kunowskiego został on niezwłocznie odwołany z Tymczasowej Rady Stanu. Niestety jednak, partji nie udało się ponownie nawiązać łączności z działaczami niepodległościowymi w Rosji, bowiem, gdy w czerwcu mieli jechać do Sztokholmu Perl i Ziemięcki, władze okupacyjne w ostatniej chwili cofnęły paszporty, potem zaś, gdy Daszyński przyjechał do Sztokholmu, to znowu władze rosyjskie nie dały pozwolenia na wyjazd do Szwecji Prystorowi i Pławskiemu.

Instrukcje Kunowskiego, tak sprzeczne z istotnym stanem nastrojów obozu niepodległościowego w Polsce, były poddyktowane przez niego wyłącznie na podstawie jego własnych, osobistych poglądów.

Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności, Kunowski, będąc w Tymczasowej Radzie Stanu delegatem P. P. S., zajął tam stanowisko wybitnie ugodowe w stosunku do państw centralnych. Będąc zaś silną indywidualnością, człowiekiem ideowym i konsekwentnym w realizacji swych poglądów — nie bardzo liczył się z nastrojami w P. P. S., lecz śmiało i uparcie bronił swego stanowiska konieczności oparcia się o państwa centralne. Wybuch rewolucji w Rosji nie wpłynął na jego stanowisko, natomiast coraz silniej pogłębiał się rozdzźwięk między nim a partją, która coraz bardziej negatywnie ustosunkowywała się do państw centralnych.

Gdy Kunowski jechał do Sztokholmu, jego poglądy polityczne były dalekie od poglądów ogromnej większości członków P. P. S., wśród których z dnia na dzień rósł nastrój coraz bardziej wrogi i nieprzejednany wobec państw centralnych. Tymczasem Kunowski w Sztokholmie zajął stanowisko identyczne ze stanowiskiem W. hr. Rostworowskiego, reprezentującego w Tymczasowej Radzie Stanu skrzydło t. z. „aktywistów“ — stwarzając w ten sposób złudne pozory, że cały obóz dawniej antyrosyjski jest nadal po stronie państw cen-

tralnych i w dalszym ciągu stoi na gruncie walki z Rosją, pomimo upadku caratu i manifestu Tymczasowego Rządu Rosyjskiego w sprawie Niepodległości Polski.

Stanowisko Kunowskiego, zajęte w Sztokholmie, odegrało historyczną, niestety, i tragiczną rolę w dalszym życiu emigracji polskiej w Rosji. Właśnie w tym samym czasie, t. zn. w ostatnich dniach kwietnia, gdy Kunowski bawił w Sztokholmie, wśród emigracji polskiej w Rosji, a zwłaszcza wśród Polaków w armji rosyjskiej staje na porządku dziennym sprawa tworzenia tu armji polskiej.

Naturalnym ośrodkiem, o który ma się oprzeć praca nad zrealizowaniem tej idei, staje się już istniejąca Dywizja Strzelców Polskich, stojąca w Płoskirowie.

W ostatnich dniach kwietnia 1917 r. w Kijowie odbywa się zjazd delegatów oddziałów Dywizji Strzelców Polskich, na którym uchwalona zostaje deklaracja ideowa, wyraźnie niepodległościowa, demokratyczna, zdecydowanie wypowiadająca się za walką z państwami centralnemi po stronie koalicji.

Odbywają się jednocześnie zjazdy Związków Wojskowych Polaków na poszczególnych frontach, które również wypowiadają się za stworzeniem samodzielnej armji polskiej.

Wreszcie odbywa się w Petersburgu w dn. 7—22 czerwca ogólny zjazd Wojskowych Polaków, na którym, przy powszechnym entuzjazmie uchwała się ofiarować honorową prezesurę zjazdu Komendantowi Piłsudskiemu.

Genjalną intuicję miał ten, kto postawił wniosek powołania Komendanta Piłsudskiego na prezesa honorowego zjazdu.

Wniosek ten bowiem całkowicie odpowiadał istotnemu stanowi rzeczy w tamtej chwili w kraju.

Legjony Piłsudskiego kończyły swój żywot. Właśnie w tym samym czasie, gdy obradował zjazd Wojskowych Po-

laków w Petersburgu, w Warszawie decydowały się losy Legjonów — jako samodzielnej siły zbrojnej. Dla Komendanta było rzeczą jasną, że z chwilą wybuchu rewolucji rosyjskiej Rosja przestała być tym groźnym wrogiem Polski, z którym przedewszystkiem należy walczyć, ale że przeciwnie całą uwagę należy odtąd skupić na walce z państwami centralnemi, w rękach których znalazły się de facto wszystkie ziemie polskie.

Rządy państw centralnych to czuły: dlatego żądały ujawnienia P. O. W., której siły, rosnące z dnia na dzień, coraz bardziej się bały, i wcielenia jej w szeregi Legjonów, podporządkowanych generałowi Besslerowi.

Komendant na to nie szedł, bo zadaniem P. O. W. była walka z państwami centralnemi, zaś Legjony mogły mieć wartość tylko jako kadry organizacyjne samodzielnej armji polskiej, która nie miała już o co bić się z rewolucyjną Rosją. Dlatego Legjony musiały przestać istnieć. I nie zdążył zakończyć swych obrad Ogólny Zjazd Wojskowych Polaków w Petersburgu, jak Legjony odmówiły przysięgi, wybierając raczej obozy w Szczypiornie i Benjaminowie, aniżeli walkę z rewolucyjną Rosją pod rozkazami generała niemieckiego. Wódz Legjonów, Komendant Piłsudski, znalazł się w Magdeburgu. General Bessler w swem piśmie do niedobitków Tymczasowej Rady Stanu, motywuje aresztowanie Komendanta Piłsudskiego tem, że kierowana przez niego P. O. W. staje się groźną siłą dla tyłów armji państw centralnych, oraz tem, że sam Komendant zamierzał przedostać się do Rosji, aby objąć tam dowództwo nad formującą się armją polską.

Jakże logiczne, proste, jasne i konieczne na tle tych wypadków w kraju stawało się zrozumienie tej prawdy, że jeśli Legjony przestały istnieć w kraju — powinny zmartwychwstać na emigracji w Rosji.

I któż inny winien był — zdawałoby się — w swe ręce

ująć tworzenie armji polskiej w Rosji, jak nie odbudowana na tamtym terenie P. P. S., wierna swym tradycjom, a tak czujnie nadsluchujaca wieści z kraju. Z jej przecież lona wyszedł Związek Walki Czynnej w Galicji, a następnie Związek Strzelecki, z którego narodziły się Legjony, otaczane przez P. P. S. taką moralną i ideową opieką.

Uchwała Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Petersburgu, a następnie manifest Tymczasowego Rządu rosyjskiego w sprawie Niepodległości Polski, stwarzały dla P. P. S. doskonałą platformą szczerego współdziałania z Rosją rewolucyjną w jej walce z państwami centralnemi.

Rosja rewolucyjna w pierwszych miesiącach po przewrocie, szczerze chciała dalszej walki z państwami centralnemi. Gdy zaś władza z rąk liberalów przechodziła stopniowo w ręce „mienszewików“ i „eserów“ rosyjskich, którzy również stali na stanowisku dalszego prowadzenia wojny, któż bardziej, aniżeli P. P. S. mógł znaleźć wspólny język z temi dwoma socjalistycznemi partjami.

Tak łatwo było w tamtym momencie przy pomocy koalicji oprzeć na mocnych podstawach sprawę armji polskiej w Rosji, jako armji samodzielnej i sprzymierzonej, walczącej przeciwko wspólnemu wrogowi, ale w imię własnych interesów narodu polskiego, t. zn. wypędzenia najeźdźców ze wszystkich trzech zaborów i utworzenia niepodległego, zjednoczonego państwa polskiego.

Oddanie sprawy tworzenia armji w ręce P. P. S. dawałoby demokracji rosyjskiej gwarancję, że nie stanie się ona przytulkiem dla reakcji i zwolenników dawnego regimu.

Tymczasem instrukcje Kunowskiego wręcz przekreślały wszystkie te możliwości. Kunowski oświadczył, że P. P. S. i cała lewica demokratyczna w kraju są nadal po stronie państw centralnych, a więc tem samem, że tworzenie armji polskiej w Rosji byłoby skierowane przeciwko Tymczasowej

Radzie Stanu i organizowanej przez nią armji i wywoływało widmo dalszej walki bratobójczej, tem smutniejszej, że prowadzonej już z własnej, nieprzymuszonej woli.

P. P. S. w kraju w imię karności organizacyjnej, poszła po linii tych samobójczych instrukcyj. Ciekawa rzecz, że jedynie Aleksander Prystor miał poważne wątpliwości, czy te instrukcje Kunowskiego odpowiadają istotnym pragnieniom i planom Komendanta Piłsudskiego.

Stosując się do instrukcyj Kunowskiego, P. P. S. w Rosji znalazła się w tragicznej i fałszywej sytuacji. W głębi duszy więc życzyła porażki Rosji rewolucyjnej w jej wojnie z państwami centralnemi, a więc znalazła się w jednym obozie z „bolszewikami“, dążącymi do pokoju za każdą cenę.

Musiało to wywołać zrozumiałą nieufność do P. P. S. w tych kołach rosyjskiej demokracji, które pragnęły dalszej walki. Z drugiej strony, P. P. S. w Rosji przeciwstawiając się tak naturalnemu i powszechnemu w kołach wojskowych polaków dążeniu do tworzenia samodzielnej armji polskiej, siłą rzeczy, nie mogąc całkowicie temu pędowi przeszkodzić, jednak utrudniała bardzo tę sprawę i rozpętywała koło niej wielkie swary i kłótnie, oddając przez to inicjatywę w ręce Narodowej Demokracji i generałów-polaków z armji rosyjskiej, przesiąkniętych duchem caryzmu i reakcji.

Wszystkie konsekwencje fałszywych instrukcyj Kunowskiego ujawniły się w pełni na Ogólnym Zjeździe Wojskowych Polaków w Petersburgu.

Żywioly lewicowe Zjazdu, złożone z demokratów, ludowców i socjalistów, postawiły rezolucję, stwierdzającą, że armję polską na emigracji można tworzyć jedynie za zgodą Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie — wobec czego należy kategorycznie przeciwstawić się wszelkim próbom zarówno tworzenia oddziałów polskich w armji rosyjskiej, jak też i organizowaniu odrębnej polskiej jednostki bojowej.

Gdy Zjazd rezolucję tę odrzucił, cała lewica Zjazd opuściła, składając deklarację, że nie tylko nie będzie brała udziału w tworzeniu armji polskiej w Rosji, ale wszystkiemi siłami będzie temu przeciwdziałać.

Działo się to 19 czerwca 1917 r. Zaiste trudno wyobrazić sobie bardziej tragiczne nieporozumienie.

Oto zwolennicy P. P. S. na Zjeździe Wojskowych Polaków w Petersburgu bronią autorytetu Tymczasowej Rady Stanu, gdy ta sama P. P. S. w kraju już odwołała z niej swego przedstawiciela i to tego samego Kunowskiego, który był moralnym sprawcą tego stanowiska, zajętego przez pepesowców na zjeździe w Petersburgu.

Działo się to wówczas, gdy Tymczasowa Rada Stanu dogorywała, gdy w kilka tygodni później wszyscy przedstawiciele lewicy z Komendantem Piłsudskim na czele podadzą się do dymisji, gdy Legjony przestaną istnieć, a więzienia niemieckie zapełnią się działaczami niepodległościowymi.

Nieszczęście chciało, że stanowisko lewicy w tej sprawie poparł Aleksander Lednicki, prezes Komisji Likwidacyjnej, mającej, wielkie wpływy w rządowych sferach rosyjskich. Instrukcje Kunowskiego bowiem bardzo ułatwiały sytuację Lednickiego w Tymczasowym Rządzie rosyjskim. Kierenski, ówczesny faktyczny dyktator Rosji, również kategorycznie przeciwstawiał się wszelkim próbom tworzenia odrębnej armji polskiej. Stanowisko jego dyktowane było przede wszystkim obawą, że wyodrębnianie wojskowych polaków z armji rosyjskiej może wywołać te same tendencje wśród żołnierzy innych narodowości, co mogłoby ostatecznie rozłożyć armję rosyjską.

Obawy były słuszne, bo dalszy rozwój wypadków poszedł w tym kierunku, ale brak armji polskiej pozbawił Kierenskiego istotnej siły wojskowej, która w imię własnych interesów biłaby się z Niemcami, jak również i wielkiego atutu politycz-

nego, o znaczeniu międzynarodowym, który mógłby bardzo utrudnić sytuację państw centralnych w Polsce.

Swemu negatywnemu stanowisku w tej sprawie dał Kierenski wyraz w liście na Zjazd, a że stanowisko to pokrywało się całkowicie ze stanowiskiem gorącego zwolennika państw centralnych Kunowskiego, jako delegata Tymczasowej Rady Stanu — więc Lednicki i jego grupa, wypowiadając się przeciwko formowaniu armji, ułatwili sobie sytuację zarówno w stosunku do Tymczasowej Rady Stanu, jak i rządu Kierenskiego, gdyż działali w myśl życzeń obu tych tak odmiennych czynników.

Konsekwencje tego stanowiska są znane. Wybrany na zjeździe t. zw. „Naczpol“, znalazł się w ciężkiej sytuacji — z jednej strony miał przeciwko sobie całą lewicę, która agitowała wśród żołnierzy polaków, aby nie wstępowali do formacyj polskich, z drugiej strony tysiące przeszkód ze strony rosyjskich sfer rządowych i wojskowych, przy jednoczesnym braku jakiegokolwiek poparcia ze strony oficjalnej instytucji polskiej, jaką była Komisja Likwidacyjna. Jedynie Narodowa Demokracja wraz ze swymi zwolennikami, występując pod firmą Rady Międzypartyjnej, zajęła wyraźnie pozytywne stanowisko w sprawie tworzenia armji. Ale właśnie poparcie obozu ludzi, skompromitowanych swoją ugodowością wobec caratu, zwalczających poprzednio hasło Niepodległości, istotnie upoważniało do żywienia obaw, że armja polska, organizowana pod auspicjami tego obozu stanie się przytułkiem żywiołów reakcyjnych.

Stanowisko Rady Międzypartyjnej dało lewicy bezpośredni powód do zacieklego zwalczania działalności „Naczpola“.

Lewicę tak pochłonęła walka z organizującymi się formacjami polskimi, że nie wyciągnęła żadnych konsekwencji ani z wystąpienia z Tymczasowej Rady Stanu przedstawicieli

lewicy, ani z aresztowania Komendanta Piłsudskiego i zlikwidowania Legjonów i w niczem nie zmieniła swojego negatywnego stanowiska w stosunku do sprawy armji polskiej w Rosji. W rezultacie P. P. S. znalazła się na marginesie życia politycznego rewolucyjnej Rosji, coraz bardziej instynktownie czując, że w Polsce zachodzą wypadki, których ona należycie nie rozumie i z którymi nie może znaleźć wspólnej linii postępowania. Umiarkowane zaś żywioły demokratyczne emigracji polskiej w Rosji, skupiające się przy Lednickim, coraz bardziej szły po linii warszawskich „aktywistów“, uznając Radę Regencyjną za istotny rząd polski.

Przewrót „bolszewicki“ przyspieszył proces skupiania się ideowego tego obozu przy Radzie Regencyjnej, tem bardziej, że państwa centralne wydawały się temu obozowi naturalną przeciwwagą socjalnej rewolucji, rozpętanej przez „bolszewików“.

W P. P. S. zaś w Rosji po przewrocie „bolszewickim“ nastąpiło pewne załamanie, gdyż część jej członków, zwłaszcza młodych, coraz bardziej ulegała pięknym hasłom bolszewickiej rewolucji, pozostali zaś członkowie pracowali w różnych instytucjach społecznych, biernie wyczekując chwili możliwości powrotu do kraju.

Tak wyglądała ogólna sytuacja P. P. S. w Rosji w chwili mego przyjazdu do Kijowa.

Bardziej aktywną rolę odegrała P. P. S. na Ukrainie. Tu P. P. S. wyczuła słusznie, że winna stanąć całkowicie i bez zastrzeżeń po stronie narodu ukraińskiego w jego walce o Niepodległość.

P. P. S. na Ukrainie do Centralnej Rady Ukraińskiej wydelegowała swych członków, którymi byli Władysław Korsak, Kazimierz Domosławski, Władysław Czyżewski i Antoni Chłopicki. Gdy przyszedł historyczny moment uchwalania t. zw. III Uniwersału, ogłaszającego całkowitą niepodległość

Ukrainy, to ze wszystkich delegatów mniejszości narodowych w Centralnej Radzie, jedynie P. P. S. głosowała za tym Uniwersalem.

W imieniu P. P. S. składał deklarację Władysław Korsak, świetnie mówiący po ukraińsku. W miarę odczytywania deklaracji, coraz większy zapal rósł wśród ukraińców, którzy zaczęli wołać, aby mówił po polsku. Korsak dokończył swoją mowę po polsku. Ukraińców ogarnął entuzjazm, rozległy się okrzyki „niech żyje Polska“, następnie śpiew „Szczе ne wmerła Ukraina“, a potem „Jeszcze Polska nie zginęła“. Członkowie przyjdum Rady całowali i ściskali Korsaka.

Tak wyraźne stanowisko P. P. S. ogromnie wzmocniło jej autorytet w ukraińskich kołach niepodległościowych.

Niestety, niedługo to trwało. „Bolszewicy“ starali się rozsadzić Centralną Radę od wewnątrz. Zaczęli więc przeciągać na swoją stronę lewych eserów ukraińskich.

Komendant t. zw. „wolnego kozactwa“ aresztował kilkunastu lewych eserów — członków Centralnej Rady, oskarżając ich o zdradę państwa i kontakt z „bolszewikami“. Rząd ukraiński, zdaje się, był cichym inspiratorem tego kroku, dyktowanego koniecznością państwową, pomimo, iż naruszały te aresztowania tak świętą zasadę nietykalności poselskiej i były obrazą Centralnej Rady, jako parlamentu.

Centralna Rada również w głębi duszy przyznawała rację rządowi, który, obrażając formalnie parlament, likwidował jednocześnie w jego łonie pierwiastki zdrady państwowej. Dlatego Centralna Rada w tej sprawie poprzestała jedynie na wyłonieniu nadzwyczajnej Komisji Śledczej.

Frakcja P. P. S., przejęta hasłami demokratycznymi, obraziła się więcej, aniżeli sama Centralna Rada za podważony jej autorytet parlamentarny i wycofała się z Centralnej Rady aż do chwili wypuszczenia aresztowanych eserów i ukarania dowódcy „wolnych kozaków“. Naturalnie nigdy to nie

nastąpiło. Centralna Rada dalej pracowała, a P. P. S. znowu znalazła się na marginesie wypadków.

Krok ten, tak bardzo fałszywy, zaszkodził P. P. S. Coraz bardziej zaostrzały się bowiem walki między Centralną Radą Ukrainą a „bolszewikami“. Zaczęła się następnie wojna między Ukrainą a Moskwą. P. P. S. musiała pozostać neutralną. Powrót Centralnej Rady do Kijowa pod opieką wojsk niemieckich i austriackich po pokoju w Brześciu, naturalnie wyłączał wszelką możliwość dalszej współpracy P. P. S. z ruchem ukraińskim. W ten sposób, gdy przyjechałem do Kijowa, P. P. S. była skazana na całkowitą bezczynność.

Wracam jednak do przebiegu zebrania, na którym poraz pierwszy uświadomiłem sobie istniejący stan rzeczy, a w związku z tem i możliwości, jakie miałem przed sobą, działając w myśl instrukcyj, otrzymanych od Rydza-Śmigłego i od Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. przed wyjazdem z kraju.

Moje relacje, pomimo, iż wywarły wielkie wrażenie na obecnych, nie mogły, oczywiście, w niczem wpłynąć na zmianę sytuacji.

Wszyscy uczestnicy konferencji zgodni byli w ocenie stanu polskich formacyj wojskowych na Ukrainie, stwierdzając, że mowy nie może być o tem, aby za kadry armji uważać te ochotnicze oddziały, powstałe do obrony polskich majątków. Jedynie jeszcze można było liczyć na II Korpus, jeśli zdąży przejść na drugą stronę Dniepru. Można było spodziewać się, że z tym Korpusem, zwłaszcza ze względu na obecność w nim II Brygady, „bolszewicy“ będą liczyć się i ustosunkują się do niego przychylnie. Natomiast wyrażano bardzo poważne obawy, czy uda się coś zrobić z I korpusem, który zawdzięczając generałowi Dowbór-Muśnickiemu, wdał się w wewnętrzne walki rosyjskie, wyraźnie stając po stronie ge-

nerała Duchonina, co w konsekwencji wpłatało I Korpus w ciężkie boje z „bolszewikami“. „Bolszewicy“ o tem pamiętają i wielkich zmian trzebaby dokonać w I Korpusie, aby mógł on zerwać z Niemcami i wycofać się na terytorjum, objęte władzą sowiecką.

Obecnie jednak chodziło przede wszystkim o to, aby ułatwić II Korpusowi wydostanie się za Dniepr. Istniały obawy, aby chłopci, źle usposobieni do formacyj polskich na Ukrainie, nie zaczęli organizować przeciwko II Korpusowi oddziałów partyzanckich. Dlatego też obecni za zebraniu członkowie P. P. S. uchwalili rozłożyć opiekę nad II Korpusem i zawiadomić wszystkie organizacje P. P. S. na Ukrainie, aby w miarę sił i możliwości przychodziły mu z pomocą i jednocześnie aby wytwarzały przychylny dla Korpusu nastrój wśród społeczeństwa ukraińskiego. Pozatem uchwalono, aby jeden z wybitniejszych działaczy P. P. S. na Ukrainie Antoni Chłopicki, który bawił w okolicach Humania nawiązał osobistą łączność z brygadjerem Hallerem.

Napisałem tedy list do brygadjera Hallera, komunikując mu o tem stanowisku P. P. S. i prosząc, aby z całym zaufaniem odniósł się do Chłopickiego, który ten list mu doręczy osobiście. List mój przesłano Chłopickiemu z poleceniem, aby po otrzymaniu go, niezwłocznie udał się do brygadjera Hallera.

Niezależnie od kontaktu, który nawiązałem z kijowską organizacją P. P. S., zaraz że po przyjeździe skomunikowałem się z Bogusławem Miedzińskim. Z opowiadań jego dowiedziałem się, że on, Schaetzel i Lis-Kula przyjechali do Winnicy na drugi dzień po naszym z Bartą wyjeździe.

Miedziński pojechał do Kijowa, Lis-Kula do Odesy, zaś Schaetzel do Sorok, aby nawiązać z nami łączność. Niestety, przyjechał tam w kilka godzin po naszym wyjeździe.

Miedziński w Kijowie czuł się już tak swobodnie, jak-

gdyby oddawna tu działał. Wybór Miedzińskiego na kierownika P. O. W. na Ukrainie był bardzo trafny. Wybitne zdolności polityczne, zmysł organizacyjny, dar szybkiej orientacji i decyzji pozwoliły mu bardzo łatwo i prędko należycie ocenić sytuację i do niej przystosować się.

Na szczęście P. O. W., założona tu jeszcze w 1915 roku przez Romana Barskiego (Tadeusza Żulińskiego) wytrwała na posterunku do końca, pomimo całkowitego odcięcia od kraju i wbrew stanowisku, zajętemu przez Komendanta Naczelnego P. O. W. na Rosję, inż. Fr. Skąpskiego, w Petersburgu.

Inż. Fr. Skąpski położył wielkie zasługi dla polskiego ruchu niepodległościowego w Rosji. Wychowanek młodzieży narodowej, od chwili wybuchu wojny wziął czynny udział w naszych pracach konspiracyjnych. Nawiązał łączność z Komendą Naczelną P. O. W. w Warszawie, dostarczał tam broń, a będąc osobiście bardzo zamożnym człowiekiem, ofiarowywał duże pieniądze na potrzeby ruchu niepodległościowego.

Jednocześnie Fr. Skąpski zorganizował P. O. W. w Petersburgu, zaś przed zajęciem Warszawy przez Niemców, został przez Romana Barskiego mianowany Komendantem Naczelnym P. O. W. na Rosję.

Niestety, nie potrafiliśmy zorganizować łączności z Fr. Skąpskim po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie. Nie wiedział on o tem, że Komendant Piłsudski nadal utrzymał P. O. W. w Polsce przy życiu, zmieniając tylko jej charakter i robiąc z niej organizację skierowaną przeciwko państwom centralnym.

Fr. Skąpski, sądząc, że P. O. W., powołana początkowo do życia dla walki z Rosją, z chwilą zajęcia Polski przez wojska państw centralnych, spełniła swoją rolę i przestała tam istnieć. Z drugiej strony, z tą chwilą, gdy wojska rosyjskie wycofały się z terytorjów polskich, Skąpski uważał, że P. O. W.

niema racji bytu na terenach rdzennie rosyjskich i postanowił zlikwidować P. O. W. w Rosji, jako organizację bojową, natomiast całą uwagę skupić na pomocy legionistom i żołnierzom polakom z armji austriackiej i niemieckiej, wziętym do niewoli rosyjskiej.

Powziąwszy taką decyzję, Fr. Skąpski przyjechał do Kijowa z zamiarem rozwiązania P. O. W. i na Ukrainie. Tu jednak członkowie P. O. W., jak jeden mąż nie usłuchali tego rozkazu i postanowili działać nadal jako samodzielna organizacja.

Niestety, Fr. Skąpski był jednym z tych, którzy widzieli się z Kunowskim w Sztokholmie w kwietniu 1917 r. Fr. Skąpski całkowicie podporządkował się jego instrukcjom i w rezultacie stał się jednym z najbardziej energicznych przeciwników idei armji polskiej w Rosji, a następnie wybitnym działaczem w tym polskim obozie na emigracji, który całkowicie poszedł po linii polityki Rady Regencyjnej.

Jeśli P. O. W. na Ukrainie oparła się rozkazowi Fr. Skąpskiego, to wielka w tem zasługa niezapomnianego ś. p. Józefa Bromirskiego.

Uważam za swój obowiązek słów kilka poświęcić tej świetlanej postaci.

Józef Bromirski, popularnie zwany Jotem, był duszą polskiego ruchu niepodległościowego na Ukrainie.

Urodzony na Ukrainie, kończy Uniwersytet w Kijowie, a następnie pracuje tu jako urzędnik bankowy. Pozornie jest to cichy, skromny inteligent, którego, zdawałoby się, poza pracą biurową nic nie obchodzi. W rzeczywistości było inaczej — w tym skromnym, niepozornym człowieku płonęła wielka i piękna dusza ideowca. Od wczesnej młodości związany jest z ruchem niepodległościowym. Jest sympatykiem P. P. S., stale dopomaga Bojowej Organizacji tej partji, —

gdy Komendant Piłsudski, Walery Sławek, Aleksander Sul-
kiewicz przyjeżdżają do Kijowa, Bromirski jest ich opieku-
nem. Gdy zaczyna się w Galicji ruch strzelecki, Bromirski
staje się jego pionierem wśród polskiej młodzieży na Ukrai-
nie. Wybuch wojny europejskiej zastaje Bromirskiego w Ga-
licji, gdzie spędza wakacje. Wstępuje do Legjonów i bierze
czynny udział w akcji oddziałów lotnych Tomasza Arciszew-
skiego. Następnie przez czas jakiś pracuje razem z Aleksan-
drem Sulkiewiczem w Kielcach, jako członek „Władzy Cywil-
nej przy Wojsku Polskiem“. Bierze tu czynny udział w walce
z kawalerją rosyjską podczas jej ataku na Kielce. Stąd z roz-
kazu Komendanta Piłsudskiego przedziera się do Warszawy.
Tu nawiązuje kontakt z obozem niepodległościowym i wraca
do Kijowa, aby z całym spokojem zasiąść przy biurku w swo-
im banku, tłumacząc opóźnienie powrotu z urlopu przeszkodami wojennymi.

I oto znowu ten skromny urzędnik bankowy, którego ko-
ledzy i klienci bankowi nawet nie podejrzewają, że jeszcze
kilka tygodni temu strzelał do kozaków, zabiera się gorączko-
wo do pracy konspiracyjnej.

Wspólnie z Henrykiem Józewskim i Tadeuszem Jarosze-
wiczem zakłada tajną organizację „Dniepr“, która stawia so-
bie za cel werbunek młodzieży do Legjonów i szerzenie idei
niepodległościowej i konieczności walki zbrojnej z Rosją,
wśród miejscowego społeczeństwa polskiego.

W tym czasie przyjeżdża Roman Barski do Warszawy
i organizacja „Dniepru“ przekształca się w „P. O. W. na
Ukrainie“, której komendantem Barski mianuje Bromirskie-
go. Szybko P. O. W. na Ukrainie staje się wielką i sprężystą
organizacją, obejmując swoją siecią cały ten kraj. P. O. W.
na Ukrainie daje P. O. W. w Warszawie cały szereg oddanych
pracowników, dość wspomnieć Tadeusza Jaroszewicza i Sta-
niława Tołwińskiego, wysyła do kraju transporty broni,

dynamitu. Bromirski stale dojeżdża do Warszawy — wtedy miałem szczęście poznać tego pięknego człowieka.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców, P. O. W. na Ukrainie dalej działa, zakłada swoje sekcje wśród młodzieży polskiej, branej do rosyjskich szkół oficerskich i t. d. Wybuch rewolucji w Rosji potęguje rozmach P. O. W., która pod światłem kierownictwem Bromirskiego wyraźnie staje po stronie niepodległościowego ruchu ukraińskiego.

Gdy przyjechał Miedziński, mógł Bromirski ze słuszną dumą przekazać mu swoją organizację, która, zawdzięczając jego intuicji politycznej, do końca wytrwała na posterunku i ani razu nie zeszła z właściwej drogi.

W kilka dni po naszym przyjeździe, urządził Miedziński naradę z Bartą, Schaetzlem, Lisem-Kulą i mną. Musieliśmy zdecydować, co dalej robić.

Na tej naradzie poraz pierwszy poznałem Tadeusza Schaetzla. Odrazu nawiązała się między nami nić wzajemnej szczerości i sympatji, która stopniowo zamieniła się w dzisiejszą naszą wielką przyjaźń.

Schaetzel objął funkcje szefa sztabu P. O. W. na Ukrainie. Systematyczny, ogromnie pracowity, był doskonałym uzupełnieniem Miedzińskiego. Uderzyło mnie w tym artylerzystę wielkie wyrobienie polityczne, szerokie ujęcie skomplikowanych zagadnień, wobec których stanęliśmy na tym terenie. Na tej naradzie w dalekim Kijowie również poraz pierwszy poznałem Lisa-Kulę, już wówczas opromienionego legendą bohaterstwa i sławą wielkiego żołnierza.

Z pierwszego spojrzenia uległem czarowi, idącemu od jego wysmukłej, młodzieńczej postaci. Tyle dziwnej prostoty i skromności było w tym człowieku. Ogromne, jasne oczy patrzyły niemal z dziecięcą szczerością i ufnością. Nie chciało się wierzyć, że ten chłopiec w polu był nie tylko osobiście od-

ważnym, lecz wspaniałym dowódcą, zniewalającym swych podkomendnych do ślepej wiary w siebie.

Tak wygląda ten bohater—myślałem, patrząc z podziwem na Lisa-Kulę, który jeszcze kilka miesięcy temu na włoskim froncie swym zuchwałym wypadem wzbudził zachwyt nie tylko w szeregach armji austriackiej, lecz i wśród wojska włoskiego.

Na naszej naradzie stwierdziliśmy zgodnie, że, niestety, przyjechaliśmy o dobre kilka miesięcy zapóźno. Obecnie, gdy nastąpiła faktyczna okupacja Ukrainy przez wojska państw centralnych, nie mogło być, naturalnie, mowy o tworzeniu tu armji polskiej.

W tych warunkach jedyną racjonalną pracą naszą na Ukrainie mogło być założenie silnej i rozgałęzionej P. O. W. W naszej walce o Niepodległość powinna ona była dać tu bardzo wielkie korzyści.

Ogarniając siecią P. O. W. całą Ukrainę, gdzie tak liczny był żywioł polski, po bardzo krótkim czasie orjentowalibyśmy się doskonale w istotnej sytuacji na Ukrainie. Nie ulegało dla nas wątpliwości, że znana brutalność i bezwzględność Niemców, zmuszonych ogałacać przy pomocy rekwizycyj Ukrainę ze wszystkiego, będzie musiała wkrótce wywołać wśród mas ludowych tego kraju wrogie nastroje w stosunku do wojsk państw centralnych. Nastroje te łatwo mogą tak się spotęgować, że znajdą swój wyraz w rozruchach, a nawet partyzantce. Zadaniem P. O. W. na Ukrainie byłoby więc nawiązanie łączności ze wszystkimi, działającymi tu antyniemieckimi ugrupowaniami, aby w odpowiednim momencie móc przejść na terenie Ukrainy do czynnej walki z okupantami przy pomocy napadów na drobne oddziały, przeszkadzaniem wywożeniu żywności z Ukrainy przez niszczenie pociągów, mostów, torów, podpalanie składów i t. d. Zmuszałoby to państwa centralne do wysyłania na Ukrainę coraz to więk-

szych oddziałów, co w konsekwencji tylko przyspieszałoby proces wzmagania się wrogich nastrojów w narodzie ukraińskim w stosunku do wojsk tych państw. Innemi słowy, zależało nam na skompromitowaniu germanofilskiej polityki Centralnej Rady w oczach narodu ukraińskiego i na doprowadzeniu do tego, aby Ukraina znalazła się we wspólnym z nami antyniemieckim obozie. Aby się to stało, należało tedy uczynić z P. O. W. na Ukrainie taką siłę, która realnie mogłaby tu zaważyć na szali wypadków.

Silę tą P. O. W. na Ukrainie mogło dać tylko miejscowe polskie społeczeństwo przez solidarne poparcie jej pracy i należyte zrozumienie wytycznych naszego w tamtym momencie politycznego stanowiska — to znaczy, aktywnej walki z państwami centralnemi.

Niestety, nastroje, które zastaliśmy wśród społeczeństwa polskiego na Ukrainie, bynajmniej nie sprzyjały naszym zamierzeniom.

Z przykrością musieliśmy na naszej naradzie zgodnie skonstatować, że nasze polityczne stanowisko pokrywało się na tym terenie wyłącznie ze stanowiskiem Rady Międzypartyjnej, t. zn., Narodowej Demokracji. Jak dalece pokrywało się, świadczył o tem przebieg szczegółowo zreferowanej nam przez Miedzińskiego, nieudalej zresztą, akcji Jerzego Zdziechowskiego na terenie I Korpusu po zawarciu przez generała Dowbór-Muśnickiego ugody z Niemcami. Jerzy Zdziechowski rozpoczął jeszcze w Kijowie na wielką skalę pertraktacje z „bolszewikami“. W rezultacie uzgodnił z nimi swoje plany tak dalece, iż liczył się z możliwością, że I Korpus, po obaleniu generała Dowbór-Muśnickiego, wycofa się na terytorjum objęte władzą bolszewicką.

J. Zdziechowski więc całkowicie porozumiał się z „bolszewikami“, natomiast, niestety, nie znalazł należytego poparcia

i zrozumienia dla swej akcji na terenie I Korpusu, gdzie generał Dowbór-Muśnicki okazał się panem sytuacji *).

W imię sprawiedliwości musieliśmy stwierdzić, że Narodowa Demokracja uczyniła ogromny wysiłek, aby uratować I Korpus od kapitulacji i upokarzającej i tak szkodliwej ugody z Niemcami.

Nie bacząc na te fakty, nie mogliśmy myśleć o tem, abyśmy oparli naszą działalność na żywiołach, grupujących się przy Radzie Międzypartyjnej. Nie tylko dlatego, że były to żywioły o odmiennym społeczno-politycznym światopoglądzie, aniżeli my, ale również i dlatego, że sama Rada Międzypartyjna bynajmniej nie pozwoliłaby swym członkom wstępować do P. O. W.

Miedziński, za pośrednictwem swego starego znajomego, J. Kozuchowskiego, który był sekretarzem Rady Międzypartyjnej, nawiązał kontakt z tą organizacją, a nawet miał konferencję z licznem gronem najwybitniejszych działaczy tego obozu.

Powitali oni z radością dyrektywy, które przywieźliśmy, aby powszechnie z triumfem głosić, że społeczeństwo w kraju stoi na ich stanowisku. Natomiast bynajmniej nie uśmiechała się im perspektywa rozpoczęcia przez nas tu samodzielnej akcji politycznej, co stwierdzałoby w oczach koalicji, że nie tylko Narodowa Demokracja chce walki z państwami centralnemi. Woleliby, abyśmy, udzieliwszy odpowiednich instrukcyj naszym zwolennikom, wycofali się z powrotem do kraju.

Jak mogliśmy przekonać się, Narodowa Demokracja posiadała tu sprężystą organizację i bynajmniej nie miała za-

*) Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w drukowanym na prawach rękopisu memorjale J. Zdziechowskiego p. t. „Przyczynki do historii kapitulacji I Korpusu“. W memorjale tym J. Zdziechowski poddaje druzgocącej krytyce całe zachowanie się generała Dowbór-Muśnickiego.

miaru nam jej podporządkować, jak również cieszyć się z powstawania nowej, konkurencyjnej organizacji o tym samym programie politycznego działania.

Inne zaś środowiska społeczeństwa polskiego, niestety, stały na odmiennem stanowisku, aniżeli my.

Tak zwany Blok Jedności Narodowej, skupiający żywioły konserwatywne, rekrutujące się z pośród wielkiej własności ziemskiej, wyraźnie był przeciwny idei stworzenia armji polskiej, gdyż zdecydowanie stał po stronie państw centralnych.

Najgorszą jednak okolicznością dla nas był fakt, że żywioły demokratyczne społeczeństwa polskiego na Ukrainie, stanowiące naturalnie środowisko działania P. O. W., stały na stanowisku odpowiadającym „aktywistom“ warszawskim, to znaczy, uznawały autorytet Rady Regencyjnej i były również po stronie państw centralnych. Stanowisko takie psychologiczne było zupełnie zrozumiałe. Z jednej strony było ono rezultatem mylnych instrukcyj Kunowskiego, o których już pisałem, z drugiej, po akcie 5 listopada 1916 r. Rada Regencyjna zdaleka stawiała się konkretnym symbolem odrodzonego Państwa Polskiego, które już posiadało własne sądy, szkolnictwo, zaczątki ministerjów, kadry przyszłej armji.

Spółeczeństwo polskie na Ukrainie, zmęczone wojną i rewolucją, z radością witało oznaki, zdawałoby się, wskrzeszonego Państwa Polskiego, idealizując te symbole, pozbawione istotnej treści, i patrząc na nie przez pryzmat miłości i tęsknoty za krajem.

My zaś, z chwilą aresztowania Komendanta i likwidacji Legjonów, byliśmy pozbawieni wszelkich autorytetów i wszelkich zewnętrznych symbolów, przy których mogłaby skupiać się zdeзорjentowana opinia społeczeństwa polskiego na Ukrainie.

Jak dalece posunęła się ta dezorientacja, świadczyła

o tem przygoda Lisa-Kuli w Odesie. Po przyjeździe tam, odbył Lis-Kula konferencję z wybitniejszymi działaczami niepodległościowymi, od wielu lat związanymi z P. P. S. i z ruchem strzeleckim. Gdy Lis-Kula wyłuszczył nasze stanowisko i nasze zamiary na Ukrainie, powstała wśród zebranych cała burza. Oświadczone mu kategorycznie, że nie wierzą, aby obóz niepodległościowy w kraju zajmował takie stanowisko, a kilku wprost zaczęło mu dawać do zrozumienia, że jest prowokatorem. Zwłaszcza ostro atakował biednego Lisa-Kulę adwokat Piotr Zubowicz, który na początku wojny mieszkał w Warszawie. Lis-Kula, widząc, że sytuacja staje się dla niego bardzo przykra, zapytał Zubowicza, czy znał mnie w Warszawie. Na szczęście Zubowicz dobrze mnie znał, gdyż był jednym z tych, którzy wspierali finansowo „Widnokrąg”. Wówczas Lis-Kula oświadczył, ratując sytuację, że ja jestem jednym z tych, którzy razem z nim przyjechali na Ukrainę.

Nazwisko moje, znane w tem środowisku jako redaktora „Widnokregu”, wywołało konsternację i poczucie, że jeśli to prawda, iż jestem tych samych poglądów co Lis-Kula, to musi zachodzić jakieś tragiczne nieporozumienie.

Musieliśmy tedy przedewszystkiem przerobić ogromną pracę należytego poinformowania o sytuacji i nastrojach w kraju zwolenników obozu niepodległościowego na Ukrainie. Postanowiliśmy więc, że Miedziński postara się odwiedzić osobiście najważniejsze ośrodki polskie na Ukrainie, jak Odesa, Charków, Zagłębie Donieckie i przeprowadzić tam odpowiednią akcję. Pozostawała pozatem sprawa istniejących tu polskich formacyj wojskowych.

Miedziński miał zupełnie ściśle informacje, że w I Korpusie, pomimo wszystko istnieje opozycja przeciwko generałowi Dowbór-Muśnickiemu, na czele której stoi dawny zarzewiak Henryk Bagiński. Opozycja ta nie chce pogodzić się z zawartą z Niemcami ugodą. Należy więc dodać jej otuchy

i powiadomić o istotnych nastrojach w kraju. Wobec tego uznaliśmy, że będzie dobrze, jeśli Lis-Kula osiadzie pod przybranym nazwiskiem w I Korpusie i nawiąże z tą grupą łączność, aby przy jej pomocy założyć na terenie I Korpusu P. O. W., która w odpowiednim momencie poderwie Korpus do walki z Niemcami.

Co się tyczy II Korpusu — to był on w drodze, powoli posuwając się ku Dnieprowi.

Wszyscy, z wyjątkiem Barty, podzielili moje zdanie, że należy, pomimo negatywnego ustosunkowania się brygadiera Hallera do Barty i do mnie, szukać z nim łączności i starać się całkowicie uzgodnić nasze działania. Byliśmy wszyscy, oprócz Barty, zgodni w tem, że należy ułatwić brygadjerowi Hallerowi opanowanie II Korpusu i objęcie nad nim komendy. Uważaliśmy bowiem, że pomimo wszystko, lepszy był brygadjer Haller aniżeli generał Stankiewicz lub wielogłowy Komitet Wykonawczy.

Barta był innego zdania. Uważał, że należało dążyć do usunięcia zarówno brygadiera Hallera, jak i generała Stankiewicza i do objęcia w drodze rewolucyjnej komendy przez niego, jako najstarszego wśród nas oficera legjonowego.

Propozycja ta została odrzucona przez nas wszystkich, co przyczyniło się do powstania między nami a Bartą rozdziewku, który coraz bardziej następnie pogłębiał się, zwłaszcza między Bartą a Miedzińskim.

Co do III Korpusu, a raczej tych kilku luźnych, po całej Ukrainie rozrzuconych, oddziałów, zdania nasze podzieliły się. Według mnie, należało wogóle na te oddziały machnąć ręką, jako na zupełnie niezdolne do walki zbrojnej z Niemcami i pozbawione wszelkiej ideologii politycznej. Jeśli mogły pozostać obojętne na wieść o przejściu przez front II Brygady i żaden z tych oddziałów nie ruszył z miejsca, aby z nią się połączyć i dopomóc w tej ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazła

się — był to najlepszy dla mnie dowód, że nie przedstawiały dla naszej pracy żadnej wartości. Poza tem nawiązywanie łączności z temi oddziałami, tak znienawidzonymi przez społeczeństwo ukraińskie, mogłoby tylko i na nas rzucić cień podejrzenia, że chcemy mieszać się do socjalnych walk między wielką własnością a włościąństwem.

Barta stał na innem stanowisku. Twierdził, że tym oddziałom brakuje tylko wodza, że gdy go otrzymają, to łatwo dadzą się opanować, a wówczas wszystkie te oddziały skoncentruje się w jednym miejscu, skąd po reorganizacji wyszeruje się na spotkanie z II Korpusem. Reszta kolegów nie podzielała tego stanowiska, uważając, iż oddziały te są tak nikłe, że nie warto podejmować się tego zadania, gdyż jeśli Niemcy i Austriacy je tolerują, to tylko dlatego, że są słabe i rozrzucone, a stojąc po majątkach, trzymają w ryzach chłopów, więc dopomagają do utrzymywania porządku w kraju. Przy pierwszych jednak próbach koncentracji tych oddziałów, niezawodnie wojska okupacyjne je rozbiją.

Reszta mych kolegów proponowała jednak nawiązać łączność z oddziałami III Korpusu w tym celu, aby bardziej ideowy element wyciągnąć stamtąd do roboty w P. O. W.

Żaden jednak z omawianych przez nas projektów nie rozstrzygał sprawy samej armji.

Byliśmy wszyscy zgodni, że można ją tworzyć tylko w głębi Rosji, gdzie nie sięgają militarne wpływy państw centralnych. Byliśmy przekonani, że „bolszewicy“, pomimo zawartego pod przymusem pokoju w Brześciu, nie pogodzą się z narzuconemi warunkami i że zaczną powoli i pokryjomu szykować się do dalszej wojny. W każdym razie Miedziński miał informacje, że nie tylko wśród zwolenników dawnego Tymczasowego Rządu, ale i w łonie Rady Komisarzy Ludowych istniał silny kierunek za dalszą wojną z państwami cen-

tralnemi, reprezentowany przedewszystkiem przez „lewych eserów“.

Należało więc tam, w Moskwie, szukać możliwości tworzenia armji polskiej, a przynajmniej zbadać sytuację. Zadanie to przypadało mi w udziale. Uważałem jednak, że winien ze mną jechać Barta, jako ten, który obok strony politycznej, która do mnie należała, powinien był omawiać stronę czysto fachową i techniczną zagadnienia. Zebrani podzielili moje stanowisko, Barta zgodził się również, ale widać było, że nie był zbyt przekonany i nie rozstał się z myślą oparcia się o istniejące polskie formacje wojskowe na Ukrainie.

Zdecydowaliśmy więc wyjazd nasz za kilka dni. Istotnie, nie miałem co dalej robić w Kijowie. Miedziński i Schaetzel przystąpili do pracy organizacyjnej P. O. W., ponadto Miedziński nawiązał kontakt z Radą Międzypartyjną, zaś Schaezel, za mojem pośrednictwem, z P. P. S.

Zacząłem dowiadywać się, jaką drogą najłatwiej i najszybciej dostać się do Moskwy. Informacje nie były pocieszające. Niemcy zawarli pokój i z Sowietami i z Ukrainą, ale bynajmniej nie zachęcali, aby te dwa państwa uczyniły to samo między sobą.

Granica między Rosją a Ukrainą nie była ustalona i dlatego na spornych terytorjach szła nadal walka między oddziałami czerwonej armji a wojskami ukraińskimi. Komunikacja między Kijowem a Moskwą była przerywana. Pociągi z Kijowa dochodziły podobno do Konotopa, w okolicach którego toczyły się walki, do kolei zaś sowieckich należało odbyć dość spory kawał drogi pieszo lub końmi. A więc znowu musiałem przedzierać się przez nowy front, tym razem wojny ukraińsko-bolszewickiej.

Zbyteczna mówić, że perspektywa tego bynajmniej mi się nie uśmiechała. Nic też dziwnego, że zjawiały się różne powody, dla których musiałem pozostawać w Kijowie — w głę-

bi duszy jednak uświadamiałem sobie, że wyszukuję je odruchowo, aby odwlec chwilę wyjazdu. Zresztą było to tem łatwiejsze do wytłumaczenia sobie, że życie w Kijowie istotnie dostarczało mi obfitego materiału do ciekawych obserwacji.

Dziwne wrażenie robiła stolica Ukrainy. Uderzał przede wszystkim zewnętrznie rosyjski charakter miasta, na ulicach którego prawie że nie słyszało się mowy ukraińskiej — znacznie już częściej polską.

W kawiarniach, małych restauracjach i jadalniach przesiadywały tłumy oficerów armji rosyjskiej. Wszyscy byli w mundurach carskich przy epoletach i orderach. Nie mając nic do roboty, całe dnie tu spędzali, prowadząc tajemnicze rozmowy i narady. Czuli się w tych publicznych zakładach, jak u siebie w domu, tembardziej, że żony ich pracowały tu jako kelnerki.

Obserwując te tłumy oficerów rosyjskich na pryncypalnych ulicach, w kawiarniach i restauracjach, nie mogłem się nie dziwić, że rząd ukraiński wcale nie bał się tego skupienia w Kijowie rosyjskich oficerów, którzy bynajmniej nie kryli się ze swoją wrogością i pogardą dla państwa ukraińskiego.

Istotny duch ukraiński panował jedynie w Centralnej Radzie.

Byłem na jednym z jej posiedzeń plenarnych. Zarówno w kuluarach, jak i w sali posiedzeń słyszało się wyłącznie mowę ukraińską.

O panowaniu ukraińskiem świadczyły również zrzadka spotykane, oryginalne sylwety t. zw. wolnych kozaków w ich charakterystycznych niebieskich żupanach. Oddziały te były sformowane z jeńców rosyjskich, internowanych w obozach w Niemczech. Niektórzy z tych „niebieskich żupanów“ w swym patryjotyzmie posuwali się tak dalece, że golili sobie całą głowę, zostawiając na czubku t. zw. „ose-

ledec“, t. zn. dość długi kosmyk włosów na wzór dawnych kozaków siczowych.

Pewnego dnia odbyłem konferencję z prezesem „Naczipolu“, Władysławem Raczkiewiczem, obecnym wojewodą wileńskim, zarazże po jego powrocie z Warszawy, skąd przybył już w roli delegata Rady Regencyjnej, mając powierzoną sobie trudną sprawę unormowania sytuacji polskich formacyj wojskowych w Rosji.

Naturalnie konferencja nasza nie dała pozytywnych wyników. Prezes „Naczipolu“ nie podzielał moich nadziei co do możliwości formowania armji polskiej w głębi Rosji, twierdząc, że wśród oficerów i żołnierzy polskich formacyj, które prawie wszystkie miały walki z bolszewikami, istnieje tak wielka niechęć do nich, że nie pójdą na terytorjum, objęte władzą sowiecką. Miał również poważne wątpliwości, czy rząd sowiecki zechce angażować się w tę sprawę. Planem prezesa „Naczipolu“ było zgrupować wszystkie Korpusy razem w okolicach Czernihowa i Homla. Miejsce to miało tę zaletę, że faktycznie kończyła się tam okupacja wojsk niemieckich i austriackich, zaś nominalnie terytorjum należało do Ukrainy, która nie miała dostatecznych sił, aby bronić go przed oddziałami „bolszewickimi“. Wojska polskie, zajmując te tereny, tworzyłyby niejako sztuczny wał między Ukrainą a Rosją Sowiecką. Korpusy tam zebrane podlegałyby władzy Rady Regencyjnej, która im zapewniłaby u państw centralnych możliwość pobytu na tamtym terenie w charakterze wojska neutralnego aż do chwili powrotu do kraju.

Wysunąłem przeciwko tej koncepcji cały szereg zastrzeżeń. Pomijałem już kwestję niebezpieczeństwa, że Korpusy, skoncentrowane w tym rejonie, byłyby narażone na walki z „bolszewikami“, gdyż sądziłem, że ostatecznie dałoby się, być może, ułożyć *modus vivendi* z rządem moskiewskim. Nie mogłem natomiast w żaden sposób przypuścić, aby państwa

centralne pozwoliły na powstanie na swoich tyłach tak wielkiej polskiej siły zbrojnej, która mogłaby w odpowiedniej chwili wystąpić przeciwko nim. Rada Regencyjna swego własnego skarbu nie posiadała, więc formacje, tam zebrane mogłyby istnieć tylko w tym wypadku, gdyby państwa centralne zgodziły się dawać środki na ich utrzymanie.

Oświadczyłem tedy, że absolutnie nie wierzę, aby państwa centralne dały Radzie Regencyjnej te fundusze. Byłoby to bowiem z ich strony istotnie szaleństwem, gdyż tak samo, jak i my dobrze orjentują się co do istotnych nastrojów i stosunku do nich narodu polskiego oraz wiedzą o nadziejach, które społeczeństwo polskie wiąże z istnieniem wojska polskiego poza granicami kraju. Nie sądzę zaś, aby koalicja chciała dawać pieniądze na formacje, zależne od Rady Regencyjnej, która łączy interesy i przyszłość Polski ze zwycięstwem państw centralnych.

Miałem wrażenie, że p. Władysław Raczkiewicz podzielał w głębi duszy moje argumenty, zwłaszcza gdy mówiłem o słabości Rady Regencyjnej i o jej absolutnej zależności od władz niemieckich. Ze swej strony jednak wskazywał na to, że przy tej dezorjentacji, ambicjach i intrygach między poszczególnymi generałami, które panują w polskich formacjach na Ukrainie, jedynie posługując się autorytetem i powołując się na rozkaz Rady Regencyjnej, można doprowadzić do pewnego wspólnego działania i porządku.

Tu znowu musiałem w głębi duszy przyznać rację swemu rozmówcy, bowiem miałem już czas przekonać się, że istotnie na tym terenie Rada Regencyjna posiadała autorytet i była pojmowana jako prawowity rząd polski, wobec którego każdy prawdziwy polak winien być posłuszny i lojalny. Niestety, wiedziałem również dobrze, jaką była istotna sytuacja w Warszawie.

Tak się skończyła nasza rozmowa, której milczącym

świadkiem był Jan Libkind, gdyż starałem się zawsze, aby przy moich konferencjach był obecny ktoś trzeci.

Minęło jeszcze kilka dni, a my z Bartą wciąż byliśmy w Kijowie. Czulem, że dalej zwlekać nie wolno, więc zacząłem nalegać na Bartę, aby wyznaczył termin naszego wyjazdu. Tymczasem Barta pod różnemi pretekstami odsuwał wyjazd z dnia na dzień. Czulem, że nie jest szczery ze mną, że w głębi duszy nadal nie rozstał się z myślą opanowania III Korpusu. Miał po temu zresztą pewne podstawy. Wokoło Barty bowiem skupiła się garść dawnych młodych działaczy z „Naczipolu“ ze Stefanem Bienieckim na czele, u którego Barta nawet zamieszkał.

Była to grupa ideowych działaczy naszego typu, szczerze oddanych sprawie armji polskiej, którzy przytem posiadali stosunki oraz licznych zwolenników w poszczególnych oddziałach III Korpusu. Poprzednio wysiłki ich nie dawały jednak rezultatów, a to dlatego, że nie mieli w swoim gronie oficera z istotnym autorytetem, Barta zaś zaimponował im swoją pewnością siebie i sławą wybitnego oficera legendarnych Legjonów.

Generał Michaelis oddziały swe rzucił na łaskę losu, sam zaś znalazł się w Kijowie, gdzie, zazdroszcząc laurów generałowi Dowbór-Muśnickiemu, rozpoczął z Niemcami pertraktacje, o których krążyły bardzo niepoehlebne dla niego wersje, wywołujące duże wzburzenie w środowisku dawnego „Naczipola“. Generał Michaelis był tak dalece skompromitowany całą działalnością na swem stanowisku, że kwestja usunięcia go była bardzo łatwa do przeprowadzenia.

Widocznie Stefan Bieniecki i jego koledzy myśleli o tem, aby na stanowisko dowódcy III Korpusu wysunąć Bartę, któremu naturalnie ta myśl bardzo się uśmiechała. Znając jednak mój zdecydowanie negatywny stosunek do III Korpusu, Barta

wolał nie dzielić się ze mną wiadomościami i swemi planami w tej sprawie.

Jednocześnie coraz gorzej układały się stosunki Barty z Miedzińskim, przed którym wobec tego również nie zdradzał się ze swemi zamiarami.

Gdy przejrzałem wreszcie wyraźną grę Barty na zwłokę, oświadczyłem mu, że po upływie dziesięciu dni od chwili naszego przyjazdu do Kijowa, t. zn. 21 marca, wyruszę w drogę do Moskwy.

Barta nie nalegał abym pozostał dłużej. Przeciwnie, zgodził się ze mną, że muszę już jechać. Sam zaś postanowił jeszcze pozostać kilka dni dłużej, aby dowiedzieć się, jak będzie rozstrzygnięta sprawa III Korpusu — następnie zaś miał razem z Bienieckim wyjechać wślad za mną do Moskwy drogą na Bobrujsk, aby tam na miejscu zorjentować się w sytuacji i nastrojach I Korpusu.

Myśl ta ogromnie mi się podobała, tem bardziej, iż jadąc każdy z osobna, zyskiwaliśmy większą gwarancję, że przynajmniej jeden z nas dojedzie do Moskwy.

Zacząłem tedy szykować się do drogi. Zdecydowałem jechać koleją do Konotopa, stamtąd zaś piechotą lub końmi przedostać się do Kurska, skąd już kursowały podobno pociągi do Moskwy. Kazimierz Domosławski, który był moim dobrym duchem opiekuńczym w Kijowie, obiecał mi wystarczyć na moje nazwisko papiery, oficjalnie stwierdzające, że jestem urzędnikiem Centralnej Rady Ukraińskiej, udającym się służbowo na prowincję.

W przeddzień wyjazdu wieczorem wpadłem do Barty, aby się pożegnać. Zapewnił mnie w sposób jaknajbardziej stanowczy, że najdalej za kilka dni wyjedzie i że najpóźniej w tydzień po mnie będzie w Moskwie.

Następnego dnia zrana przyszedł do mnie Kazimierz Domosławski, przynosząc obiecane ukraińskie dokumenty. Ra-

dział mi zatrzymać je przy sobie przez cały czas podróży, chowając gdzieś w zanadrzu, gdy przejdę front, gdyż „bolszewicy” robią tylko powierzchowną rewizję, szukając jedynie broni. Przy powrotnej zaś drodze papiery te jeszcze bardziej będą mi potrzebne, gdy znajdę się ponownie na terytorjum Ukrainy. Serdecznie pożegnałem się z Janem Libkindem, dziękując mu za gościnność. Szybko spakowałem do plecaka cały ubogi mój bagaż wędrowca i byłem gotów do drogi.

Kazimierz Domosławski wyszedł ze mną razem, aby odprowadzić mnie do tego przystanku, skąd mogłem tramwajem zajechać wprost na dworzec kurski.

Za chwilę pożegnaliśmy się uściskiem dłoni i wskoczyłem do tramwaju.

Zaczął się nowy etap mojej podróży, którego warunki były tak odmienne od dotychczasowych, że zasługuje na to, abym, pisząc swe wspomnienia, ujął go w odrębną, samodzielną całość.



SPIS RZECZY

	<i>str.</i>
Przedmowa	VII—VIII
Wstęp	1— 12
Ogólna sytuacja w Polsce u schyłku 1917 r.	
Rozdział I	13— 20
Wyjazd z Warszawy. — Wrażenia z Brześcia.	
Rozdział II	21— 30
Przyjazd do Lwowa. — Pobyt w Krakowie. — Wyjazd do Zakopanego. — Konferencja z Moraczewskim i Rydzem-Śmigłym.	
Rozdział III	31— 45
Powrót do Lwowa. — Starania o uzyskanie przepustki do Tarnopola. — Pomoc kolejarzy. — Tarnopol. — Po drugiej stronie frontu.	
Rozdział IV	46— 55
Zbaraż. — Przejście przez granicę austriacką.	
Rozdział V	56— 70
Łanowiec. — Znajomość z polskimi kolejarzami w rosyjskim pociągu. — Katastrofa kolejowa. — Przyjazd do Płoskirowa.	
Rozdział VI	71— 78
Pobyt w Płoskirowie. — Zebranie sekcji P. P. S.	
Rozdział VII	79— 87
Przyjazd do Płoskirowa porucznika Roganowicza z II Brygady. — Konferencja z komisarzami bolszewickimi.	
Rozdział VIII	88— 97
Wyjazd do Kamieńca. — Rozbrojenie oddziału rotmistrza Engla przez bolszewików w Dunajewcach. — Przyjazd do Kamieńca. — Pobyt u brygadiera Hallera.	

Rozdział IX	98—111
Powrót do Kamieńca. — Kłopoty komisarzy bolszewickich z legunami. — Wystąpienie na wiecu bolszewickim. — Polskie oddziały wojskowe w Kamieńcu.	
Rozdział X	112—137
Powrót do Płoskirowa. — Zajęcie Starokonstantynowa przez oddziały polskie. — Wyjazd do Antonin. — Narada z generałem Michaelisem. — Poznanie delegata Rady Międzypartyjnej p. K. Skrzyńskiego. — Spotkanie z Jaworskim.	
Rozdział XI.	112—137
Powrót do Starokonstantynowa. — Pośrednictwo między komisarzami bolszewickim a ukraińskim.	
Rozdział XII	147—153
Powrót do Płoskirowa. — Narada w Rewkomie VII armji.	
Rozdział XIII	154—165
Ucieczka bolszewików. — Przyjazd Barty. — Nasz wyjazd do Kijowa. — Rozgromiony majątek Latyczew. — Lityn. — Przyjazd do Winnicy.	
Rozdział XIV	166—178
Wiadomość o zajęciu Kijowa przez Niemców. — Odczyt w polskiej szkole. — Pułkownik Kuncman. — Decyzja jazdy do Sorok. — Zagubiony „futor“.	
Rozdział XV	179—193
Polscy ułani w Dzwoniszce. — Awantura z chłopami. — Jazda przez zrewoltowane wsie ukraińskie.	
Rozdział XVI	194—210
Cukrownia w Szpikowie. — Kupno koni wierzcho wych. — Jazda drogą Wołodujowskiego i Zagłoby. — W cukrowni w Tomaszpolu u p. A. Niemojewskiego. — Jampol. — Przeprowadzenie przez Dniestr z taborami II Brygady.	
Rozdział XVII.	211—241
Soroki. — Wizyta u generała Stankiewicza. — Kapitan L. Bobicki. — Konferencja z Komitetem Wykonawczym. — Wizyta i konferencja z brygadjerem Hallerem. — Przyjazd K. Domosławskiego z Kijowa. — Nieudana konferencja z St. Berezowskim i K. Wierczakiem. — Wyjazd do Kijowa.	
Rozdział XVIII	242—274
Kijów. — Konferencja z organizacją P. P. S. — Dzieje P. P. S. w Rosji i na Ukrainie. — Józef Bromirski. — P. O. W. na Ukrainie. — Konferencja z Bartą, Miedzińskim, Lisem-Kulą i Schaetzlem. — Ogólne wrażenia z Kijowa. — Konferencja z Prezesem „Naczelni” Wł. Raczkiewiczem. — Decyzja wyjazdu do Moskwy.	

90 —

181472P

344P33

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313622



000-313622-00-0